

Kir Bułyczow

Wyspa Dzieci

Policja Intergalaktyczna Tom I

(Przełożył: Eugeniusz Dębski)

Kir Bułyczow

Wyspa Dzieci

Policja Intergalaktyczna Tom I

(Przełożył: Eugeniusz Dębski)

1

Złowrogi wrześnieowy wiatr, nabrawszy impetu na pofalowanej powierzchni ogromnego jeziora, rzucał się na wyspę, walił o strome głązy zakotwiczone w przybrzeżnym żwirze, wdrapywał się na piaszczysty stromy brzeg i zabierał się do wyginania, szarpania, wyrywania z kamienistej gleby powykręcanych przez sztormy sosen. Ale drzewa przyzwyczajone do tego typu prób, poddawały się jego naporowi, pochylały, ale jednocześnie zwierzały szeregi, i gdy tylko wiatr, zmęczony trochę, osłabiał napór – natychmiast prostowały się i wesoło trzepotały gałęziami, odpędzając zmęczonego napastnika.

Wiatr, nie mogąc sobie poradzić z sosnami, pędził wyżej, gdzie leciutkie obłoki nie stawiały oporu i uciekały przed nim, pędziły przed siebie, czasem przesłaniając całkowicie wąski sierp księżyca, a czasem odsłaniając wspaniałość rozgwieżdżonego nieba.

W takich chwilach wrony, wyrzucone wściekłymi porywami wiatru ze swych bezpiecznych gniazd, widziały szczupłą postać w białej szacie, postać biegnącą po ścieżce, przykrytej sklepieniem sosnowych gałęzi. Postać wystawiła przed siebie kruche ręce, osłaniając oczy przed gałęziami, sęczkami czy innymi niebezpiecznymi przedmiotami.

Wydawać się mogło, że ta istota jest nieważka. Chwilami, kiedy napór wiatru rozsuwał kolejną sosnową zaporę i wdierał się w głąb lasu, dziewczyna zmuszona była przystawać i nawet cofała się chwilami pod naciskiem masy powietrza, ale wystarczyło, by wiatr odrobinę osłabł, gdy uparta dziewczyna prostowała postać i wznawiała swą tajemniczą eskapadę. Tajemniczą, ponieważ nikt z dobrej woli nie opuściłby o tak późnej i nieprzytulnej porze bezpiecznej przytulności zamku, nieme i ciemne wieże którego wznosiły się nad lasem, a wieże te kompletnie ignorowały szal burz, sztormów i ulew.

Ścieżka, którą przemierzała dziewczyna w bieli, dziwacznie wila się pomiędzy drzewami i skałami, chwilami dziewczyna musiała pochylać głowę w niskim tunelu zieleni, innym razem – wychodziła na otwartą przestrzeń.

Na brzegu jeziora stała na poły zrujnowana stróżówka, od której ciągnął się od dawna niewykorzystywany pomost dla łodzi spacerowych. Przystań w kilku miejscach zawałiła się, a dwie czy trzy łodzie, zapomniane przy niej, pograżyły się w wodzie i tylko łańcuchy, przymocowane do belek pomostu, utrzymywały ponad powierzchnią ich wąskie dzioby.

Nieznana siła wlokła dziewczynę do przystani. Odwróciwszy się, by sprawdzić czy nie widać z tyłu pościgu, powróciła wzrokiem ku stróżówce, w oknie której zauważyła przelotne poruszenie. Rozbłysnął tam czerwony ognik i zniknął. Dziewczyna niepewnie stąpnęła na deski pomostu. Zaskrzypiały pod jej stopami, zabrzączał zardzewiały łańcuch i po znieruchomiącej, jakby złodowaciałej gładzi wody przeleciały drobniutkie zmarszczki.

Oczy, śledzące ze stróżówki każdy ruch dziewczyny, nie były jedynymi kontrolującymi jej nocną

wyprawę. Już wtedy, gdy dziewczyna w bieli zbiegła po schodach do holu zamku i, starając się nie hałasować, otworzyła ciężkie boczne drzwi, prowadzące z biblioteki do oranżerii, ktoś, kto starał się pozostać niewidzialnym, śledził każdy jej ruch. I kiedy dziewczyna znalazła się na zewnątrz, w wietrznej leśnej nocy, w ślad za nią zamek opuścił również ów ktoś. W odróżnieniu od pierwszej dziewczyny jej prześladowczyni była przygotowana na nocną wyprawę, owinięta w szary płaszcz i czarną chustę; z tego powodu była prawie niewidoczna zarówno w lesie, jak i na polanie.

Obserwując każdy ruch dziewczyny w białej szacie, jej prześladowczyni znieruchomiła na skraju lasu, nie porzucając sklepienia drzew, wiedząc, że śledzona dziewczyna już dotarła do celu swojej wyprawy.

Rzeczywiście – ta znieruchomiła na deskach przystani, zaczęła się rozglądać, jakby zaskoczona obudziła się w nieznanym miejscu.

– Weroniko – dał się słyszeć niski drżący głos. – Weroniko, jestem tutaj, czekam na ciebie, cierpię męki oczekiwania. ..

– O nie! – zakrzyknęła dziewczyna, a w jej głosie dała się słyszeć trwoga.

– Jesteś moja – zaszeleścił głos.

– Uwolnij mnie – zaczęła błagać dziewczyna w bieli.

Drzwi stróżówki otworzyły się, na progu stał mężczyzna.

– Czekałem na ciebie – oświadczył. – Komary mnie niemal pożarły.

Zrobił krok do przodu i teraz można było zobaczyć, że niemal nie ma na sobie ubrania, jeśli nie liczyć szortów, lekkich pantofli i czarnej maski, zasłaniającej górną część twarzy.

– Jesteś moim snem – powiedziała dziewczyna w bieli. – Jesteś moim koszmarem. Nie mogę się od ciebie uwolnić.

– Jestem twoim słodkim widzeniem – odparł młodzieniec.

Wyprostował ramiona, a dziewczyna w białej szacie, jakby ściągana przez silny magnes, zrobiła dwa kroki na spotkanie mężczyzny, znalazła, się w zasięgu jego ramion.

Przyciągnął ją do swej piersi.

– O nie! – powtórzyła dziewczyna w bieli.

Młodzieniec, przyciskając dziewczynę do siebie, pokrył jej twarz i szyję pocałunkami. Dziewczyna drżała z namiętności i niecierpliwości, ale jednocześnie stawiała opór.

Jej prześladowczyni w szarym płaszczu stała nieopodal, na skraju lasu, rozdierana między chęcią pomocy dziewczynie w bieli i chęcią nie wtrącania się do rozgrywającej się w tej chwili sceny w celu poznania dalszych zamiarów jej uczestników. Życiowe doświadczenie podpowiadało kobiecie w szarym płaszczu, że krzyki i skargi ulatujące z ust dziewicy, znajdującej się w ramionach młodego mężczyzny, nie powinny być traktowane poważnie. Czasami usta dziewczyny szepczą i wykrzykując jedno, podczas gdy prawdziwe jej chęci i zamiary całkowicie tym słowom przeczą.

Oto mocne ręce młodego człowieka głaszczą szyję dziewczyny w bieli, zsuwają się niżej, pieszczą stromą pierś, a dziewczyna błaga, żeby ją uwolnić, ale sama nie wykonuje żadnego ruchu, by się wyrwać z uścisku.

– Chodź do mnie! – prosi swą ofiarę młodzian, starając się wciągnąć dziewczynę w mrok stróżówki.

– O nie! – ostatni raz woła dziewczyna w bieli i dodaje naprawdę szczerze: – Czyżby nie było na całym świecie ani jednej żywej duszy, która zobaczyłaby mękę mą i przyszła mi z pomocą? Wszak nie jestem w stanie sama siebie uratować!

Ale okrzyk ten zaginął w nowym uderzeniu dzikiej wichury, która spadła na ziemię z bezkresnej wodnej przestrzeni. Ze straszliwą złowieszczą mocą wiatr uderzył w plecy dziewczyny i dosłownie wdusił ją w objęcia dziwnego człowieka w masce. Ten natychmiast otoczył dziewczynę silnymi rękami i zniknął w ciemności stróżówki.

Kobieta w szarym płaszczu nie od razu znalazła w sobie siły, by wejść do wnętrza budki. Przycisnęła dłonie do piersi, jej pobladła twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, ukrytą w cieniu szarego kaptura, wykrzywił grymas rozpacz.

Z wnętrza domku dochodziły jęki i niewyraźne błagania nieszczęsnej dziewczyny w bieli. Kiedy kobieta w szarym płaszczu usłyszała zrozpaczony głos stłumiony okrzyk: – Tylko nie przyspieszaj biegu wydarzeń, oprawco mój! – nie wytrzymała.

Zrozpaczona obrzuciła spojrzeniem brzeg i zobaczyła leżący nieopodal bosak, którym niegdyś przyciągane były do pomostu spacerowe łodzie. Chwyciwszy bosak w dłonie, runęła w stronę stróżówki, uderzyła nim w drzwi tak mocno, że te wypadły z zawiasów i wpadły do środka pomieszczenia.

Huk i groźny okrzyk:

– Poddaj się, nieszczęsny gwałcicielu! – dały pożądaną efekt.

Młodzieniec w szortach stracił ducha i runął w przeciwnym do drzwi kierunku. Cienka ściana ze starych desek nie wytrzymała uderzenia jego ciała i rozsypała się, co spowodowało, że cała stróżówka przechyliła się.

Kobieta upuściła bosak i pochyliła się nad leżącą na podłodze bez czucia dziewczyną w białym peniuarze.

Wicher kolejny raz uderzył z wodnej przestrzeni, groźnie zakołysał rozchwierutaną stróżówką.

– Weroniko! – zawołała dziewczynę kobieta w szarym płaszczu. – Oprzytomniej, bo się przeziębisz! Ten drań nie zdążył cię zbrukać?

Lecz ani jeden mięsień nie drgnął na obliczu nieszczęsnej ofiary gwałtu.

Jeszcze mocniejsze uderzenia wiatru zakołysało budką.

Nie było już ani sekundy czasu.

Zrzuciwszy szary płaszcz, kobieta owinęła weń Weronikę i, przerzuciwszy ją przez ramię, wyniosła na brzeg.

Chwilę potem, nie wytrzymawszy naporu żywiołu, stróżówka zwała się niczym domek z kart. Czując zbliżającą się katastrofę, kobieta odskoczyła w bok, upuszczając na przybrzeżny żwir Weronikę i upadła obok niej na mokrą od wodnych bryzg trawę.

Dziewczyna miała jeszcze tyle sił, by opierając się na łokciu rzucić spojrzenie w stronę pomostu, jakby w obawie, że groźny gwałciciel znajduje się gdzieś w pobliżu i, zebrawszy siły, może powtórzyć swą napaść.

I w tym momencie zobaczyła, że spod pomostu wypada niewielki ścigacz, wyposażony w potężny silnik. Obnażony młodzieniec siedział na rufie i kierował łodzią.

Wykonawszy długi łagodny łuk ścigacz oddalił się w stronę otwartej przestrzeni wodnej, spiętrzonych stromymi, z szaleńczym impetem walącymi w brzeg falami. Łódź niebezpiecznie przechyliła się, a dziewczyna, jakby już nie obawiając się powrotu napastnika, usiłowała wstać. Chciała zobaczyć, w jakim kierunku podąży ów śmiałek, ale na horyzoncie, ukrywającym się za kurtyną wodnych bryzg i deszczu, nie widać było żadnego statku; z drugiej strony – tylko szalenie mógłby zdecydować się na dłuższą wyprawę po tak wzburzonym wodnym przestworze.

Niebezpieczeństwo takiej wycieczki stało się od razu widoczne: nie dokończywszy skrętu łódź zaczerpnęła przez burtę wody i wywróciła się – jej prędkość była już tak wielka, że młodzieniec w masce wyleciał wysoko w powietrze i upadł w wodę, wznosząc fontannę bryzg.

Kobieta w szarym stała na brzegu, usiłując w kipieli wypatrzeć ludzką głowę czy przynajmniej dno łodzi... Ale na rozszalałej powierzchni nie było widać żadnych obcych przedmiotów.

– Weroniko! – zawołała kobieta. – Weroniko, ocknij się!

Weronika odwróciła się – jej duch opierał się powrotowi do trzeźwej rzeczywistości.

– Weroniko – powiedziała kobieta – przeziębisz się przez ciebie. To jest nieludzkie.

Rzeczywiście – zimny porywisty wiatr powodował, że niemłoda już kobieta drżała, oddawszy swój płaszcz nieszczęsnej Weronice, odzianej jedynie w biały jedwabny peniuar i pantofelki na bose stopy.

– Co się z nim stało? – z warg Weroniki uleciał szept. – Czy nie utonął?

– Otwórz oczy – poleciła kobieta.

Mówienie przychodziło jej z trudem, szczękała zębami. Wiatr przesłonił obłokami księżyc, nad plażą zapanował mrok.

– Czy to pani Aaltonen? – zapytała Weronika.

– Tak, to ja. Możesz wstać?

– Nie wiem – odpowiedziała Weronika, a odsłonięty na chwilę księżyc rzucił swoje zimne światło na jej przepiękne oblicze, po którym spływały przezroczyste łzy.

– Natychmiast wstań, Weroniko – poleciła pani Aaltonen, mająca zwyczaj wstawiania fińskich słówek do rosyjskich zdań. – Nie chcę zostawiać cię na *baskeri*. Nie jestem pewna twoich prawdziwych zamiarów. Co może zmusić normalną dziewczynę, która nie ukończyła jeszcze nawet siedemnastu lat, do ukradkowych wizyt na brzegu, na randkę z nieznanym młodym człowiekiem?

– Oby tylko nie utonął! – szepnęła Weronika.

– Co powiedziałaś? – zapytała pani Aaltonen, nie dosłyszawszy z powodu wichury słów dziewczyny.

– Powiedziałam... powiedziałam, że nic nie rozumiem. Że niczego nie pamiętam.

Zacisnęła powieki i zaczęła trzeć oczy.

– Weroniko, natychmiast przestań udawać – rozeźliła się pani Aaltonen. – Chcesz powiedzieć, że nie przysłaś tu z własnej woli?

– Nie pamiętam, słowo honoru, nic nie pamiętam, pani dyrektor – jęknęła Weronika. – Jakaś nieznana siła wyrwała mnie z łóżka, a potem... potem mam lukę w pamięci. Czy był tu ktoś jeszcze? Kto?

– Niestety, Weroniko, nie potrafię ci uwierzyć. Całe twoje gadanie wydaje mi się zwyczajnym dziewczęcym mydleniem oczu. Znakomicie wiedziałaś, że masz randkę w nocy na brzegu. Podziękuj mi lepiej, że wytropiłam cię i uratowała twój dziewiczy honor.

– Co pani mówi! – wykrzyknęła dziewczyna. – Czyżby mojej dziewiczej czci coś groziło? Czyżby on chciał wykorzystać mój lunatyzm?

– Co? – zapytała dyrektorka.

– Myślę – powiedziała Weronika – że w moim wypadku mieliśmy do czynienia z przypadkiem lunatyzmu. Dopiero teraz obudziłam się na dobre.

– Chciałabym móc ci uwierzyć – odparła pani Aaltonen – ale całe moje doświadczenie życiowe sprzeciwia się temu. Wiedziałaś na co się ważysz. A muszę ci powiedzieć, że w prowadzonym

przeze mnie domu dziecka kontakty niepełnoletnich wychowanek z mężczyznami nie są aprobowane.

– Więc nie poznała go pani? – zapytała Weronika z nadzieją w głosie.

– Na pewno go odnajdę. Mimo że sama jesteś sobie winna: przybiegłaś tu na randkę, a to oznacza, że kusiałaś słabego mężczyznę.

– To nie do pomyślenia, pani dyrektor – sprzeciwiła się Weronika. – Nie pamiętam, by przyszedł mi kiedykolwiek do głowy taki głupi pomysł – podczas burzy, w nocy wypuścić się na brzeg. Przecież to pewne zapalenie płuc!

– Nie masz do końca racji – odparła dyrektorka. – Zapalenie płuc grozi mnie, a karą dla ciebie będzie coś innego.

– Och! – zakrzyknęła Weronika. – To niesprawiedliwe!

Usiłowała wpaść w omdlenie, ale pani Aaltonen kategorycznie zabroniła jej pozostawania na brzegu. Weronika musiała podnieść się i, zalewając łzami, pomaszerować do góry po ścieżce.

Na szczęście dla obu wiatr pomagał im w marszu, energicznie popychając w plecy, tak że chwilami zmuszone były podbiegać, by utrzymać się na nogach.

W końcu, kiedy już obie straciły resztkę sił, las skończył się i pojawiła się przed nimi obszerna polana, na której przeciwległym końcu wznosił się zamek.

2

Wysepka Kuusi, spokojnie zanurzona we śnie w północnej części jeziora Ładoga, ma długość około trzech kilometrów i niecały kilometr szerokości. Pokrywa ją rzadki sosnowy las. Sosny pną się w niebo spomiędzy ogromnych głazów, a częste wichury, silne mrozy i skoki temperatur powodują, że ich pnie są poskręcane, powykrzywiane, uparte, niczym stare morskie wilki. Na południowym krańcu wyspy znajduje się niezbyt strome wzgórze, niemal pozbawione roślinnej szaty, tylko pasma trawy i porostów pokrywają kotlinki między szarymi łbami zaokrąglonych skał. Wierzchołek wzgórza wieńczy masywny zamek, zbudowany z grubsza tylko ociosanych kamiennych bloków. W jego narożnikach wznoszą się cztery okrągłe wieże z zębatymi wierzchołkami. Piąta wieża, donżon, kwadratowy i obszerny, znajduje się w centrum zamku, a jego stożkowy miedziany dach, pozieleniały w surowym klimacie, widoczny jest na wiele kilometrów, niczym latarnia morska.

Na jej szczycie wraz z ciemnościami zapalane jest jasne białe światło, które – wolno wirując – rzuca mocny wąski promień światła na wody jeziora omywające Kuusi.

Do zamku prowadzi żelazna brama, zamykana po zapadnięciu zmroku. Opowiadają co prawda ludzie, że z zamku na zewnątrz prowadzi mały podziemny tunel. Ale całkiem możliwe, że to tylko wymysł romantycznie nastrojonych mieszkańców zamku.

Wydaje się, że zamek stoi tu od zawsze, jakby wyrósł niegdyś z szarych skał i posiwiiał tu, pokrył się porostami tak samo jak i one.

Ale gdy poranny świt odpęta po powierzchni zimnej ładożańskiej wody, zamek, chwilę temu jeszcze wyglądający jak niema skała, odżywa z powodu dziarskich dźwięków trąb, wygrywających rześką melodię. Nad jedną z wież wolno pojawia się flaga – błękitno-biała, w kolorze Wszechświatowej Ligi Ochrony Dzieci, i wkrótce całą okolicę ożywiają wesole, dźwięczne głosy.

Szeroko otwiera się brama zamku, wysypują z niej lekko ubrani młodzieńcy i dziewczęta. Bez względu na pogodę i temperaturę powietrza, baraszkują na skałach, biegną w dół, wskakują do wody i nawet pływają przy brzegu, nurkują, by podnieść z dna jakiś kamyczek czy zerwać czapę z wodorostów na lekcję botaniki.

Tak naprawdę to zamek wcale nie jest taki stary, zbudował go na przełomie XIX i XX wieku jeden z petersburskich dziwaków, który wzbogacił się na produkcji wspaniałej wędliny i zmienił nazwisko Gałkin na von Graal, bo uznał, że jest jednym z rycerzy króla Artura. Odkupił od władz miasta wyspę, zamieszkałą wówczas przez dwie rodziny fińskich rybaków, którzy nadali wyspie nazwę Kuusi, oznaczającą coś związanego z lasem szpilkowym, a potem wznosił na jej powierzchni zamek Graal. Zaraz potem wybuchła rewolucja 1917 roku, i von Graal zbankrutował. Ukrywając się przed bolszewikami uciekł na wyspę, a gdy zobaczył, że zbliża się do niej ładożańska flotylla łodzi pod dowództwem marynarza Miednika rzucił się z wieży i roztrzaskał o kamienie.

Przez następne sto lat nie raz zmieniali się gospodarze zamku, zmieniali się mieszkańcy i jego

przeznaczenie. W jego historii były stronice dramatyczne, tragiczne i ucieszne, ale w końcu został całkowicie porzucony, przez długie lata stał niemy i pusty, podobny do kamiennej skały. Dopiero w drugiej połowie XXI wieku odżył, albowiem ktoś w Centrum Galaktycznym zdecydował o ulokowaniu w zamku domu dziecka.

Był to dziwny dom dziecka, jedyny tego typu dom dziecka na Ziemi.

Jak wiadomo, ilość narodzin na Ziemi w ciągu XXI wieku stale spadała, dlatego do każdego dziecka, przekazanego do domu dziecka, ustawiała się długa kolejka potencjalnych rodziców. Urządzano nawet konkursy rodziców w miłości do dzieci. Teoretycznie więc nie było sensu urządzania domów dziecka.

Ale jeden taki się zachował.

Dom ten znajdował się nie pod zarządem Ministerstwa Opieki Socjalnej i nawet nie Resortu Zdrowia czy Oświaty, podporządkowany był instytucji o nazwie Intergpol – a to oznacza, że los tego domu i jego mieszkańców zależał od czegoś, co nazywało się InterGalaktyczna Policja.

Ale nie, mylicie się! Nie zamieszkiwali go małoletni przestępcy. Sprawy miały się znacznie gorzej: w domu tym znajdowały się tylko te dzieciaki, wyrostki, młodzieńcy i dziewczyny, których losy osłonięte były tajemnicą. A ponieważ na sześćset osiem miliardów mieszkańców Federacji Galaktycznej przypada wiele tysięcy różnego rodzaju sekretów, to i takich dzieci, których losy są tajemnicze, żyje niemało. W każdym razie wystarczająca ilość, by uznano za racjonalne i właściwe zorganizowanie dla nich specjalnego domu dziecka, przy tym tak ulokowanego, by przypadkowy przechodzień nie mógł do niego wstąpić.

Wszystkie te środki ostrożności dyktował zdrowy rozsądek i gorzkie doświadczenia z przeszłości owego domu dziecka, który w oficjalnych dokumentach, i w mowie potocznej ludzi mających do czynienia z tym problemem, zwał się Wyspą Dzieci.

Kim są te dzieci, pozbawione rodziców i rodzeństwa? Jakie sekrety okrywają ich losy?

Można przytoczyć kilka przykładów, żeby wyjaśnić o co chodzi.

W sypialni numer trzy, znajdującej się we wschodnim skrzydle zamku, między wieżami Ptasią i Krzywą, stoją łóżka trzech dziewczyn. Wszystkie mają po mniej więcej szesnaście-siedemnaście lat, wszystkie są uczennicami dziesiątej klasy znajdującej się na Wyspie Dzieci szkoły. Nic kompletnie nie wiedzą o swoich rodzicach, i nawet Główny Komputer w Centrum Galaktycznym nie może odpowiedzieć jednoznacznie skąd dziewczęta pochodzą.

Dziewczynkę o imieniu Ko znaleźli geolodzy na planecie Zrofilla, zasiedlonej przez pokojowych zielononogich aborygenów. Pewnego poranka, wyszedłszy ze swego bungalowu, geolog Carter de Couture zobaczył na swoim progu owiniętego w różowy kocyk niemowlaka, jak się potem okazało, płci żeńskiej. Siedmiomiesięczne niemowlę było nakarmione, w znakomitym humorze, poruszało paluszkami, usiłując wysunąć się z jedwabnego becika i robiło „gu-gu-gu”. Okazało się podczas badania, że jest to dziecię homo sapiens, jasnowłose, błękitnookie, na prawej nóżce ma sześć paluszków. Na kocyku, prześcieradełku i nawet na pieluszce dziewczynki, wyhaftowane były wyraźnie literki „K” i „O”. Stąd i imię dziewczynki.

Wszystkie próby wyjaśnienia u spokojnych aborygenów, nie znających ani kocyków, ani liter, skąd mogła wziąć się na ich planecie dziewczynka Ko, nie dały wyników. Kiedy dziewczynka została przewieziona na Pataliputrę i wykonano staranne testy genetyczne i kompleksowe badania pozostałych śladów, okazało się, że najprawdopodobniej jej ojczyzną jest planeta Ziemia, albowiem tam zostały wyprodukowane i kocyk i pieluszka. Wiadomym także się stało, że przed geologami

żaden statek ziemski nie lądował na planecie Zrofilla.

Los sąsiadki z sypialni i koleżanki Ko był nie mniej tajemniczy. Znalaziono ją, dwuletniego bobasa, na opuszczonym statku kosmicznym, który najprawdopodobniej wystartował z Plutona. Jednakże statek ów nie był przypisany do kosmoportu tego niezycziwego globu, nie był też znany w innych portach. Na piersi niemowlęcia, na złotym łańcuszku wisiał medalionik, wewnątrz którego znajdował się stary znaczek pocztowy z wysp Zielonego Przylądka.

Znajdę nazwano Weroniką, ponieważ tak miała na imię matka kapitana patrolowca, który natknął się na dziewczynkę w opuszczonym statku.

Trzecia nastolatka z tej sypialni miała na imię Salomea. Szefowie Interpolu mieli pewne podejrzenia co do jej pochodzenia, ale pewności nie miał nikt. Dziewczynka została znaleziona w piwnicy Instytutu Czasu w Bejrucie. Sądząc po strzępkach tkaniny, w którą owinięte było trzyletnie dziecko, pochodziła ze starożytnego fenickiego miasta Bibla, choć pewności co do tego faktu nie było. Snuto hipotezy, że mała została podrzucona do maszyny czasu w starożytnej Fenicji w czasie jakiegoś społecznego kataklizmu, ale nikt nie wiedział, jak to się mogło zdarzyć bez udziału pracowników Instytutu Czasu. Żaden, rzecz jasna, pracownik Instytutu nie przyznał się do takiego czynu. I nie było podstaw do jakichkolwiek personalnych podejrzeń. Dziewczynkę nazwano Salomeą na pamiątkę bohaterki powieści Flauberta.

Można by jeszcze długo snuć opowieści o mieszkańcach innych pokoi i komnat zamku na Wyspie Dzieci, ale nie dowiedzielibyście się i tak niczego nowego – tych przykładów wystarczy, by zrozumieć, dlaczego wybrano to miejsce na taki odizolowany i oddalony od ludzkich szlaków dom dziecka. Zamek Graala znakomicie się do tego celu nadawał.

Po długim namyśle, twórcy tego niezwykłego domu dziecka postanowili możliwie starannie odizolować nieszczęsne sieroty, ponieważ rozumieli, jak straszliwe niebezpieczeństwo dla Ziemi i całej ludzkości może się kryć w tych dzieciach. Wszak galaktyka to nie tylko poligon, na którym testowane są zdolności różnych cywilizacji do przyjaźni i współpracy. Ta sama Galaktyka dawała, niestety, życie straszliwym tyranom i agresywnym ideom, zagrażającym istnieniu rozumu we Wszechświecie.

I nie ma żadnych gwarancji, że fatum nie podejmie w przyszłości prób podobnego typu. Aby więc zminimalizować zagrożenie ze strony pojawienia sił zła, powstała i istnieje Galaktyczna Służba Bezpieczeństwa, jak również rywalizujący z nim Interpol. O ile pierwsza wzięła na swoje barki ochronę Federacji przed kosmicznymi spiskami i agresją, to Interpol zajmuje się lokalnymi, w przeważającej większości kryminalnymi, problemami, wyszukując i neutralizując przestępców i ich zamysły. Ale kto może powiedzieć, w którym miejscu przechodzi linia oddzielająca wszech galaktyczną agresję od jej zarodka – pojedynczego zabójstwa na peryferyjnym globie?

Policja Intergalaktyczna podjęła się kurateli nad Wyspą Dzieci, albowiem każdy jej pupil, kryjąc w sobie enigmę, istoty której sam nie był świadomy, mógł w jednej chwili przeistoczyć się w zagrożenie dla ludzkości.

Dlaczego i w jaki sposób – to mógł określić tylko Interpol, o ile w odpowiednim czasie podejmował kroki zaradcze.

A przecież znane już były precedensy...

Pierwotnie przytulny Galaktyczny Domek Dzieci zbudowany został w podlondyńskim Bromlie. Sierotki bez przeszkód kontaktowały się z rówieśnikami z okolicznych osiedli, dzieciaki grały razem w krykieta i spacerowały pod omszałymi wiązami osiedlowego parku.

Po jakimś czasie w okolicznych farmach zaczęła się szerzyć epidemia wśród bydła. Krowy i owce padały praktycznie pozbawione krwi. Weterynarze łamali sobie głowy nad przyczynami pomoru. Ale odpowiedzi nie znaleziono. I oto doszło do prawdziwej tragedii: na polu, przy wzniesionym jeszcze w piętnastym wieku murze, znaleziono ciało kaprała Bayleysa, weterana szeregu kosmicznych wypraw, odważnego żołnierza i dobrego pradziadka. Białe, marmurowe ciało, odziane w pluszowy szlafrok, leżało na plecach. Szeroko otwarte wodniste oczy weterana wpatrzony były w gwiazdy. W jego układzie krwionośnym nie było ani kropli krwi.

Prowadzący śledztwo inspektor miejscowej policji W. E. Hellmes miał szczęście: obok ciała weterana odkrył odbity w wilgotnej glebie rowu odwadniającego odcisk małej dziecięcej stopy. Z odlewu tego śladu wykonano bucik, który Hellmes przez kilka dni przymierzał wszystkim okolicznym dzieciakom. Podejrzani byli nawet lilipuci z wędrownego cyrku, który w tym czasie przemieszczał się z Londynu do Brighton i zatrzymał się na nocleg w okolicy. Panika ogarnęła mieszkańców miasteczka – matki obawiały się o życie swoich pociech i nie chciały puszczać ich do szkoły, dorośli mężczyźni uzbrajali się w blastery i promienniki, wychodząc na wieczorne spacery z psami. Okazało się, że mały bucik pasuje dokładnie do stopy dziewczynki o imieniu Miss, trzyletniego szkraba, znalezionej w worku z marchwią na pokładzie wojennego trałowca „Orion”, co było o tyle dziwniejsze, że załoga składała się wyłącznie z mężczyzn, ciężko i konsekwentnie nienawidzących marchewki.

W domu dziecka Miss zachowywała się spokojnie, niemal stale uśmiechała się; stopniowo opanowała angielski. Tylko jej sen niepokoił lekarza: czasami całą noc dziewczynka spędzała siedząc na łóżku, objąwszy spiczaste kolanka rękami, kiwając się miarowo. Oczka dziewczynki płonęły wtedy złowrogim pomarańczowym płomieniem, który – to fakt – gasł przy zbliżaniu się wychowawcy czy lekarza. Sąsiadki bały się dziewczynki i nie chciały z nią mieszkać.

Inspektora W. E. Hellmesa oszołomiła informacja, że bucik pasuje na nóżkę Miss. No bo jakże mogłoby takie maleństwo dokonać tak okrutnego mordu, no i tych wcześniejszych, które teraz też jej przypisywano.

Póki co maleństwo zamieszkało w oddzielnym pokoiku szpitala psychiatrycznego, a Towarzystwo Ochrony Dzieci pozwało do sądu inspektora W. E. Hellmesa za szczególne okrucieństwo w stosunku do sierotki.

Trzeciego dnia dziewczynka znikła ze szpitala. Odnalazł się natomiast stróż szpitalny, pod stołem w swojej stróżówce. W ciele stróża brakowało krwi, na szyi miał ślady ukąszeń.

Dopiero wtedy zabrano się do tej sprawy poważnie. Inspektora W. E. Hellmesa zastąpił komisarz Milodar z Intergpolu i kilku ekspertów od przemieszczania się dusz i ciał. Maleństwo Miss udało się odnaleźć w lasach briańskich, a gdy poddano ją starannemu i wszechstronnemu badaniu, to okazało się, że w jej ciele znajduje się niebezpieczny szpieg imperium Kralazhdale, który zawłaszczył sobie ciało dziecka, sam będąc okrutnym wampirem, budzącym się w nocy i odżywiającym krwią swych ofiar.

Oczywiście, w takim skrócie wiele barwnych szczegółów tej historii ginie. Można by opowiedzieć o anemii, na jaką – jak odkryto potem – chorowała połowa pensjonariuszy domu dziecka, czy o krwi, zapieczonej na usteczkach małej kruchej dziewczynki. Kiedy została odnaleziona kończyła właśnie wysysanie sił życiowych z egzemplarza żubrobizona z rezerwatu. Ważne jest tylko, by czytelnik zrozumiał, jak niebezpieczni mogli okazać się wychowankowie domu dziecka, gdyby pozwolono im swobodnie kontaktować się z rówieśnikami. Więc, mam nadzieję; dość powiedzieć,

że przypadek dziewczątka Miss nie był jedynym w historii szczególnego Domu Dziecka.

Niełatwo było zmienić humanistyczną instytucję, ośrodek miłości i troski w stosunku do nieznanych sierotek, w instytucję o wyższym stopniu utajnienia. Czasami, jak przyznawał komisarz Milodar, miał ogromną ochotę machnąć na wszystko ręką i w ogóle zamknąć ten Dom Dziecka dla kosmicznych sierot, porozdawać pensjonariuszy chętnym, i niech maleństwa wysadzają w powietrze kogo tylko zapragną. A przecież nie były to tylko puste słowa: wśród wychowanków wykryto kiedyś wyrostka, zarażonego niezwykle rzadkim wirusem piromanii. Dzieciak, zanim został zamknięty w ognioodpornym pomieszczeniu, spalił połowę miasta Cincinnati, ponieważ wirus ten pozwala bez szkody dla nosiciela podnosić temperaturę jego palców do 700 stopni. Wyobraźcie sobie, co się stanie z waszym domem, gdy pogłaszcze się go palcem rozżarzonego do temperatury topnienia ołowiu?

W końcu po długich sporach, w przeważającej części niejawnych, po serii pełnych oburzenia artykułów w gazetach, na które właściwie nie udzielono odpowiedzi, zdecydowano, że przeniesie się Dom Dziecka na wybraną w tym celu wyspę Kuusi, leżącą na uboczu od szlaków turystycznych i z dala od zasiedlonych ośrodków. Wyspa ułatwiała ochronę Domu Dziecka, zamek zaś pozwalał się bronić, gdyby ktoś usiłował wykraść czy zabić któregoś z wychowanków. Z powodu położenia zamku łatwo też było nie dopuścić do dzieci ludzi, którzy mogli im w jakiś inny sposób zaszkodzić.

Dlatego nie było nic dziwnego w tym, że krótko po śniadaniu nad wieżami zamku zatoczył koło osobisty śmigłowiec dowodzącego siłami Interpolu północnej półkuli komisarza Milodara. Komisarz, uważający Wyspę Dzieci za podlegającą mu instytucję, przyleciał tu, porzuciwszy wszystkie inne sprawy, gdy tylko został powiadomiony o wydarzeniach na pomoście.

Komisarz Milodar kochał dzieci, miał silnie rozwinięte poczucie obowiązku. Uważał dom na wyspie za swoje dziecko, jeśli tak można powiedzieć. Dziecko, którego winien był bronić przed wszystkimi przestępcami Galaktyki i przed którym musiał bronić tejże Galaktyki.

Śmigłowiec komisarza Milodara wylądował w końcu na placyku przed wejściem do zamku. Brama natychmiast została gościnnie otwarta. Stała w niej doktor nauk Rosa Aaltonen, barczysta, z wystającymi kośćmi policzkowymi, dobrodusznym damą ze złotym lorgnon – spadku po dziadku.

– O, komisarz! – zawołała Finka, wybiegając przed żelazną bramę zamku. – Jaka *kauhu*!

– Zgadza się, to straszne – odparł zmęczonym tonem komisarz, który miał za sobą trzy nieprzespane noce pod rząd, podczas których zajmował się śledzeniem międzyplanetarnej bandy, handlującej kłami mamutów. Tylko tajemnicze wydarzenie na Wyspie Dzieci mogło wyrwać go z rzadkich i długo oczekiwanych objęć Morfeusza.

Dyrektorka Aaltonen otarła łzę.

– Weronika... bardzo *pachoin* się czuje, rozumiesz?

– Źle się czuje? Ale ja i tak muszę z nią porozmawiać.

Komisarz Milodar niemal nie znał fińskiego, dyrektor Aaltonen zaś w chwilach stresu zapominała wszystkie inne języki poza fińskim.

Milodar szybko wkroczył do zamku. Dyrektorka maszerowała za nim i głośno skarżyła się w mieszaniu fińskiego z innymi językami.

Komisarz pewnym krokiem przeciął podwórze zamku i wszedł do budynku szkolnego, przytulonego do wschodniego muru. Wąskimi schodami wykutymi w granicie wbiegł na piętro, przebył wąski korytarz i zatrzymał się przed gabinetem dyrektorki, jakby wpadł na niewidzialną przeszkodę, potem wyprostował się i jak matador wciągnął brzuch przepuszczając damę.

Następnie szybko rozejrzał się – oczywiście, wszystkie drzwi do klas były uchylone, a w szparach znieruchomiały zaciekawione dziecinne pyszczki. Komisarz Milodar zasalutował do nich, wszystkie drzwi natychmiast się zatrzasnęły.

Dyrektorka siedziała już przy swoim biurku, na blacie którego stał tylko przycisk w kształcie niedźwiedzia z brązu, przygniatający stertę kartek i zdjęć. Aaltonen wskazała Milodarowi wygodny fotel. Następnie na prośbę wysokiego gościa opowiedziała mu tę dziwną historię.

Jakiś czas temu stara dama zwróciła uwagę, że podopieczna Weronika zachowuje się nerwowo, źle sypia, prześladowają ją we śnie koszmary. Przestała uważać na lekcjach i nawet zaczęła być opryskliwa w stosunku do wychowawców i swoich koleżanek. Nie ulegało wątpliwości, że był to przypadek ciężkiego klinicznego zakochania, być może, nieszczęśliwego. Należało więc sprawdzić, kto jest obiektem miłości Weroniki. Najpierw dyrektorka przepytowała na tę okoliczność sąsiadki z pokoju Weroniki. Co prawda nie oczekiwała, że te od razu i ochoczo zdradzą sekrety koleżanki. Ale *yritys* – nie strzelba. Tak więc Aaltonen pod różnymi pretekstami wzywała do siebie po kolei wszystkie trzy koleżanki. Pierwszą była Ko, ponieważ była chyba najbliższą przyjaciółką Weroniki. Ku jej zdziwieniu, Ko nie zaprzeczała zakochaniu Weroniki, ale uchyliła się od odpowiedzi kto jest obiektem jej namiętności. „Pomyśl – prosiła ją – to może być niebezpieczna choroba. Co będzie jeśli młodzieniec nie odpowie równie silnym uczuciem? Może ma rodzinę?” Po tej prowokacji dyrektorka znieruchomiała, oczekując że Ko, zaprzeczając, wygada się. Ale Ko zupełnie spokojnie odparła, że Weronice to nie grozi. Jej ukochany jest dostępny tylko jej jednej i z nikim innym go nie dzieli. „Jakże się nazywa?” – zapytała Aaltonen, nie mając większej nadziei na odpowiedź. Ale Ko spokojnie odpowiedziała, że zwą go John Gribkoff. Takiej osoby na wyspie i nawet wśród tych ludzi, którzy tu co jakiś czas wpadali służbowo, dyrektorka nie znalazła, uznała więc odpowiedź Ko za próbę wyprowadzenia jej w pole. Nieco zdeprymowana takim obrotem sprawy i zachowaniem Ko, szefowa sierocińca wezwała do siebie sąsiadkę Weroniki – Salomeę.

– Salomeo, kochana moja – zwróciła się do dziewczyny pani Aaltonen. – Powiedz mi, czy Weronika aby nie zakochała się w kimś?

– Och, tak – zgodziła się od Salomea. – I to jest piękne!

– Jak jest imię jego? – zapytała dyrektorka.

– Nazywa się John Gribkoff – odpowiedziała Salomea spuszczać oczy, ponieważ była najmłodsza w pokoju i jeszcze się nigdy nie zakochała.

– Gdzie mieszka? – padło następne pytanie.

– Przypuszczam, że w swoim zamku – powiedziała Salomea.

– Czy jego zamek znajduje się daleko od naszej Wyspy Dzieci? – kontynuowała przesłuchanie pani Aaltonen.

– O tak! – szczerze zapewniła ją Salomea.

Ale niczego bardziej konkretnego nie udało się dyrektorce dowiedzieć.

Słuchając jej opowieści Milodar nudził się i miał poczucie uciekającego czasu, ponieważ barczysta dyrektorka opowiadała wszystko straszliwie szczegółowo. Natomiast on sam był przekonany, że gdyby kobieta nie wykazała się taką pedagogiczną aktywnością, to najprawdopodobniej romans Weroniki i tajemniczego wielbiciela nie przyjąłby tak dramatycznego kształtu. Ale co się stało, to się nie odstanie – dyrektorka działała zawsze dokładnie według instrukcji. A instrukcja wymagała wyjaśnienia każdego niezwykłego wydarzenia z życia Wyspy Dzieci.

Upewniwszy się, się, że Weronika jest zakochana, dyrektorka zdecydowała się na rozmowę z winowajczynią. Co prawda sama miłość nie jest jeszcze przestępstwem i nawet pani Aaltonen również bywała zakochana, o czym starała się zapomnieć. Ale pamięć o tych tragicznych namiętnościach pozostała i widoczna była w jej nienawiści do cukru, kompotów, konfitur – do wszelakich słodczy. Z tego powodu cierpiały dzieci, ponieważ w domu dziecka nawet herbata była niesłodzona.

Dyrektorka wprost zapytała Weronikę co się z nią dzieje, a Weronika odpowiedziała, że jest zakochana. W kim, zapytała pani Aaltonen. I Weronika odparła, że zakochała się w Johnie Gribkoffie, godnym szacunku kawalerze i porządnym człowieku. „Kim jest z zawodu?” – brzmiało następne pytanie, ale Weronika odmówiła odpowiedzi na nie, oświadczywszy, że dyrektorka zapewne żartuje, ponieważ jej, Weronice, wydaje się dziwne, że może być na świecie ktoś, kto nie zna Johna Gribkoffa.

Przełożona domu dziecka udała, że satysfakcjonują ją wyjaśnienia dziewczyn, ale zaczęła podejrzewać, że stała się obiektem jakiegoś dowcipu czy nawet spisku. Dlatego natychmiast udała się do pokoju nauczycielskiego i zapytała szanowne ciało pedagogiczne, czy nie słyszał ktoś o jakimś Johnie Gribkoffie.

Wychowawcy, nauczyciele i ochroniarze Wyspy Dzieci byli w większości ludźmi młodymi, i wszyscy oni zakrzyknęli dosłownie chórem:

– O, nieszczęsny John Gribkoff!

Po serii pytań dyrektorze udało się wyjaśnić, że John Gribkoff był idolem młodzieży, awangardowym piosenkarzem i tancerzem pochodzącym z Melitopola. Jego hity, takie jak „Nie torturuj mnie żywcem” i „Filiżanka kawy w mej kieszeni” zapamiętały i nuciły miliony jego wielbicieli. ...

– Ale jak on się przedostał na naszą *saari*? – zapytała surowo.

– Ach, nie przedostawał się – zakrzyknęła z żalem wykładowczyni łaciny Łarisoczka Katull. – Zginął, skacząc ze spadochronem na szczyt Mont Everestu dokładnie trzy lata temu.

– Zginął? – jęknęła pani Aaltonen.

Po czym, nie reagując na pełne zdziwienia okrzyki w pokoju nauczycielskim, opuściła pomieszczenie i zniknęła w swoim malutkim gabinecie.

Stało się to, czego obawiała się przez wszystkie lata swojego dyrektorowania na Wyspie Dzieci: do jego spokojnego, rytmicznego życia wtargnęła mistyka. Każdy wychowawca wie, jak blisko siebie w świadomości dziecka stoją światy żywych i martwych. Dziecko natomiast, a tym bardziej takie z woli losu zamknięte na Wyspie Dzieci, może stać się zabawką w ręku złośliwych mocy, które wyciągają po nie łapy z tamtego świata. Dyrektorka miała nadzieję, że wyspa jest dobrze chroniona przed gnomami, trollami i złymi elfami. Ale okazało się, że nie. Oto kruczowłosa Weronika – kto by pomyślał, że mając siedemnaście lat przeżyje miłość do inkuba? Czy może, ci na poły martwi, zwa się inaczej?

Dyrektorka wiedziała, że musi poważnie potraktować to zadanie i dogłębnie rozeznąć się w strasznej historii. Jakkolwiek ciężko było, z jej delikatną naturą, rozmawiać z wychowanką o rzeczach nieprzyjemnych, obowiązek nakazywał jej kontynuować rozmowę.

Dyrektorka przypilnowała Weronikę, bladą, wychudłą i ładniutką przy wyjściu ze stołówki i poprosiła ją o kilka minut rozmowy na osobności.

Dla takich celów na Wyspie Dzieci wykorzystywane było rozarium, znajdujące się dokładnie za

południową wieżą.

Weronika posłusznie maszerowała za dyrektorką, nie zdradzając ani strachu, ani skrepowania. I oto, zebrawszy całą swoją siłę woli i znajomość języka rosyjskiego, dyrektorka powiedziała, patrząc na podopieczną przez niespodziewanie zamglone okulary:

– Twój romans z pewnym... *kuollut*...

– Z nieboszczykiem – uśmiechnąwszy się podpowiedziała jej Weronika.

– Właśnie, z *kuollut*, wywołuje wielkie zaniepokojenie dla wychowawców budynku naszej *koulu*.

– Wychodzi, że to szkoła nieboszczyków – zażartowała Weronika, wywołując w dobrej dyrektorce prawdziwe przerażenie.

– Och nie! – jęknęła ta. – Pytam o tego prawdziwego! Czyżbyś pokochała martwego człowieka?

– Trudno mi jest uwierzyć, że nie żyje – rzekła Weronika. – W mojej pamięci zawsze będzie żył. Wiadomo, że rozbił się na miazgę o szczyt Everestu, ale jeszcze w tym momencie śpiewał swój ostatni hit.

– O tak! – zgodziła się dyrektorka. – Ale to nie jest prawdziwa *rakkous*. Czy to zabawa w miłość?

– O nie! – obruszyła się Weronika. – My z Johnem traktujemy to bardzo poważnie! Obiecał, że się ze mną ożeni. Pomoże mi uciec z waszego przeklętego więzienia.

– Ale cóż ty nazywasz *vankila*? – zapytała pani Aaltonen. – Naszą Wyspę Dzieci?

– Ach, jakże mamy jej wszyscy dosyć! – zakrzyknęła Weronika.

– Być nie może!

– Może, pani Aaltonen, może.

– To nie jest *vankila*, a miejsce, gdzie rozwijają się twórcze siły...

– Czy to znaczy, że mogę stąd sobie odejść?

– W żadnym wypadku.

– Dlaczego?

– Bo twoja edukacja nie została jeszcze zakończona.

– No proszę, dorosła osoba, a kłamie – odparowała Weronika. – Po prostu wy wszyscy, ludzie, boicie się nas. Nie wiecie, co się w nas kryje. Drżycie i ukrywacie przed nami swoje życie. A John Gribkoff wcale się nie boi. Może się ze mną ożenić w każdej chwili.

– Nie wolno!

– Dlaczego?

– Pomyślałaś o tym, jakie mogą być wasze dzieci?

– Pewnie tak samo odważne, jak mój John.

– Przecież on jest martwy.

– To dla was jest martwy, a dla mnie – całkowicie żywy – nie poddawała się dziewczyna.

– To tragedia! Zabronię ci zbliżyć się do niego!

Zdenerwowana dyrektorka zapomniała z wrażenia zapytać jakim sposobem Weronika poznała słynnego nieboszczyka i jak ten przedostaje się na wyspę. Ale Weronika sama rozwiązała ten problem.

– Pani Aaltonen – poprosiła. – Proponuję, by pani zajrzała do naszego dormitorium, a ja panią przedstawię Johnowi. Sądzę, że spodoba się pani, a jestem też pewna, że i pani mu się spodoba.

– Ach! – powiedziała dyrektorka. Znajdowała się w stanie bliskim omdlenia, ale tylko bliskim,

ponieważ jako doświadczony pedagog, wiedziała, że nie ma prawa tracić przytomności w obecności swojej podopiecznej. Jakkolwiek potwornie się bała, zgodziła się iść za podopieczną do murowanego budynku, gdzie znajdowały się sypialnie dziewcząt.

Kiedy maszerowały przez podwórzec zamku, zaczął padać drobny zimny deszczyk – jesień stopniowo zaprowadzała swoje prawa, i wkrótce dni miały się stać krótkie i smętne. Zaczną się próby ucieczek z wyspy, pojawią się, wypocząwszy na Hawajach i Cannach, grupy psychologów i fizyków, by badać i dręczyć sierotki, w celu rozszyfrowania ich tajemnic, nawet wtedy, gdy takowych nie ma. I ta perspektywa przepęłniała smutkiem serce dyrektorki, albowiem kochała swoich podopiecznych i martwiła się razem z nimi traktowaniem ich jak doświadczalne króliki.

Na przykład teraz – całkowicie jasne było, że przyjdzie jej za chwilę zerknąć się z jakąś patologią i ta miła Weronika z przykładnej, co prawda niezbyt wybijającej się uczennicy klasy dziesiątej, stanie się cudakiem, obiektem badań dla psychiatrów i egzorcystów.

Weszły do przestronnego pokoju zajmowanego przez trzy dziewczyny. Wysokie, częściowo zdobione witrażem okno, wychodzące na jezioro, było uchylone – dziewczęta wychowywane były w niezobowiązującym surowym klimacie, co owocowało brakiem przeziębień i chorób górnych dróg oddechowych.

Pokój był pusty – koleżanki Weroniki były na lekcjach.

Oczywiście, dyrektorka nie raz odwiedzała dormitorium starszej grupy, ale zazwyczaj interesowało ją tylko, czy panuje tam ład i porządek.

Tym razem skierowała się od razu do stojącego w pewnym oddaleniu od innych łóżek łóżka Weroniki – miejsca było pod dostatkiem, tak więc dziewczęta mogły stwarzać sobie kąciki według własnego uznania.

W oczy dyrektorki rzucił się natychmiast wizerunek dziwnego młodzieńca, wizerunek przyklejony do ściany w takim miejscu, że leżąc na łóżku Weronika mogła przez cały czas wpatrywać weń i rozkoszować.

Wizerunek przedstawiał młodego człowieka, niemal nagiego, muskularnego i o skórze w kolorze jasno-liliowym, a brzuch i pierś zdobiły mu żółte pasy. Odzież młodzieńca stanowiły krótkie szorty, błyszczące czarne wysokie buty i czarna maska, skrywająca górną połowę twarzy.

– Czy to on? – zapytała oszołomiona dyrektorka.

Miała całkowicie odmienny pogląd na męską urodę.

– Tak – potwierdziła po prostu Weronika. – To właśnie jest John Gribkoff, a ja kocham go do szaleństwa.

– Ale tak naprawdę to on nie istnieje? – zapytała pani Aaltonen.

– Ależ on istnieje naprawdę – odpowiedziała Weronika.

– Gdzież on mieszka?

– Żyje między światem żywych i martwych, w mglistej nieskończoności, nudzi się tam potwornie, i chce się ze mną przyjaźnić. Czy to coś złego?

– Och, ej! – zakrzyknęła dyrektorka. – Proszę bardzo, niech tam sobie żyje, gdzie żyje, ale nie chcę, by szarpał twoje *hermo*.

– Co? – zdziwiła się Weronika. – Chyba nie bardzo panią rozumiem?

– Przypomnij mi to rosyjskie słowo – poprosiła dyrektorka. – To jest coś, co się szarpie...

– Her-mo?

– O właśnie – nerwy!

Dyrektorka podeszła do wizerunku. Musiała przyznać, że pomimo dzikiego makijażu, John Gribkoff sprawiał wrażenie harmonijnie zbudowanego młodego człowieka.

– Jak go poznałaś? – zapytała pani Aaltonen. – O ile to nie jest tajemnicą.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy – odpowiedziała Weronika. – Najpierw zobaczyłam jego zdjęcie w czasopiśmie i spodobał mi się. Potem wpadła mi w ręce kasetka z jego koncertem, i pomyślałam: oto w kim chciałabym się zakochać! A nieco później on sam zaczął mnie odwiedzać.

– Jak to? – Pedagog, już nieco uspokojona, aż podskoczyła. – Gdzie odwiedzać?

– Najpierw we śnie – odpowiedziała Weronika. – Ale to mi nie wystarczało. Chciałam móc go dotknąć.

– Ale przecież wiedziałaś, że jest martwy?

– On nie jest do końca martwy – cierpliwie tłumaczyła dziewczyna. – Wszyscy, trafiający na szczyt Everestu są w znacznym stopniu żywi.

– Dobrze – nie oponowała dyrektorka. – To znaczy, że okazało się, iż twój wybraniec w znacznym stopniu jest żywy i gotów do dotknięcia cię?

– Ma pani całkowitą rację, pani dyrektor – zgodziła się dziewczyna.

– I macie... *kohtaus*?

– Przepraszam, pani dyrektor. Niezupełnie rozumiem, do czego czyni pani aluzje, ale mam nadzieję, że nie ma pani na myśli nic nieprzyzwoitego?

– O nie! – Teraz przyszła kolej na panią Aaltonen – to ona zawstydziała się. – *Kohtaus* to taki stan, kiedy para ludzi widzi siebie i nic więcej.

– Tak właśnie z nami było – zgodziła się Weronika. – Ale, jeśli mam być szczerą, chciałabym, żeby John Gribkoff zrobił coś bardziej... energicznego. Mam przecież siedemnaście lat, i samo *kohtaus* mnie nie satysfakcjonuje.

Dyrektorka poczuła ulgę, ponieważ wydarzenie, jak się okazało, mieściło się jednak w ramach przyzwoitości. Podobne rzeczy w domu dziecka już się zdarzały. Wychowankowie i wychowanki romansowali ze sobą, doszło nawet do przypadku, kiedy wychowanka sprowadziła na manowce nauczyciela rysunku technicznego. Co zaś się tyczy zakochania w aktorach, sportowcach i telewizyjnych policjantach, to tego typu przypadki występowały nagminnie.

Dyrektorę deprymowało więc już tylko to, że ukochany Weroniki był martwy, a jednocześnie poza nią nikogo to nie dziwiło. Będzie musiała porozmawiać ze szkolnym psychiatrą, czy nie rodzi się aby w dziewczynie nekrofilia, czyli pociąg do umarłaków.

– A gdzie się odbywa... *kohtaus*? To znaczy spotkania? – zapytała dyrektorka.

– Niestety, pani Aaltonen, nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – powiedziała Weronika. – Ponieważ na pewno zabroni mi pani tych *kohtaus*.

Weronika już nie wątpiła, że pod słowem „*kohtaus*” kryje się tylko i wyłącznie „randka”.

– Ale przecież to jest żart, zabawa! – zakrzyknęła dyrektorka, wiedząc, że popełnia błąd. Jeśli ma się do czynienia z człowiekiem, który jest opętany manią – jakkolwiek: miłosną, narodową czy ideową, należy – jeśli nie zgadzać się – to przynajmniej się nie sprzeczać.

– Może dla pani to jest żart – spokojnie odpowiedziała dziewczyna. – Ale dla mnie to chwila przełomowa w życiu. Może ucieknę wraz z Johnem. On mnie namawia, bym porzuciła tę szkołę.

– I gdzie będziecie mieszkali?

– Johnowi pozostało kilka zamków i letnich domków. Może spędzimy trochę czasu na Tahiti.

– Gołębiczko – rozłościła się dyrektorka. – Jakże znowu Tahiti? Twój John zmarł, zabił się,

przecież sama to powiedziałaś!

– Coś się rozbiło, a coś dla mnie zostało – zagadkowo oświadczyła Weronika, chwyciła z szafki nocnej zdjęcie swojego ukochanego i pocałowała je. Następnie podała je dyrektorce ze słowami:

– Proszę popatrzeć.

W poprzek zdjęcia napisane było zamasyście:

„Mojej ukochanej Weronice od wiernego przyjaciela Johna Gribkoffa”. I data: „6 września”.

Dwa tygodnie temu.

– Jasne – powiedziała dyrektorka, zwracając zdjęcie i ciężko wzdychając. Wcześniej nie przychodziło jej do głowy, że Weronika jest taką kłamczuchą. Sama wykonała autograf na zdjęciu – jakież to płytkie!

Jednocześnie to małe oszustwo próżnej nastolatki w jakiś sposób uspokoiło panią pedagog. Skoro Weronika dopuszcza się takich naiwnych wybiegów, to raczej nic nie zagraża ani jej, ani całej ludzkości. Jednocześnie dziewczyna wymaga wzmożonej opieki – taki wiek... Nic się na to nie poradzi!

– Weroniko – powiedziała dyrektorka – rozumiem cię. Trudno jest dziewczynie w tym wieku siedzieć w czterech ścianach, nawet jeśli są to ściany ze złota. Ale wiesz przecież, że wraz z ukończeniem szkoły kończy się obserwacja. Będziemy mieli nadzieję, że twoi rodzice odnajdą cię i wyjaśni się tajemnica twego pochodzenia. Wrócisz do swojej rodziny albo, jeśli zechcesz, będziesz się nadal kształciła na Ziemi.

– A tego to nikt nie wie! – gwałtownie zaproponowała Weronika, a jej policzki zabarwił mocny rumieniec. – Skąd mam wiedzieć, że jestem zwyczajnym człowiekiem? A może kryje się we mnie potwór? Albo jakiś straszliwy wirus? Albo po osiągnięciu pełnoletności wybuchnę, wysadzając w powietrze całą waszą ukochaną wyspę?

– Och nie! – zawołała dyrektorka. Wystarczyła jedna taka myśl, by wprawić ją w przerażenie. – To jest całkowicie do ciebie niepodobne, Weroniko. Przecież zawsze byłaś taką dobrą *pejti*!

– Byłam, ale się skończyłam – rzuciła Weronika. Zwróciła swoje rozpalone spojrzenie na wielki portret liliowego piękniśia i zakrzyknęła: – O, mój Johnie, tylko ty jeden na tym świecie nie boisz się mnie, ty jeden ufasz mi całkowicie! O, jak jestem zmęczona życiem w roli potencjalnego potwora, życiem istoty obcej, wśród ludzi, do których tak lgnę całym swym sercem! Chcę być zwyczajną dziewczyną, chcę całować się ze zwyczajnym wiejskim chłopcem, ale nawet w tym los naigrywa się ze mnie – ze wszystkich możliwych wielbicieli dostał mi się tylko jeden – trup, który rozbił się o zbocza Kilimandżaro!

– Everestu – poprawiła wychowankę pamiętliwa dyrektorka.

– Ach, co mi za różnica, jak się nazywa ta góra, która podstawiała pod miękkie ciało ostre skały! Żyjesz więc tylko jako cień... Ale i to mi chcą odebrać! To też mi nie dane!

– Nikt ci go nie odbiera – odezwała się pani Aaltonen. – Możesz kochać tego swojego Johna. Ale nie bierz sobie tej miłości zbyt do serca. Lepiej poświęć więcej czasu nauce, spaceruj, zażywaj ruchu... Nikt ci nie będzie przeszkadzał. Ale zrozum, że martwi nas twój stan ducha!

Ale Weronika nie słuchała dobrej pani dyrektor. Upadła na łóżko i zalał się łzami.

3

Komisarz Milodar uważnie wysłuchał opowieści dyrektorki. Potem wstał, podszedł do okna i zaczął wpatrywać się w gładź jeziora, zasnutą drobną mżawką.

- Co więc spowodowało, że nie dała pani wiary dziewczynie? – zapytał w końcu.
 - Jak się pan domyślił, że jej nie uwierzyłam?
 - Po co biegałaby pani nocą po wyspie?
 - *Tietenkin* – zgodziła się dyrektorka. – To znaczy – oczywiście. Nie do końca uwierzyłam dziewczynie. Ponieważ poprosiłam lekarza o szczególną obserwację tej dziewczynki...
 - Ile dziecko ma lat?
 - Siedemnaście według ziemskiego kalendarza. Ale my nie wiemy, ile według jej rachuby czasu.
 - Należy chyba wcześniej wypuszczać pani pisklęta na swobodę! Tutaj zaczynają tracić energię...
 - O, rozumiem to! Ale takie są zalecenia Interpolu, by zatrzymywać ptaszęta na Wyspie Dzieci tak długo, jak tylko się da. Sieroty powinny być zidentyfikowane.
 - Jak? – zdziwił się komisarz.
 - To jest rosyjskie słowo! – z dumą oświadczyła Aaltonen, która z reguły miała problemy z bardzo długimi rosyjskimi słowami.
 - No tak, oczywiście – zgodził się komisarz. – A już pomyślałem, że czukockie.
- Przełożona domu dziecka nie doceniła dowcipu komisarza i kontynuowała opowieść:
- Meldunek lekarza stwierdza, że stan ducha Weroniki jest pod napięciem. Że oznacza się gwałtownymi skokami humoru.
 - Może to właściwe dla jej wieku? – zapytał komisarz.
 - Nie, lekarz uważa, że to jest związane z aktywnym romanssem. Że romans albo istnieje, albo niemal istnieje.
 - A co mówią inne podopieczne?
 - One są dosłownie oszołomione tym, że Weronika ma romans z najprawdziwszym tajemniczym umarłym.
 - One w to wierzą?
 - Wszystkie bez wyjątku!
 - I nie są tym zszokowane?
 - Wręcz przeciwnie, komisarzu. My tu mamy szczególny kontyngent sierot. One czują się *miserable*.
 - Czy to po fińsku?
 - Nie, to tytuł powieści francuskiego pisarza, Wiktora Hugo.
 - Chce pani powiedzieć, że one wierzą Weronice na złość pani, pani Aaltonen?
 - Nie, nie na złość mnie – zaoponowała dyrektorka. – Na złość panu, komisarzu. Całemu

niehumanemu systemowi, który zamknął na tej wyspie dzieci i tak już pozbawione ciepła rodzicielskiego.

Dyrektorka straciła przypadkową łzę. Komisarz poczuł się skrępowany, jakby to on sam zgotował tym dzieciakom straszny los.

– Proszę mówić dalej – powiedział.

Starsza kobieta wzruszyła ramionami i komisarz zrozumiał, że w duchu stoi po stronie sierotek i dlatego nadeszła pora, by ją zmienić: w takim emocjonalnym stanie kierownictwa sierocińca nietrudno o nieszczęście. Pod grubo ciosaną, masywną, barczystą, jasnooką powłoką dyrektorki drżało przesadnie czułe serce. Niewykluczone, że gdy owa Weronika stanie się zagrożeniem, dyrektorka z litości może przytknąć oczy na jej działania. Niestety – litość, to uczucie prywatne, a na barki pani Aaltonen złożono przecież odpowiedzialność za losy dzieci i całej Ziemi.

Wykonawszy w pamięci notkę – wyrok na dyrektorkę, Milodar wysłuchał opowieści do końca.

Okazało się, że wczorajszej nocy dyżurna w dormitoriach starszych grup, zameldowała jej, że Weronika dopiero co opuściła swą sypialnię i zmierza, ku wyjściu z zamku. Starsi grupowi znali wszystkie sekrety zamku i znakomicie wiedzieli, że jego niedostępność i archaiczny wygląd to tylko pozory, w rzeczywistości doświadczony człowiek może wyjść z zamku i powrócić doń w każdej chwili.

Póki Weronika wędrowała do kuchni, by stamtąd przez podziemne przejście wydostać się na zewnątrz, dyrektorka nie wzbudzając zbędnego hałasu nałożyła na siebie szary płaszcz i pomaszzerowała za nią. Dyrektorka rozumiała, że dziewczyna zamierza popełnić jakieś wykroczenie, ale nie miała jeszcze pojęcia jak ważne może ono być.

Weronika, nie zwracając uwagi na fatalną pogodę, odziana tylko w peniuar, zbiegła do przystani, a tam, jak się po chwili okazało, w stróżówce przy przystani czekał na nią pewien młodzian, na oko dyrektorki bardzo ciemnoskóry. I mimo że w rozgrywających się chwilę potem wydarzeniach dyrektorką nie miała okazji do dokładnego przyjrzenia się lubieżnikowi, to mogła przysiąc, że młody człowiek jak dwie krople wody przypomina nieboszczyka, którego wielki portret wisiał nad łóżkiem Weroniki. Więcej – dyrektorka mogła przysiąc, że romans Weroniki z nieboszczykiem zaszedł już na tyle daleko, że gdyby w porę nie nastąpiła ingerencja pani Aaltonen, Weronika mogłaby utracić swą dziewiczą cześć, której nie strzegła tak starannie, jak siedemnastoletnia dziewica strzec powinna.

Ale ciąg dalszy wydarzeń wydał się dyrektorke jeszcze bardziej niezrozumiały i to ją wpędzało w przerażenie.

O ile dało się zauważyć, motorówka, na której usiłował zbiec nieboszczyk, przewróciła się i fioletowy kochanek zniknął w odmętach ładożańskiego jeziora. Czy utonął w lodowatej wodzie czy zdołał wydostać się na brzeg – pozostało tajemnicą. W każdym razie, kiedy dyrektorka dotaszczyła do zamku zapłakaną Weronikę, zaalarmowała służby ratownicze na jeziorze. Ale ani resztek łodzi, ani ciała nieboszczyka nie udało się odszukać. Jeśli John Gribkoff zginął powtórnie, to tym razem nie pozostawiając po sobie śladów.

Cała ta historia spowodowała, że dyrektorka tego samego dnia, zgodnie z instrukcją, połączyła się z biurem Interpolu i osobiście z komisarzem Milodarem.

Komisarz Milodar uważnie wysłuchał opowieści dyrektorki, która przez cały czas drżała ze strachu, że komisarz okrutnie wyśmieje jej obawy.

Wcale nie. Milodar porzucił wszystkie sprawy i natychmiast pojawił się w sierocińcu.

– Tak – powiedział, kiedy dyrektorka zakończyła relację. – I co pani na ten temat myśli?

– Nic nie myślę – przyznała pani Aaltonen. – Widziałam diabli wiedzą co, słyszałam diabli wiedzą co i nabrałam ochoty na możliwie szybkie odejście na emeryturę, by wyjechać na wyspy Green Hornu i otworzyć tam szkołę dla utalentowanych młodych akwarelistów.

Oszołomiony Milodar przyjrzał się dyrektorce, ale nie skomentował jej ostatnich słów, ponieważ sam niedawno przyłapał się na chęci rzucenia tego wszystkiego w diabły i zajęcia się poszukiwaniem podwodnych skarbów, utraconych przez hiszpańskie galeony na drodze z Panamy do Barcelony.

– No to – rzekł komisarz Milodar – nie zostaje nam nic innego, jak rozmowa z poszkodowaną.

Dyrektorka rozumiała, że komisarz ma rację, zatem, westchnąwszy ciężko, poprowadziła go przez podwórzec do przytulonej do wschodniej ściany zamku oficyny, gdzie znajdowały się sypialnie wychowanków.

4

Weronika, po spędzeniu dwóch godzin w izbie chorych, gdzie okazało się, że nie doznała żadnych uszkodzeń, wróciła do swojego pokoju. Tu położyła się do łóżka, ponieważ tego dnia została zwolniona z wszelkich zajęć.

Leżała z zamkniętymi oczami i odmawiała jedzenia, nawet nie chciała kompotu z ananasów bez cukru, który to kompot wcześniej wcale nie był jej obojętny.

Na sąsiednim łóżku siedziała dziewczyna o imieniu Ko i czytała powieść Dostojewskiego „Idiota”, co świadczyło o wysokim poziomie nauczania na Wyspie Dzieci.

Dziewczyna o imieniu Ko wywarła na komisarzu dwojakie wrażenie. Z jednej strony była nieśmiała – nawet kiedy wstała, by przywitać się z komisarzem i panią Aaltonen, nie podniosła na nich spojrzenia. Ale kiedy po kilku minutach przechwycił przypadkowo jej wzrok to wydał mu się on zadziwiająco odważny i nawet jakby bezczelny.

Mimo że dziewczyny, Ko i Weronika, zajmujące sąsiednie łóżka w dortuarze, były całkowicie na pierwszy rzut oka różne, doświadczone oko komisarza Milodara wyłowiło istniejące między nimi spore podobieństwo. Ko była błękitnooką blondynką – jej wspaniałe pszeniczne ciężkie włosy nie miały jeszcze kontaktu z farbą czy lokówką fryzjera. Weronika natomiast, leżąc na łóżku z zamkniętymi oczami, obdarzona była grzywą kapitałnych ciemnych włosów, a kolor jej oczu pozostawał na razie tajemnicą. Ale figury dziewczyn i ich wymiary były zadziwiająco podobne.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział komisarz Milodar – to wtargnięcie, ale kieruje mną poczucie obowiązku.

– Och, oczywiście, proszę siadać – powiedziała Ko, odkładając Dostojewskiego na bok. – Pani również, pani Aaltonen, proszę. Czekałyśmy na was.

Mówiąc to Ko przez opuszczone rzęsy przyglądała się komisarzowi.

Komisarz Milodar był niewysoki i dlatego wielu ludziom przypominał niewielkiego drapieżnego ptaka, na przykład, sokoła. Wrażenie to potęgował jego duży mocny, garbaty nos, przypominający dziób. Niewielką głowę komisarza wieńczyła kopa czarnych, tu i ówdzie przenicowanych siwizną, kędzierzawych twardych włosów. Kobiety, kochające się w komisarzu Milodarze, a kochało się w nim wiele kobiet, najbardziej lubiły wczepiać się palcami w jego sprężystą czuprynę. Na smagłej twarzy komisarza płonęły jasnobrażowe, niemal żółte, kocie, a może i ptasie oczy, które przeszywały na wylot rozmówcę i głośiły: „Widzę cię jak pod mikroskopem, paskudo!”

Ko odruchowo nastroszyła się.

Ale w tym momencie komisarz uśmiechnął się i oblicze jego, jakże surowe i nawet okrutne przed chwilą, w zadziwiający sposób zmieniło się. Cienkie promyki pobiegły od kącików oczu, niczym na twarzy kłowna wygięły się kąciki wąskich warg, nawet czubek nosa podniósł się do góry – Ko nie widziała jeszcze w życiu człowieka miłszego i lepszego od komisarza Milodara.

Ostrożnie, powiedziała w duchu Ko, która mimo niewielkiego życiowego doświadczenia wyróżniała się z otoczenia wspaniale rozwiniętym zmysłem obserwacji i nieufnością wobec dorosłych. Rówieśnicy mogli być przyjaciółmi, dorośli, wszyscy bez wyjątku, odnosili się do sierot nieufnie, ostrożnie i nieszczerze. Nawet jeśli się przy tym miło uśmiechali.

– Weroniko! – odezwał się komisarz podchodząc do jej łóżka. – Przyszedłem ci pomóc. Leż, leż sobie, nie wstawaj, przeżyłaś szok nerwowy. Moim obowiązkiem jest ci pomóc.

Weronika otworzyła niebieskie oczy – okazało się, że mają ten sam kolor, co Ko. Tyle że oczy Ko były jaśniejsze i weselsze.

– Jak może mi pomóc osoba, która zapomniała podać swoje imię?

– Ach, to moje niedopatrzenie! – zawołała dobra pani Aaltonen. – Nie przedstawiłam wam komisarza Milodara, jednego z szefów Policji Intergalaktycznej, który prowadzi śledztwo w sprawie napaści na ciebie, kochana Weroniko.

– Jakże to miłe, że troszczą się o mnie tak wysokie szarże – odpowiedziała Weronika. – Ale w niczym nie mogę wam pomóc. Znajdowałam się w lunatycznym transie, a kiedy się ocknęłam, to obok mnie była pani Aaltonen. Ona może wszystko opowiedzieć.

– Już mi opowiedziała – przyznał komisarz. – Ale, jak można się domyślić, jej opowieść mnie nie satysfakcjonuje. Tak więc muszę wysłuchać i twojej wersji. Gwarantuję całkowitą dyskrecję. Identyczną jak tajemnica spowiedzi.

– Mam wyjść? – zapytała Ko.

– Wręcz przeciwnie – jesteś mi potrzebna w charakterze papierka lakmusowego. Będę słuchał opowieści Weroniki, a przyglądał się tobie. Z twojej twarzy będę wnioskował, kiedy Weronika mówi prawdę, a kiedy nie.

– No to na pewno wyjdę! – Ko odtrąciła książkę i poderwała się. „Ho-ho! – pomyślał Milodar. – Już teraz ma chyba z metr osiemdziesiąt. I jeszcze rośnie. Och, ta cholerna akceleracja następnych pokoleń! Kiedy to się skończy? Wszystkie dziewczyny są wyższe ode mnie!”

– Wystraszyłaś się, że Weronika będzie kłamała? – zapytał Milodar nie ukrywając uśmiešku satyra.

– Ależ nie, dlaczego pan tak myśli? – Ko była wyraźnie skonfundowana.

– Zostań, oni chcą nas zastraszyć – poprosiła Weronika.

– Nic podobnego! – zaprzeczyła pani Aaltonen.

– Jakże mi to obrzydło! – Weronika nie zwróciła uwagi na okrzyk dyrektorki. – Nic tylko przesłuchania, podejrzenia, prześladowania! Nie zdąży człowiek się zakochać, a już wszyscy wokół podejmują kroki zapobiegawcze!

Zadziwiająco pięknie w tym momencie wyglądała. Niebieskie jak akwamaryny oczy promieniowały wrzącym gniewem, rzęsy przypominały stada czarnych strzał, wycelowanych w serca siepaczy, czarne loki opadły na ramiona, policzki zaróżowiły się, a nos zbladł.

Milodar cierpliwie czekał na odpowiedź, ale Weronika najpierw musiała się uspokoić. Kiedy to się stało dziewczyna powiedziała:

– Nic by się nie stało, gdybym nie była śledzona.

– Wątpię – wtrąciła się nagle do rozmowy Ko. – Przecież sama mówiłaś, że w ostatnim czasie John stał się jakiś nerwowy, agresywny.

– Nie wdarałabym się do stróżówki, gdybyś ty, Weroniko, nie wzywała pomocy z jej wnętrza.

– Wołałam o pomoc wcale nie po to, by mi jej ktoś udzielił. Czyżby pani, przeżywszy tak długie

życie, nie miała do tej pory pojęcia o takich rzeczach?

– Wiem, że muszę wierzyć ludziom – oświadczyła pani Aaltonen z właściwym jej poczuciem godności osobistej. – Jeśli ktoś krzyczy „na pomoc” – to śpieszę na pomoc.

– A jeśli on naprawdę utonął? – zapytała Weronika. Jej oczy wypełniły się kryształowymi łzami, strome piersi nerwowo unosiły się i opadały. – Kto jest za to odpowiedzialny?

Dyrektorka milczała oszołomiona. Zamrugła tylko białymi rzęsami, rozłożyła ręce. Ale przyszedł jej na pomoc komisarz Milodar:

– Sądzę – powiedział wychodząc na środek pokoju, żeby móc lepiej przyjrzeć się wizerunkowi Johna Gribkoffa – że odpowiedzialną za jego śmierć jest góra Everest. Jezioro Ładoga nie ma tu nic do rzeczy.

– Dlaczego? – zdziwiła się Weronika.

– Dlatego, że waszego Johna w odpowiednim czasie odpowiednio pogrzebano. Czy może będziesz twierdziła, że jest widmem?

– Nie wiem...

– Wasze opowiadania mogą zrobić wrażenie tylko na romantycznych dziewczętach i ufnych wychowawczyniach. Nawet nie obmyśliłyście do końca swojej historyjki – powiedział komisarz. – Nie jesteście przygotowane na przesłuchanie. Teraz zatem proszę wszystkich o opuszczenie pomieszczenia, a ciebie, moja panno, zacznę przesłuchiwać na osobności, tak jak to się robi w mojej instytucji, kiedy mamy do czynienia z niebezpiecznymi nieziemskimi przestępcami.

– Ojej, proszę nie! – poprosiła Weronika.

– Nie odważaj się pan! – sprzeciwiła się dyrektorka. – To jeszcze niemal dziecko!

– Uciekniemy – zapewniła go Ko. – I będziemy żyły w lesie. Niech nas pożrą komary.

Milodar z zainteresowaniem popatrzył na koleżankę Weroniki. Prócz tego, że miały oczy tego samego koloru, były podobne do siebie – zgrabne figury, szczupłe i wysokie. Ale Milodar ciągle nie mógł zdecydować się, jakie zestawienie bardziej mu się podoba: niebieskie oczy i czarne loki Weroniki, czy pszenicznego koloru kędziory i bławatkowe oczy Ko.

– W takim razie – powiedział Milodar pokojowo – na razie nie będziemy nikogo przesłuchiwać, a tylko pójdziemy sobie na spacer. Gdzie tu się chodzi na spacer?

Kobiety patrzyły na komisarza szeroko otwartymi oczami. Propozycja była co najmniej nieoczekiwana.

– Może popatrzymy sobie na waszą przystań? – zaproponował Milodar.

– I na stróżówkę, powaloną przez wiatr – powiedziała Ko, bystrzejsza od innych.

– Ale ubierzcie się ciepło – powiedział Milodar – i weźcie ze sobą parasole. Zbiera się na deszcz.

Po kilku minutach pokojowo wyglądająca grupka opuściła zamek.

Deszcz już nie groził – chmury przepędził wiatr – nad Ładoga pogoda jest bardzo niestabilna, czasami w ciągu pół godziny może zmienić się trzy razy.

Na oczyszczonej z kamieni polanie przed zamkiem kilku chłopców z młodszej grupy, pod nadzorem wysokiego okularnika, wuefisty, biegało za piłką. Młody człowiek przywitał się z dyrektorką i Milodarem. Jego ruchy zdradzały niezłego sportowca, a maniery – dobrze wychowanego gentlemana.

– To jest nasz trener Artem Ter-Akopjan – powiedziała dyrektorka. – Były wicemistrz świata w surfing. Pisze poemat o sporcie i dlatego potrzebował cichego miejsca, sprzyjającego twórczej

pracy. Zaproponowaliśmy mu posadę wuefisty zamiast Ludmiły Georgijewny, która przeszła do baletu.

Wuefista rzucił wyraziste spojrzenie na dziewczyny, a one spłoszone spuściły oczy.

Milodar pozostał trzy kroki z tyłu, podniósł do ust bransoletkę zegarka i szepnął:

– Wernisaż. Wzywam Wąskie.

– Wąskie na łączu.

– Sprawdź lojalność wykładowcy wuefu na Wyspie Dzieci, nazywa się Artem Ter-Akopjan.

– Sprawdzony według wzorca szesnaście – odpowiedziała bransoletka.

– Koniec połączenia – zakomunikował bransolecie Milodar.

Był trochę rozczarowany, ponieważ wolałby zdemaskować już galaktycznego szpiega. Ale według wzorca szesnaście sprawdzano wywiadowców wysyłanych do Czarnego Imperium. I żaden jeszcze nie był tam zdemaskowany.

Minąwszy boisko do piłki nożnej, mała procesja skierowała się ku przystani.

– Proszę opowiadać po drodze – polecił Milodar.

– Schodziłam tędy – oświadczyła Weronika – ponieważ w mojej śpiącej duszy rozbrzmiewał nakaz przyścia do przystani. To mnie ciągnęło. Nie miałam siły sprzeciwić się temu wezwaniu.

– Miała na sobie nocną białą koszulę – powiedziała dyrektorka. – To straszne!

– Jak to? – zdziwił się komisarz. – Na randkę w takim stroju?

– A co miała zrobić skoro umarłak wywlókł ją z pościeli zapomniawszy obudzić? – wtrąciła się Ko. – Ja to bym umarła ze strachu.

Szły obok siebie, trzymając się za ręce, i – ponieważ miały na sobie jednakowe uczniowskie ubrania: szare sukienki dopasowane w talii z bardzo oficjalnymi białymi kołnierzykami – różniły się od siebie tylko kolorem włosów, całą resztę mając niemal bliźniaczą.

– Nie pamiętam w czym byłam – przyznała Weronika. – Szłam jak we śnie.

– Czy podporządkowanie się woli tego potwora było nieprzyjemne? – zapytał Milodar.

– Przecież nie wiedziałam, że to potwór! – zdziwiła się Weronika.

– Oczywiście, że potwór. Posłuchałabyś swojego wystraszonego głosu, moje małeństwo – powiedziała dyrektorka.

– I na dodatek biegłaś boso – powiedział Milodar, jakby był świadkiem tej sceny.

– A skąd pan to wie? – zapytała dyrektorka.

– Sądząc ze starych legend, jeśli dziewczyna staje się ofiarą straszliwego umrzyka, to wybiega do niego na spotkanie boso i nawet nie czuje, jak ostre kamienie kaleczą jej stopy!

– O tak – zgodziła się Weronika. – Byłam jego niewolnicą. Nie mogłam mu się oprzeć. I moje delikatne stopy nie odczuwały ostrych kamieni. Jego głos przenikał do mojej bezbronnej świadomości. To był typowy nieboszczyk. W kolorze fioletu!

– Ach! – wystraszona Ko wyrwała dłoń z ręki przyjaciółki.

Dyrektorka zasłoniła dłońmi twarz, ale natychmiast potknęła się o korzeń i poleciała do przodu. Komisarz Milodar nawet nie usiłował przytrzymać dyrektorki, musiała to zrobić Ko, która zdążyła odwrócić się, skoczyć do przodu i powstrzymać własną piersią upadającą panią Aaltonen. Cudem tylko dobrze zbudowana dyrektorka nie złamała jak trzcinkę swojej wiotkiej pensjonariuszki.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Milodar – że nie uczestniczyłem w tej scenie, ale tym, którzy jeszcze tego nie wiedzą, muszę powiedzieć, że widzicie przed sobą nie ciało komisarza Milodara, ale tylko znakomicie wykonany hologram, to znaczy – trójwymiarową wizualizację. Muszę

podejmować takie środki bezpieczeństwa walcząc z międzynarodowym terroryzmem i niektórymi skorumpowanymi reżimami. Zbyt wiele wiem i jestem dla nich niebezpieczny.

– Nie liczyłyśmy na pańską pomoc, komisarzu – odparła pani Aaltonen.

Kontynuowali schodzenie na dół.

Między sosnami błękitniała toń jeziora. Cudowny rzeński dzionek zapanował nad jeziorem Ładoga.

Oto i brzeg.

Sosnowy bór został z tyłu. Wszystko na brzegu zalane było marnym światłem północnego słońca. Z prawej leżała powalona na bok stróżówka. Na wprost – straszliwie zaniedbana przystań.

– Tu właśnie wszystko się odbyło – powiedziała dyrektorka.

Dziewczyny posłusznie zatrzymały się o dwa kroki od stróżówki. Komisarz Milodar nie wyczuwał, by bały się, albo czuły w jakiś sposób winne. To go niepokoiło.

– Kiedy podeszłam do stróżówki – oświadczyła dyrektorka – Weronika już była wciągnięta do wnętrza przez jej towarzysza... kusiciela... *Rakastaja* – czy to jest przyzwoite określenie?

– Kochanek to zawsze jest nieprzyzwoite określenie – odpowiedziała Ko, ale w jej niebieskich oczach komisarz wychwycił wesoły błysk.

Cała to historia bardzo mu się nie podobała. Nie, nie dlatego mu się nie podobała, że była jednym wielkim oszustwem. Jeszcze nie dotarł do sedna tego oszustwa, ale całe jego olbrzymie doświadczenie z dziedziny wykrywania indywidualnej i zorganizowanej przestępczości podpowiadało mu: „Milodarze, bądź bardzo ostrożny. Możliwe, że masz do czynienia z pułapką na skalę kosmiczną!”

– Zatrzymałam się – powiedziała dyrektorka – i pomyślałam, że powinnam zapukać do drzwi. Ale gdzie stukać?

– Dlatego zaczęła pani podsłuchiwać. Fe, jakie to obrzydliwe! – zawołała Ko.

– Jestem tu dyrektorką i powinnam była podsłuchiwać dla dobra Weroniki. Gdybym tego nie zrobiła, to ona byłaby już pozbawiona swej czci.

– Ale nie wołałam pani.

– Krzyczałaś i szarpałaś się niczym ptaszek w sieci!

– Ale to nie były okrzyki do pani – nadąsała się Weronika. – To były krzyki dla niego.

– I przez cały ten czas wiedziałaś, że jest nieboszczykiem? – zapytał Milodar.

– Oczywiście – przyznała po krótkim namyśle Weronika.

– I nie miałaś żadnych oporów przed całowaniem się z umarlakiem?

– A czy to coś gorszego od całowania z żywym? – zaczepnie zapytała Weronika.

– Nie zalatywało od niego... rozkładem, stęchlizną?

– Dlaczego niby?

– Umarli mają specyficzny zapach.

– Ale nie John Gribkoff! – oświadczyła dziewczyna.

– Pachniał perfumami „Toreador”!

– Przecież mogą być wyjątki – przyszła z pomocą przyjaciółce Ko.

– Nie – delikatnie zaoponował Milodar. – Wyjątki, na szczęście, się nie zdarzają. Ale proszę kontynuować. To znaczy – weszłaś do stróżówki, a on już tam czekał?

– Tak – potwierdziła dyrektorka – wyciągał do niej te swoje ciemne ręce!

– Fioletowe ręce – poprawiła dyrektorkę Weronika.

– Cudowne fioletowe dłonie.

– To jakby malowidło wojenne, jak mawiali Irokezi – wyjaśnił Milodar, choć nikt go o wyjaśnienie nie prosił.

– Zawsze jest taki.

– Ten kolor pasuje do nieboszczyków – zgodził się Milodar. – I, powiadasz, nie czułaś mocnego zapaszku?

– Nie było w ogóle zapachu! – obruszyła się Weronika.

– Dobrze, nie sprzeczam się. To znaczy, przebudziłaś się i powąchałaś...

– Wcale nie wąchałam!

– A jego dłonie były lodowate?

– Niby czemu? – zdziwiła się Weronika. – Najzwyczajniejsze gorące objęcia.

– Nieboszczyka? Jak to rozumieć – podgrzewanie ma, czy jak?

– No bo przecież on nie jest do końca martwy. Dla mnie on jest jak Lenin dla komunistów – wiecznie żywy.

– Ale komuniści nie obejmują się z Leninem.

– Nie wiem – odparła Weronika. – Nam te objęcia sprawiały przyjemność. Mam na myśli Johna.

– Dziękuję za wyjaśnienie – powiedział Milodar. – Wygląda, że miałaś szczęście z tym nieboszczykiem. Nie dość, że pachnie perfumami, to jeszcze podgrzewany.

– Proszę przestać! Jest pan wstrętny!

– Co więc zamierzał on zrobić w tej stróżówce?

– Wszedł był ze mną na łóżko – oficjalnym tonem i stylem oświadczyło dziewczę – i zamierzał mnie kochać.

– Zupełnie przy tym nie śmierdząc.

– Dlaczego się pan tak przyczepił do tego smrodu! – zakrzyknęła Ko. – Skoro jej się wydawało, że nie śmierdzi, to znaczy, że nie ma to żadnego znaczenia.

– Nieprawda, ma i to wielkie! Proszę sobie wyobrazić, że pani Aaltonen nie zdążyłaby zareagować na krzyki nieszczęsnej ofiary...

– Krzyczałam cicho – mruknęła Weronika. – Krzyczałam, ponieważ w takich przypadkach należy krzyczeć. Gdybym wiedziała, że jesteśmy podsłuchiwani, to zapanowałabym nad sobą i milczałabym.

– Racjonalne podejście – oświadczył zamyślony Milodar.

Obszedł dokoła stróżówkę, pozostali szli za nim. Przystanęli przy zburzonej ścianie.

– Tędy upiór wyskoczył na zewnątrz? – zapytał Milodar.

– O tak! – potwierdziła madame Aaltonen. – Uderzył w nią jak buldożer. Jest takie słowo?

– Oczywiście, że jest – potwierdził komisarz.

– I ja mogłam przy okazji zginąć – dodała Weronika.

– Dziwne jakieś to widmo – powiedział Milodar. – Nie śmierdzi, gorące jak piec, ucieka ze stróżówki, wyłamując połowę ściany. A potem?

– Potem pobiegł tam – wskazała kierunek dyrektorka. – Miał tam przywiązaną łódkę.

– I widmo do kompletu wszystkich swych pechowych wydarzeń musiało jeszcze sterować łódką.

– Na dodatek nie miało szczęścia – uzupełniła dyrektorka.

– Utonął? – zapytał komisarz.

– Mam nadzieję, że wypłynął – powiedziała Weronika. – Tak naprawdę, to on świetnie pływa. Widziałam kilka razy jak on pływa.

– I wrócił do swej mogiły... – podsumował komisarz Milodar. Następnie zwrócił się do dyrektorki: – A pani jak sądzi, gdzie ukrywają się widma w dzień?

– Pewnie w ziemi – powiedziała dyrektorka. – Lub w prosektorium, jeśli nie został pochowany.

– Zachowujecie się, jakbyście nam nie wierzyli – potępiającym tonem oświadczyła nagle Ko.

– A wy się zachowujecie tak – odrzekł jej Milodar – jakbyście wierzyły w całą tę bzdurę.

– To nie jest bzdura! – nieoczekiwanie poparła Ko madame Aaltonen. – Sama prawie go schwytałam. Taki był straszny.

– Straszny? – powtórzył pytającym tonem Milodar dziewczynę.

– Nie zawsze – uchyliła się od prostej odpowiedzi Weronika.

– No to wszyscy są wolni – oświadczył komisarz.

– Jak to – wolni? – nie zrozumiała dyrektorka. – Chce pan powiedzieć, że miał chęć na nasz areszt, a teraz się pan rozmyślił?

– Ma pani całkowitą rację, z wyjątkiem aresztu – odparł komisarz. – Dziewczęta muszą się przygotować do zajęć, a pani, pani Aaltonen, powinna wrócić do swojego gabinetu i chwycić w dłonie ster Wyspy Dzieci. A ja pójdę na spacer.

– Ale dlaczego? Przecież ma pan do rozwiązania poważną sprawę! – zawołała dyrektorka.

– Dlatego będę bardzo poważnie spacerować – odparł Milodar. – I bardzo poważnie zastanawiać się, jak rozwiązać tę zagadkę.

Rzucił szybkie spojrzenie na Weronikę. Ta zmarszczyła czołko. Decyzja komisarza z niewiadomego powodu zaniepokoiła ją. Ko stała obok i uważnie wpatrywała się w komisarza. Sądząc z miny – nie uwierzyła w jego słowa.

„A co mi tam – pomyślał komisarz. – Same to wymyśliły, to niech teraz kombinują, jak się z tego wyplątać”.

I poleciwszy kobietom, by zostawiły go samego, komisarz Milodar pozostał na brzegu nieruchomo tak długo, jak długo nie zniknęły za pniami sosen. Towarzyszyło im krakanie wrony, siedzącej na jednej z niskich gałęzi.

Wtedy dopiero komisarz przystąpił do działania.

5

Komisarz był zwolennikiem kryminalistyki klasycznej. Podobnie jak wsiowy znachor czy starutki wiejski lekarz, wierzył w intuicję i leczył społeczeństwo przy pomocy doświadczenia życiowego, wiedzy o naturze ludzkiej, a kiedy tego wymagała sytuacja – nie ustępującego twardością skale – charakteru, a także lekceważenia ryzyka i wrzasków pacjenta.

Przekonawszy się, że w pobliżu nie ma już nikogo, komisarz ostrożnie wszedł do stróżówki. Ponieważ był hologramem nie groziło mu niebezpieczeństwo fizyczne, ale psychologicznie trudno jest pełzać pod powalonymi belkami, deskami oraz dachem, który w każdej chwili mogą runąć na głowę.

Gdyby zadano komisarzowi pytanie, czego właściwie szuka, wzruszyłby holograficznymi ramionami i nie odpowiedział. Sam tego nie wiedział. Szukał czegokolwiek. A już potem z tego czegokolwiek wyprowadziłby odpowiednie wnioski.

W ruinach stróżówki było ciemno, szeleściły czymś polne myszy. Na wywróconej szerokiej ławie został wykryty strzęp białej jedwabnej tkaniny. Był to ślad po miłosnym wydarzeniu. Ale niczego nowego nie wnosił do sprawy, potwierdzał tylko to, że świadkowie mówili prawdę.

Milodar powtórzył trasę ucieczki nieboszczyka od stróżówki w stronę przystani; musiał w tym celu przeniknąć przez deski, staranowane przez ciało Johna Gribkoffa. Na jednej z drzazg, używając specjalnego mikromanipulatora, który w odróżnieniu od komisarza nie był hologramem, Milodar odkrył ślady krwi. Próbką powędrowała do woreczka przy pasie: określenie grupy krwi zmarłego mogło dopomóc w śledztwie i, co najważniejsze, udowodnić z całą oczywistością, czy był to nieboszczyk czy też całkiem żywy miłośnik młodych ciał pensjonariuszek.

Milodar wszedł na przystań. Deszcz i rosa zmyły ślady z desek, dlatego też molekularny pies Milodara nie mógł podjąć tropu. Zresztą – co tam trop, podejrzany i tak przecież znalazł schronienie na łodzi. Co było, szczerze mówiąc, dość dziwną decyzją, jeśli pamiętać, że podejmował ją nieboszczyk. Widma zazwyczaj nie potrzebują łodzi, każdy duch może chodzić po powierzchni wody. Zresztą łódź też... Jakże mógł o tym zapomnieć!

Milodar nacisnął ponownie przycisk na bransolecie i poprosił o połączenie z gabinetem dyrektorki.

- Pani Aaltonen, mam nadzieję, że nie przeszkodziłem pani? – zapytał.
- Och, nie, nie zdążył pan przeszkodzić. Dopiero co wróciłam. A co za pytanie ma pan?
- Chciałbym, żeby pani opisała mi łódź, w której uciekł ów człowiek...
- O, *vene!* To znaczy łódka... To była błękitna *vene*. Mieliśmy taką na spacer... nie wiem, teraz nie jest sezon na spacer.
- Czy wasze łodzie są ponumerowane?
- Zadał pan prawidłowe pytanie, komisarzu! – zawołała dyrektorka. – Każda nasza *vene* ma swój

numero. Wielka cyfra, rozumie pan?

- Jaki numer miała ta łódź? Rozumiem, że było ciemno, ale...
- Numero bardzo niedobry.
- Trzynaście?
- Jak się pan domyślił?
- Doświadczenie życiowe – skromnie odparł komisarz.

Rozłączył się i uważnie przyjrzawszy się pomostowi zeskoczył zgrabnie na brzeg, pokryty żwirem, potem ruszył brzegiem wzdłuż wody.

Trasa prowadząca wzdłuż brzegu wyspy chwilami była łatwa, niczym spacerowy szlak po brzegu morza Czarnego, ale chwilami komisarz musiał pokonywać niełatwe przeszkody. Co za szczęście, myślał w takich chwilach, że jestem tylko zwyczajnym hologramem.

W tych łatwych do pokonania miejscach wąska plaża, szara, pokryta żwirem, była gładka, i nawet jeśli trafiały się na niej jakieś korzenie czy gałęzie wyrzucone przez sztorm, to nie było trudno je ominąć. Gorzej było w tych miejscach, gdzie skały zbliżały się do wody. Chwilami Milodar brnął przez lodowatą wodę zanurzony po kolana, a nawet po pas. W innych miejscach wspinał się na skały.

Na wąskim odcinku wyspy sosnowy bór zbliżał się do jeziora tak, że powykręcane w walce o życie korzenie ogromnych drzew dotykały wody. Niektóre drzewa już się zawaliły, nie wytrzymały naporu wiatru i wody. W tę okolice, z góry, od strony zamku, prowadziła wąska, zarośnięta ścieżka, której istnienia łatwiej było się domyślić niż ją zobaczyć. Najpewniej tu przychodziły pary wychowanków, by przeprowadzić ze sobą zasadniczą rozmowę albo pomarzyć w samotności i ciszy.

Milodar przystanął w tym miejscu i zaczął krążyć między splątanymi sosnowymi korzeniami. Poszukiwania jego nie były daremne i wkrótce zakończyły się sukcesem, do którego Milodar przez cały czas dążył.

Zagląając w mroczne wnęki pod korzeniami i powalonymi w jezioro pniami drzew, pod głazy i omszałe skały, sięgające wymiarami parowozu, Milodar dojrzał błękitny pasek. Wszedł więc po pas do wody i przyciągnął do siebie dziób niewielkiej ratunkowej szalupy, którą ktoś zatopił pod karczem, sądząc, że w ten sposób znakomicie ukryje ją przed postronnym wzrokiem. Na dziobie łodzi widniała cyfra „13”.

Milodar nie wyciągał łodzi na powierzchnię – wystarczyła mu pewność jej istnienia. I przekonanie, że nie mogła jej tu wpakować żadna przypadkowa sztormowa fala. To musiało być dziełem silnych ludzkich rąk.

Następnie Milodar, niczym cooperowski tropiciel, zaczął przeszukiwać okolicę, starając się nie nadepnąć przypadkiem na gałązkę czy listek, by nie zniszczyć dowodów rzeczowych, co w postaci hologramu przychodziło mu z łatwością.

Wkrótce poszukiwania przyniosły wyniki.

Odsunawszy głaz, na powierzchni którego sokoli wzrok komisarza wypatrzył świeże odciski ludzkich palców, zobaczył niewielką puszkę fioletowej farby, z napisem: „Farba do maskarad, zaleca się wykorzystywać tylko do malowania diabłów i duchów podziemnych. Strzec przed dziećmi, ponieważ spożycie może wywołać nieżyt żołądka”.

– No tak – powiedział na głos Milodar. – Tu straszliwy umarłak nabiera ciała.

Rozgrzebawszy suche liście pod owym kamieniem komisarz odkrył czarną maskę z tkaniny. Teraz do kompletu stroju Johna Gribkoffa brakowało już tylko szortów. Ale Milodar nie oczekiwał, że one

też tu się znajdują. W sumie sukces – odnalazł bazę tajemniczego nieboszczyka i nawet ślady jego przebierania się. Można było przyjąć, że po ucieczce ze stróżówki, spłoszony przez dyrektorę, trup zainscenizował zatonięcie swojego statku, a następnie, pod osłoną fatalnej pogody, doprowadził swą łódeczkę tu. Skoro więc schronienie nieboszczyka znajdowało się na Wyspie Dzieci, to całkiem prawdopodobne było, że on sam należał do grona jego mieszkańców. A skoro był mieszkańcem, to dobrze by było znaleźć go i porozmawiać. Milodar jeszcze nigdy w życiu nie rozmawiał z prawdziwym nieboszczykiem.

Uważnie przyjrzawszy się i nie znalazłszy już więcej nic podejrzanego, Milodar ruszył w głąb wyspy po niemal niewidzialnej ścieżce. Zwykłemu człowiekowi ten las nie opowiedziałby niczego, ale komisarz od razu zauważał, a to złamaną sosnową szpilkę, a to ziarenko piasku, które przyłgnęło do listka zajęczego szczawiu... Przesadnie głośno i jakby sprzecząc się wrzeszczały mu nad głową dwie wrony, i na to też komisarz zwrócił uwagę.

Na odsłoniętym kawałku skały widniał przyklejony listek, a na nim i bez lupy widoczny był odcisk podeszwy. Aha, pomyślał Milodar, nasz umarłak zdołał włożyć obuwie i – pewnie nawet – przebrać się w swojej kryjówce, ciekawy szczegół.

Ścieżka wyprowadziła Milodara na polankę, porośniętą leszczyną – nad nią zawisł mur zamku.

– No, to jesteśmy już bliżej domu – zauważył na głos komisarz, a wrony, przedrzeźniając go złowieszczo zakrakały.

Ścieżka prowadząca przez leszczynę doprowadziła Milodara do sekretnych drzwi w murze zamku. Przed furką znajdował się niewielki dół z wodą, na jego brzegach, kryjąc się w turzycy i błotnistej zieleni, rozsiadły się ospałe żaby. Jedna z wron zapikowała i porwała w dziób tłustszą z żab. Pozostałe z głośnymi pluskami walnęły się w wodę. Woda w stawiku zafalowała, a Milodar poszedł brzegiem zbiornika do drzwi.

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, ukazując słabo oświetlone pomieszczenie.

Nagle fala mętnej wody wytrysnęła z drzwi, uderzyła Milodara w twarz i zwała do zbiornika z wodą. Jedyne faktu, że komisarz był hologramem uratował go jeśli nie od śmierci, to od potężnych kłopotów.

Jego okrzyk wywołał na próg dwie praczki, najpewniej te, które przed chwilą opróżniły przez drzwi balię z mydlinami.

– O matko, tylko takiego cudaka nam tu jeszcze brakowało! – zawołała jedna z nich.

– Czyżbym nie był tu pierwszym cudakiem? – natychmiast chwycił koniuszek nici komisarz; rzucił jednocześnie z siebie wodorosty, żaby i lodygi turzycy. Jeden kielich kwiatu został na czubku jego głowy, nadając mu nieco figlarny i lekkomyślny wygląd.

– Zdarzają się – dość enigmatycznie odpowiedziała praczka. – A dlaczego pan się tu skrada?

– Tak sobie, przechodziłem tym laskiem – odpowiedział zwyczajnym tonem komisarz. – Patrę – staw, już miałem przysiąc sobie na brzeżku, popatrzeć w wodę, ale wylałyście na mnie swoje mydliny.

– Spacerek, znaczy się? – zapytała praczka.

– I stawik zobaczył? – dodała druga.

Obie były młodymi kobietami, rumianymi – życie na świeżym powietrzu spowodowało, że upodobniły się do wiejskich dziewczyn – krew z mlekiem.

– A wystarczyłoby rozejrzeć się dokoła – zauważyła pierwsza praczka, rumiana i piegowata – żeby zobaczyć, że trafiłeś na śmietnik, o – stoją kubły. Wspaniałe miejsce na spacerek.

Kpiąc i ironizując praczki wolno, uśmiechając się ciągle, zbliżyły z obu stron do Milodara, następnie chwyciły go mocnymi dłońmi, by wykręciwszy ręce do tyłu, podciąć nogi, powalić na ziemię i unieszkodliwić.

Ale z komisarzem Milodarem takie numery, jak wiadomo, nie przechodzą.

Palce praczek przeszły przez bicepsy Milodara jak przez powietrze. Nogi ich przeleciały przez pustkę i w wyniku energicznie wykonanych chwytów praczki same straciły równowagę i zwały się do stawu, wody którego uzupełniane były regularnie wodą po praniu i z innych gospodarczych odpadów.

Milodar cofnął się o kilka kroków i, oparłszy dłonie o klamkę, czekał.

– Hasło: Florencja – powiedział, gdy praczki wytrząsnęły z uszu wodę.

– Odzew: Michelangelo – odpowiedziały chórem praczki.

– Należy najpierw sprawdzić, na kogo się rzucacie – powiedział Milodar.

– Nie miałyśmy czasu patrzeć – najpierw zadziałałyśmy, panie komisarzu – odparła piegowata praczka.

Praczkki, jak i wielu innych pracowników personelu, były etatowymi pracownikami Policji i nawet miały stopnie oficerskie. Praczkki, w tym obszarze działania, miały, na przykład, obowiązek przeszukiwania przekazywanej im do prania odzieży celem wykrycia zapomnianych przedmiotów lub napisów, poza tym dokonywały chemicznej analizy bielizny pościelowej, by wykryć czy łyż sierotek nie zawierają czegoś podejrzanego, którymi skrapiały poszewki swoich poduszek.

Prócz tego praczkki miały strzec wszystkich wejść i wyjść z zamku, dlatego Milodar, nie wypowiadając profilaktycznie hasła, miał stać się ofiarą ich czujności.

Ale wszystko skończyło się szczęśliwie, żadna z praczek nie ucierpiała, hologram Milodara również wyszedł z potyczki bez szkód.

Dlatego komisarz od razu przystąpił do wypytywania praczek.

– Od dawna macie tu dyżur? – zapytał.

Pierwsza praczka odparła, że od rana.

– Kto przechodził tędy?

– Z tych drzwi nikt nie korzysta – odpowiedziała druga praczka. – Tylko ci pracownicy, którzy mają placet.

– A w nocy?

– W nocy zamykamy drzwi na klucz i idziemy spać.

– To znaczy, że w nocy można sobie przechodzić przez te drzwi ile dusza zapagnie?

– Wcale nie – odpowiedziała pierwsza praczka. – Ten specjalny patentowany zamek przeszedł testy w zarządzie utajnienia. Nikt nie da rady go otworzyć.

– Jasne – odpowiedział Milodar. Uważnie przyjrzał się zamkowi i drzwiom, potem polecił praczkom, by weszły do wnętrza, a kiedy drzwi za nimi zamknęły się polecił im zamknąć je na zamek. Zostało to wykonane. Milodar wsłuchiwał się w szcęk rygli zamku.

– Gotowe? – zapytał.

– Gotowe.

Wtedy Milodar, mimo że był własnym hologramem, zaczął manipulować w zamku paznokciem wskazującego palca, zachowującego twardość i sprężystość. Po minucie zamek szcęknął i drzwi wolno otworzyły się.

– To być nie może! – zakrzyknęła druga praczka. Milodar w myślach zwolnił praczki z Interpolu

i – odsunawszy podwładnych – pomaszerował wąskimi kręconymi schodami na piętro.

Wszedł w służbowy korytarz. Pokój z napisem na drzwiach „Kancelaria” trafił się jako pierwszy z wielu, co komisarz uznał za dobry omen.

W kancelarii siedziała tylko dyrektorka i sprawdzała dzienniki klasowe. Żółte włosy przetykane siwizną, harpagon zebrał w przypominający figę kok na czubku głowy.

– Proszę o wykaz wszystkich pracowników Wyspy Dzieci płci męskiej – zażądał Milodar.

– Młodych, silnych, wysokich, kolor liliowy? – zapytała dyrektorka.

– To ostatnie niekoniecznie – przerwał komisarz przesadnie domyślnej pani Aaltonen.

– Jest pan w błędzie – powiedziała dyrektorka. – Wśród pracowników mojego zakładu nie ma ani jednego *kuollut*. To znaczy – martwego człowieka.

– Sprawdzenie tego leży raczej w moich kompetencjach – oświadczył zmęczonym tonem Milodar.

Rozwiązane zagadki nie były warte jego zainteresowania – jak były żony. Zapominał nawet o wysyłaniu im alimentów.

Grube palce dyrektorki przemknęły po klawiaturze komputera, po chwili podała komisarzowi wydruk. Na wyspie, poza wychowankami, wśród których nie znalazł się ani jeden odpowiadający posągowym parametrom nieboszczyka Johna Gribkoffa, znajdowali się tylko trzej potężnie zbudowani młodzi mężczyźni. Jeden z nich był kapitanem kutra, który realizował łączność wyspy z kontynentem. Codziennie odbywał rejsy swoim niewielkim towarowym stateczkiem na poduszce powietrznej, przywożąc artykuły spożywcze i odwożąc to, co miało być odwiezione. Drugi młody atleta, stomatolog, mógłby znaleźć się na liście podejrzanych, szczególnie że był Murzynem, który mógłby wybrać liliowy kolor do zamaskowania koloru swej skóry, ale – o czym wiedzieli wszyscy na wyspie – już drugi tydzień leżał z zapaleniem okostnej, z policzkiem spuchniętym tak, że przy chodzeniu zahaczał nim o ściany; o miłości na pewno dentysta nie był w stanie myśleć.

Pozostawał trzeci, najbardziej podejrzany.

Wykładowca wuefu, idol bidulskich chłopaków, miły i czarujący Artem Ter-Akopjan.

Cóż, już w drodze do przystani wydał się komisarzowi podejrzany. A intuicja jest podstawowym walorem detektywa.

– Bardzo proszę – powiedział Milodar lodowatym tonem – o teczkę nauczyciela wuefu Artema Ter-Akopjana!

– Właśnie ją przeglądam – odpowiedziała dyrektorka. – Bardzo się zainteresowałam teczkami naszych nowych pracowników.

– Co za dziwny zbieg okoliczności – zauważył Milodar i nie mogąc się powstrzymać roześmiał. – Pani też wydał się podejrzanie dobrym kandydatem na nieboszczyka?

– O tak! – odpowiedziała dyrektorka. – Ale nie chciałam odciągać komisarza od poważnych myśli.

Milodar podszedł do dyrektorki i wziął z jej rąk wydruk danych osobowych wuefisty i sportowca, którego nijak nie można było podejrzewać o to, że on i zmarły John Gribkoff są tą samą osobą.

Ale niemal natychmiast komisarz odrzucił wydruk.

– Nie, coś tu się nie zgadza! – powiedział. – Muszę z nim porozmawiać. Gdzie go mogę w tej chwili znaleźć?

– Powinien być w swoim pokoju, poobiednia sjesta – wyjaśniła dyrektorka. – Proszę za mną, zaprowadzę pana.

Dyrektorka pozostała na korytarzu, pod drzwiami z wizytówką „A. Ter-Akopjan”.

Milodar zapukał do drzwi.

Nikt mu nie odpowiedział.

Milodar zastukał mocniej.

– O! – dyrektorka podzieliła się szeptem niedobrymi przeczuciami.

Ponieważ i tym razem nie było odpowiedzi na pukanie komisarza, Milodar pchnął drzwi. Drzwi otworzyły się. W pokoju nie było nikogo.

Dyrektorka głośno sapnęła od progu, widocznie uznawszy, że w obawie przed zdemaskowaniem młodzieniec rzucił się z wieży na skały pod zamkiem. Ale Milodar nie był nastrojony tak katastroficznie.

Rozejrzał się. Oświetlony mętnym światłem wpadającym przez jedyne wąskie okno, pokój był po spartańsku pusty i nieprzytulny.

Wąskie, tak zwane dziewczęce łóżko było przykryte szarym kocem. Na podłodze leżały hantle, w kącie spoczywała futbolowa piłka. Na stoliku przy łóżku leżało kilka tomików poezji lirycznej, przede wszystkim rosyjskich i ormiańskich poetów.

Szczupłymi palcami Milodar, mimo że był hologramem, wertował stronicę, zatrzymując na sekundę wzrok na tych stronicach, których rożki były zagięte. Ale stronicę tę różniły się od innych tylko obfitością słów „miłość” i „krew”.

Następnie Milodar usiłował dokonać w pokoju Artema przeszukania, ale dyrektorka zabroniła mu tego w czasie nieobecności gospodarza.

– Nie, nie i jeszcze raz nie! – zakrzyknęła madame Aaltonen. – Poczekaj pan na powrót gospodarza pokoju, a potem przeszukaj z nakazem prokuratora!

– Nie mam ani sekundy zbędnego czasu.

– Tym niemniej! – odcięła dyrektorka.

Milodar wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Będzie za późno, kiedy pani pożałuje.

– Nigdy nie pożałuję, że postępowałam w zgodzie z prawem – nie poddawała się dyrektorka, a wtedy poddał się Milodar. Nie dotykając niczego, obszedł pokój, jakby spacerował po bulwarze, a tego dyrektorka nie mogła mu zabronić. Z jego oczu sypały się iskry, oświetlając ciemne kąty, na szczęście nie było ich wiele; poza tym zaglądał do ciemnych szczelin dopasowanych kamieni ścian.

– A oto mamy świadka oskarżenia! – wykrzyknął z triumfem Milodar i wyciągnął z cienkiej szczeliny między kamieniami niewielkie amatorskie kolorowe, ruchome zdjęcie Weroniki. Zdjęcia takie robią jarmarczni i karnawałowi fotografowie, uśmiechało się, szeptało bezdźwięcznie: „Kocham cię!”, robiło poważną minę, potem z rozmarzeniem przymykało powieki, by po chwili wszystko zacząć od nowa. Dla zakochanego takie zdjęcie nie było wcale pozbawionym dobrego smaku. Milodar znał już oddziaływanie takiej fotki na siebie – miał kiedyś romans z rusałką amazonką, przewodniczącą delegacji tego ludu, zasiedlającego ocean na Eurypidzie. Rusałki przemierzają ten ocean wierzchem na delfinach albo nawet na rekinach. Szefostwo Policji kategorycznie sprzeciwiało się romansowi Milodara z rusałką amazonką, na dodatek jej rodzice oświadczyli, że wyślą desant terrorystek do naszych zbiorników wodnych, jeśli Milodar odważy się dotknąć swymi wstrętnymi suchymi palcami ich wilgotnej ślicznotki. Po tym nieudanym romansie pozostał Milodarowi tylko fotoportret urodziwej rusałki. Uśmiechała się na nim, szeptała w trzech językach „Kocham Cię!”, zamykała oczy, uśmiechała się zagadkowo, i jedna jedyna łza spływała po

jej zielonkawym przepięknym policzku...

– Gdzie może się ukrywać nasz gospodarz? – zapytał Milodar.

– Może jest w bibliotece? – odpowiedziała pytaniem dyrektorka.

Jej naiwność mogła współzawodniczyć chyba tylko z jej przyzwoitością.

– Dobrze – westchnął Milodar. – To proszę go poszukać w bibliotece, a ja pogadam z kilkoma osobami.

– Z kim? – surowym tonem zapytała dyrektorka.

– No więc o tym, to ja pani nie powiem, ponieważ chciałaby pani być obecną przy tym spotkaniu, a ja chciałbym zachować je w sekrecie...

– W żadnym wypadku! Żadnych intymnych spotkań! – zawołała pani Aaltonen.

Ale w tym momencie cierpliwość komisarza skończyła się.

– Madame Aaltonen – powiedział oficjalnym tonem i schował do kieszeni holograficznego garnituru zdjęcie Weroniki. – Zapomniała pani całkowicie, że szefuje nie zwyczajnej szkole i nawet nie zwyczajnemu domowi dziecka, ale więzieniu dla małoletnich przestępców o podwyższonym stopniu zagrożenia!

– O nie! Tak nie odważajcie się nawet mówić! – krzyknęła dyrektorka i zaczęła wymachiwać grubymi rękami niczym indyczka skrzydłami. – To są dzieci, nieszczęsne maleństwa!

– Och, nie diskutujmy na ten temat – uciął Milodar. – Proszę iść do biblioteki i sprawdzić, czy ochrona wyspy jest pewna. A ja ogłoszę stan szczególnego zagrożenia.

Milodar szybkimi krokami opuścił pokój wuefisty i pośpieszył korytarzem do pokoi dziewcząt, pozostawiając oszołomioną dyrektorkę na środku korytarza.

6

W sypialni dziewcząt obecna była tylko Ko.

– Gdzie jest Weronika? – od drzwi zapytał Milodar.

– Spaceruje – odparła Ko.

– Pokażesz mi gdzie? – zapytał Milodar.

– Pewnie po przystani – odpowiedziała Ko. – Ona tam tęskni.

– Zaprowadzisz mnie do niej? – zapytał Milodar.

– Świetnie zna pan drogę – powiedziało dziewczę.

Milodar wpatrywał się zachwycony w dziewczynę o dziwnym imieniu Ko. Kochał się w wysokich kobietach, a Ko, mając siedemnaście lat, już miała sześć stóp i zapowiadała się na więcej. Miała grube koloru pszenicy włosy, niebieskie, podobnie jak Weronika, oczy, pulchne, jasnorożowe, nie znające szminki wargi i mocno zarysowany zdecydowany podbródek.

– Tym niemniej chciałbym, byś mnie tam zaprowadziła. Wyjaśnię dlaczego – powiedział Milodar. – Z jednej strony, nie chcę zostawiać cię samej, ponieważ i tak już dużo wiesz, a z drugiej – ciągle niepokoję się o Weronikę, i chciałbym, by w ciężkich chwilach miała obok siebie swą najlepszą przyjaciółkę.

– Dziękuję za zaufanie – uśmiechnęła się Ko i Milodarowi wydało się, że dziewczyna usłyszała w jego monologu więcej niż chciał jej powiedzieć, znacznie więcej, niż sam na to liczył.

Ko narzuciła na ramiona szarą kurtkę i poderwała z łóżka, na którym oddawała się lekturze.

Milodar przenikliwym spojrzeniem obrzucił pokój, jakby miał nadzieję, że odnajdzie jeszcze jedno zdjęcie, ale niczego, oczywiście, nie zobaczył, ponieważ jeśli nawet były w pokoju zdjęcia czy listy miłosne, to na pewno dobrze ukryte.

Komisarz i Ko zeszli na dół i poszli ścieżką w kierunku jeziora.

– Cóż, proszę pytać – rzuciła Ko.

– Dlaczego mam cię wypytywać?

– Ponieważ nie ma innego powodu, by ciągnąć mnie do jeziora – odparła Ko. – Chce pan porozmawiać ze mną szczerze i tak, by nikt nas nie podsłuchał.

„Niech to diabli! – pomyślał Milodar. – Gdyby wszyscy moi agenci byli tacy bystrzy, to zorganizowana przestępczość w Galaktyce zostałaby zlikwidowana”.

– No to proszę mi przypomnieć, skąd się wzięło to dziwne imię.

– Pan to wie.

– Zapomniałem! Nie jestem w stanie zapamiętywać wszystkich drobiazgów – rozeźlił się Milodar. – Proszę, nie rób ze mnie geniusza, jestem tylko zwyczajnym, choć utalentowanym oficerem policji.

– Proszę mi wybaczyć. Przypomnę więc panu, panie komisarzu. Kiedy znaleziono mnie pod

drzwiami stacji geologicznej, na mojej chusteczce i pieluszkach wyhaftowane były dwie litery – „K” i „O”. Dlatego więc zaczęto mnie nazywać Ko, oczekując chwili, kiedy zostanie odkryte moje prawdziwe imię.

– Z jakiego języka? – zapytał Milodar.

– Co?

– Z jakiego języka były te litery?

– Nie wiadomo – odpowiedziała Ko wcale nie zdziwiona tym pytaniem. – Alfabet był albo łaciński albo cyrylica. W innym przypadku ktoś by musiał zwrócić na to uwagę.

– A dlaczego nie przyjęłaś jakiegoś umownego imienia?

– To dziwne, komisarzu – odparła Ko głosem, który zdradzał jej szczerą, i życzliwą otoczeniu naturę – ale kilka razy usiłowano nadać mi umowne imię i nazwisko, zazwyczaj zaczynające się od tych liter. W izbie dziecka byłam Katia Oskołkowa, potem w zwyczajnym domu dziecka nazwano mnie Katty, Katty Osborn, a tu usiłowano przemianować na Kristine Onnellinen.

– Poproszę o tłumaczenie!

– Krystyna Szczęśliwa.

– Zuchy. Nie przyjęło się?

– Coś we mnie sprzeciwia się. Rozpaczliwie się sprzeciwia. Jakby gdzieś w głębinach mojej pamięci żyło moje prawdziwe imię. I póki go sobie nie przypomnę, muszą mi wystarczać dwie literki.

– A ile miałaś, kiedy cię znaleziono?

– Kilka miesięcy.

– Niezłą musisz mieć pamięć!

– Panie komisarzu – odpowiedziała dziewczyna. – Nie musi pan w każdym z nas widzieć tylko potwora stanowiącego zagrożenie dla Ziemi. Pan jest policjantem, pan musi służbowo wszędzie węszyć niebezpieczeństwo. Ale gdyby pan był nieco łagodniejszy wszyscy na tym byśmy skorzystali.

– Nie mam prawa być w stosunku do was łagodniejszy – sprzeciwił się komisarz. – Proszę przykład: sama mówisz, że od urodzenia znasz swoje imię.

– Podświadomie.

– Mnie tam wszystko jedno – świadomie czy podświadomie! Kto zagwarantuje, że nie nosisz w sobie bomby z opóźnionym zapłonem albo wirusa?

– Tyle razy już mnie badano i analizowano, że w ogóle zastanawiam się, czy jeszcze coś we mnie zostało nie wykrytego.

– Nieważne, póki kwarantanna się nie skończy wszyscy jesteście więźniami i więźniarkami.

– Ale już niedługo się skończy. Według prawa każda istota w Galaktyce, gdy kończy osiemnaście lat otrzymuje obywatelstwo galaktyczne i całkowitą swobodę poruszania się. Został mi tylko rok.

– Ten rok należy spędzić szczególnie ostrożnie i zbadać wszystko po trzykroć starannie – twardo stwierdził Milodar.

– No, dobrze, dobrze. Wytrzymam. Ale nie muszę z powodu pańskiej podejrzliwości i obaw psuć życia swojej najlepszej przyjaciółce, cudownej i subtelnej Weronice.

Milodar zatrzymał się na środku ścieżki i spojrzał na Ko z dołu do góry.

– Ach, więc tak rozumiesz! To znaczy, że nie dziwi cię romans twojej przyjaciółki z fioletowym mężczyzną, który zginął wiele lat temu, roztrzaskując się o szczyt Mont Everestu?

– Ma pan na myśli Johna Gribkoffa? – roześmiała się Ko.

– A co w tym śmiesznego! Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z dziewczynami, które miałyby taki burzliwy romans z nieboszczykiem.

– Drogi mój komisarzu – powiedziała Ko – czy pan nie rozumie, że nasz zamek i cała nasza Wyspa Dzieci są tak niewielkie, że ktokolwiek zrobi jakiś krok natychmiast staje się on znany każdemu pierwszoklasiście? Czy sądzi pan, że nie wiadomo nam o poszukiwaniach na tamtym końcu wyspy i znalezieniu zatopionej łódki numer trzynaście?

– Wiesz o tym? – Komisarz, specjalista od konspiracji, był wstrząśnięty.

– Czy myśli pan, że nikt nie wie o przeszukaniu pokoju wuefisty Artema i o tym, że dyrektorka prosiła tego nie robić?

– Niech to licho! – rozzłościł się Milodar. – Nie mogę pracować, kiedy ma miejsce taki przeciek informacji!

– Nie zaprzecza pan? – zapytała Ko.

– Niczemu nie zaprzeczam i niczego nie potwierdzam. Czego się jeszcze dowiedziałeś?

– Krąży opinia, że w pokoju wuefisty, naszego uwielbianego Artemczika, znalazł pan fotografię Weroniki.

– Znalazłem.

– I że wszystkiego się pan domyślił!

– Domyślił.

– A teraz chce pan wysłuchać całej historii z ust Weroniki.

– Może najpierw z twoich?

– Czy ja przypominam plotkarę i donosicielkę?

– Nigdy jeszcze w życiu nie spotkałem plotkary i donosicielki, która byłaby podobna do plotkary i donosicielki – odparował Milodar.

– No to niech pan wytrzyma – zostało niecałe sto metrów.

Dziewczyna miała rację, dlatego Milodar postanowił pokonując ostatnie metry do jeziora rozkoszować się wieczornym powietrzem, aromatem sosen, świeżym zapachem jeziornego wiatru i lekkim aromatem francuskich perfum, surowo zakazanych na Wyspie Dzieci. Z tego powodu posiadanie perfum było rzeczą nadzwyczaj prestiżową.

Weronika siedziała zasmucona na skraju przystani, majtając bosymi stopkami w zimnej wodzie. Nieopodal przystani chodziła po ziemi duża wrona i wydziobywała coś spomiędzy szpar w deskach.

– Przecież się przeziębisz! – wykrzyknął Milodar wychodząc na otwartą przestrzeń.

– No to co – odpowiedziała panienska smagnawszy go błękitnym światłem oczu. – Wcale nie chcę żyć po tym, jak zniszczyliście mojego umarłego przyjaciela.

– Ach, Weroniko – odpowiedział jej na to Milodar, wkraczając na skrzypiące deski pomostu. – Po co te kłamstwa skierowane do mnie, starego śledczego wilka? Przede mną w kurz padały wywiady agresywnych planet, poddawały się bandy kosmicznych piratów. A ty sądziłaś, że uda ci się mnie wykiwać? Przecież nie jestem dyrektorką Aaltonen, która gotowa jest uwierzyć w każdego chodzącego nieboszczyka.

– Nie każdego! – nie poddawała się Weronika. – A w Johna Gribkoffa, którego zna każdy.

Milodar przykucnął obok Weroniki. Ko zdjęła pantofle i, trzymając je w ręku, poszła po przybrzeżnym żwirze w kierunku wysuniętej do wody skały. Przedwieczorne powietrze było tak spokojne, że słychać było każde pluśnięcie powodowane jej krokami.

– Przeprowadziłem niewielkie dochodzenie – rzekł Milodar wpatrzony w dal. Plusnęła jakaś

spora ryba. Niebo nie miało barwy. – I nie sprawiło mi trudności stwierdzenie, że twojego nieboszczyka zwał Artem Ter-Akopjan, że jest tu wuefistą, że łódkę ukrywa tam, pod korzeniami sosen, zaś maskę i farbę – pod tym głazem... Do zamku wchodzi nocami przez drzwi, prowadzące do pralni.

Weronika z szybkością błyskawicy poderwała się na równe nogi.

– Jak śmiałaś! – krzyknęła gniewnie, patrząc na przyjaciółkę. – Po co mu wszystko opowiedziałas?

– Co za bzdury pleciesz! – Ko nawet się nie obraziła. – Nawet nie podejrzewałam, że Artemczik ukrywa tu swoją łódkę. Po co mi to było wiedzieć?

– Nie! – upierała się Weronika. – To był nieboszczyk! Nie znam żadnego Artemczika!

Stojąc w pewnej odległości od niej Ko zauważyła:

– Skoro już wpadłaś, to lepiej się przyznać. Może przyznanie udobrucha komisarza.

– Jestem udobruchany – oświadczył Milodar nie podnosząc się. Puścił „kaczkę” monetą. Wszyscy patrzyli jak podskakując na falach pomknęła w siną dal. – Już niemal wszystko wiem, dlatego nie zamierzam się złościć. Oczywiście, pod warunkiem, że usłyszę prawdę i tylko prawdę.

– Czego się mnie przyczepiliście! – Weronika wstała i pobiegła na koniec pomostu. Nikt jej nie przeszkadzał, nie zatrzymywał. Musiała więc kiedyś zatrzymać się sama. – A co pan wie? – zapytała komisarza.

Komisarz cisnął jeszcze jedną monetę. Tym razem nieudanie. Podskoczywszy trzy razy utonęła.

– Uznałem, przy tym bez żadnej pomocy twojej przyjaciółki, że wszystkie tajemnicze zjawiska mają najzwyklejsze przyczyny. Dopiero kiedy zwykłe wyjaśnienia nic nie wyjaśniają, należy zwracać się ku objaśnieniom niezwykłym. W przeciwnym przypadku prowadzi to na manowce.

– I domyślił się pan?

– Z moim doświadczeniem i zdolnościami – nie było to specjalnie trudne...

– Nawet ja domyśliłabym się na miejscu komisarza! Też mi konspiratorzy! – oświadczyła Ko.

– Rozumiem więc, jak to było wykonane, ale proszę o wyjaśnienie po co? – zażądał komisarz.

– Żebyście się nie domyślili – bąknęła Weronika.

– Proszę zapytać Ko.

– To ja dla nich wymyśliłam tę legendę – przyznała Ko. – Na naszym miejscu zrobiłby pan to samo.

– Proszę opowiedzieć.

– Gdyby dyrektorka lub któryś z donosicieli wytropił Weronikę i Artema – zaczęłyby się awantury, dochodzenia i Artema przepędziliby stąd migiem.

– Sądzicie, że zostaliby szybko wytropieni? – rzeczowo zapytał komisarz.

– Raz-dwa. Ta wysepka jest nieduża, a na morzu straszna burza – odpowiedziała do rymu Ko. – Dyrektorka ma nie tylko etatowych informatorów – kucharzy, praczek, pielęgniarki i sprzątaczkę, ale i ochotników donosicieli z grona więźniów naszej wyspy.

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam – więźniów!

– To krzywdzące – obraził się Milodar. – Powinniście być wdzięczni rządowi i Interpolowi, którzy robią co mogą, by zagwarantować wam szczęśliwe dzieciństwo.

– Wolnego komisarzu! – obruszyła się tym razem Weronika. – A gdybym zechciała dziś polecieć na Himalaje! Czy to jest możliwe?

– Po co ci Himalaje? – zdziwił się komisarz.

– Zadałam pytanie – surowym tonem powiedziała Ko.

– Proszę odpowiadać, a nie wykręcać kota ogonem.

– Proszę tak nie rozmawiać z komisarzem Policji!

– To znaczy, że nie wolno?

– Napiszcie podanie, zmontujcie grupę – szybko powiedział Milodar – i jedźcie sobie na te wasze Hawaje. Choćby i jutro!

– O ile, oczywiście, wasi współpracownicy, którzy będą organizowali nadzór nad nami i ochronę otaczającego nas środowiska przede mną i Weroniką, nie będą akurat na pikniku czy na urlopie. W przeciwnym wypadku przyjdzie nam czekać do końca następnych wakacji.

– Dziewczyny, dziewczyny, przecież wiecie, że wszystko to dzieje się dla waszego dobra! Ziemia jest niebezpieczna, zachowało się na niej wiele drapieżników i szkodliwych owadów.

– Weroniko, słyszałaś? Komisarz obawia się, że udusi nas anakonda – powiedziała Ko.

– Sama jedna nas obie – uzupełniła złośliwie się uśmiechając Weronika.

– Nie – zaprzeczyła Ko, a jej twarz stała się poważna. – Komisarz obawia się nie o nasze zdrowie. Przejmuje go dreszcz, kiedy pomyśli o biednej nieszczęsnej Ziemi, takiej bezbronnej wobec reprezentowanego przez nas zagrożenia.

– Panienki, panienki, może nie tak głośno...

– A niby dlaczego mamy milczeć? I tak jesteśmy niebezpieczne, więc!..

Wrona, okupująca dolną gałąź sosny zakrakala, jakby przytakując dziewczętom.

– Od kiedy tu tak kraczą wrony? – zapytał Milodar.

– On chce odwrócić naszą uwagę od właściwego tematu! – zawołała rozzłoszczona Weronika. – Nie chce się przyznać, że jego sympatyczna instytucja trzyma nas tu w zamknięciu, jakbyśmy popełniły jakieś straszliwe przestępstwo.

– A jeśli coś takiego się wydarzy? Coś strasznego?

– Nawet najgorszy zabójca na Ziemi nie jest uważany za zabójcę, póki nie uzna go za takiego sąd. A nas, dzieci, można uważać za przyszłych zabójców? – zapytała Ko. – Dlaczego musimy, i tak już ukarani przez los, pozbawieni swoich tatusiów i mamus, rezygnować na dodatek z wolności?

– A jeśli...

– Tylko bez tej waszej nudnej jak flaki propagandy! – przerwała Ko. – Nie musicie przynudzać o straszliwych potworach, które w nas siedzą, i o potwornych wirusach i morderczych skłonnościach, jakie się w nas obudzą. Pan, komisarzu, w swoim życiu odwiedził różne planety. Miał pan znacznie większe szanse niż my, jako małe dzieci, złapać wirusa albo zaimplantować w swym ciele pasożyta. Ale my nie trzymamy pana na wyspie.

– Nie ja wymyśliłem te przepisy, nie ja będę je zmieniał – powiedział komisarz. – Mówimy teraz o czymś innym.

– Mówimy teraz właśnie o tym – ze złością w głosie oświadczyła Ko. – Proszę się postawić na naszym miejscu. My wiemy, że jesteśmy zwyczajni i chcemy tylko tego, co mają wszyscy nasi rówieśnicy na wolności. Ale wszystkiego nam zabraniają. Dlatego uznaliśmy, że jedyną naszą szansą jest wykorzystanie słabości naszych klawisz.

Komisarz skrzywił się. Słowa takie jak „klawisz”, „obóz”, „wolność” wywoływały w nim skurcze żołądka.

– Namówiliśmy Artema, który do szaleństwa zakochał się w Weronice – powiedziała Ko – by

zastosował się do tych idiotycznych reguł gry. Gdybyśmy powiedzieli, że Weronika ma romans z nauczycielem wuefu, to przedmiot jej namiętności natychmiast wyleciałby z wyspy. Ale co się stanie, jeśli Weronika i reszta będziemy wrzeszczeć na wszystkie strony, że prześladowuje ją nieboszczyk John Gribkoff? Będzie to szokiem, ale nikt nie wyciągnie z tego konsekwencji, ponieważ umarłak jest najlepszą parą dla Zagrożenia Świata!

– Więc... zdecydowałyście, że jeśli Weronika będzie opowiadała kompletne bzdury o swojej miłości, to nikt jej nie uwierzy, nikt nie będzie jej pilnował i na pewno nikt nie będzie podejrzewał wuefisty, że sięgnie po cześć pensjonariuszki Domu Dziecka, niepełnoletniej przy tym – sprecyzował Milodar.

– A nawet jeśli ktoś przyuważy tę naszą parkę – zakończyła opowieść Ko – to będzie się wstydził opowiedzieć o tym komuś innemu. Kto by chciał, żeby mówiło się o nim, że wierzy w każde mistyczne bzdury i powtarza brednie szurniętych pańienek.

– Cóż, to pomysłowe. Nawet za bardzo pomysłowe, jak na nastolatki – rzekł Milodar.

– Nie jesteśmy nastolatkami – poważnie oświadczyła Weronika. – Jesteśmy pannami.

– Przy tym może być, że w złowrogiej spelunie, z której wszyscy pochodzimy, pełnoletniość osiąga się w wieku szesnastu lat – powiedziała Ko.

– A może nawet mając czternaście – wyraziła przypuszczenie Weronika.

– Cóż, to sprytnie! – zmuszony był przyznać komisarz. – Wszyscy wiedzieli, że Weronika ma romans z nieboszczykiem. I odwracali się, kiedy przypadkowo widzieli zmarłego na waszej wyspie.

W tym momencie Weronika westchnęła i uzupełniła:

– I wszystko byłoby wspaniale, gdyby nie nasza pani Aaltonen. Ona nie je cukru i nam też nie pozwala. Jest tak głupia, że nawet nie ma wyobraźni – powiedziała Weronika. – Więc poszła sprawdzić. A Artem nie ma aż tak mocnych nerwów...

– Jak chciałaby Weronika – dodała Ko.

– Nie przerywaj!

– Chciałaś, żeby cię porwał! Byłaś gotowa na wszystko, byleby cię ukradł! Ale on nie chciał tracić takiego dobrego miejsca pracy.

– Teraz już za późno o tym mówić! – westchnęła Weronika. – Już mi się nie chce spotykać z bohaterem, który tak błyskawicznie wieje z randki na widok pani Aaltonen.

– Nie bądź dla niego taka okrutna. Przecież on jest taki powabny! – zaśpiewała Ko, i Milodar podejrzliwie popatrzył na najlepszą przyjaciółkę Weroniki. Tu mogło czaić się dla niej wielkie niebezpieczeństwo. Nie ma niczego niebezpieczniejszego od najlepszych przyjaciółek!

– Gdzie on jest teraz? – zapytał Milodar.

– Pewnie u siebie – odpowiedziała Weronika. – Do mnie nie zbliżył się ani o krok... Tchórzliwe zero!

– A czy ma on jakieś ciche miejsce... Powiedzmy, gdzie spotykaliście się, żeby pocałować bez świadków?

Odpowiedziało mu milczenie. Jeśli nawet Weronika знаła takie miejsce, to gniew na ukochanego nie był aż tak silny, by zdradzić go i stracić na zawsze.

Milodar westchnął i wstał.

– Nie pomagacie mi wcale.

– Nie ma pan racji! – gwałtownie odpowiedziała Ko.

– Gdyby chodziło tylko o takie potwory jak my z Weroniką, to pierwsza rzuciłabym się do

szukania po śmietnikach i piwnicach, by zniszczyć je. Ale kiedy przed panem ukrywa się po trzykroć sprawdzony nauczyciel wuefu z domu dziecka, to raczej Ziemi nic nie zagraża. Przecież, niech się pan przyzna, komisarzu, wuefista Artem ma stopień porucznika policji?

– Ależ skąd! – rozżłościła komisarza trafność domysłu. – Pierwszy raz usłyszałem o nim dopiero tutaj.

Ko uśmiechnęła się bezczelnie, i Milodar zrozumiał, że nigdy w życiu nie uda mu się zbliżyć do tej istoty. Ko jest zbyt bystra i sprytna, to właśnie ona wymyśliła na pierwszy rzut oka głupią, ale psychologicznie umotywowaną wersję z nieboszczykiem Johnem.

– Natychmiast powiedzcie mi, gdzie go ukrywacie! – krzyknął Milodar. – Albo przewrócę do góry nogami całą wyspę, a wy... – W tym momencie Milodar zrozumiał, że grożenie dziewczętom, sierotom, jest mało etyczne i zakończył zdanie tak: – Więcej nigdy nie zobaczycie tego bydlaka Artema. Który chciał wykorzystać waszą niewinność i niepełnoletność w celu zhańbienia.

– Po pierwsze, nie nas obu – sprecyzowała Ko. – Czego żałuję.

– Po drugie, nie zdążył zhańbić, ponieważ nadbiegła dyrektorka – dodała Weronika.

– Po trzecie. Weronika sama przysłała na spotkanie – oświadczyła Ko.

– Po czwarte – zakończyła Weronika – nie miałam nic przeciwko temu, by zhańbił mnie właśnie Artem. Jest to, zapewne, bardzo przyjemne uczucie.

– Przekleństwo! – zakrzyknął komisarz. – Rozpędzę całe to towarzystwo.

Weronika popatrzyła na komisarza z litością a on nagle z przerażeniem zrozumiał powód tej litości. Zapewne, myślała sobie, mały komisarz nigdy w życiu nikogo nie zhańbił. I, oburzony z powodu tego podejrzenia, krzyknął:

– Tego jeszcze brakowało! Miałem trzy żony i teraz też zamierzam się żenić!

– To jest maniak seksualny, źródło wszystkich kłopotów – powiedziała Weronika do przyjaciółki, ta w milczeniu pochyliła głowę na znak zgody i obie w tym momencie zyskały śmiertelnego wroga w osobie komisarza Milodara.

Nad wyspą rozległ się dźwięk dzwonu – dźwięk był przyjemny i rozplynał się nad dużą częścią jeziora.

– To wezwanie na kolację – powiedziała Ko. – Możemy kontynuować rozmowę po kolacji, ale nie możemy spóźniać się na posiłki – służba bezpieczeństwa pilnuje szczególnie tego, byśmy my, potwory, nie wywijały się z pęt regulaminu. Ale po kolacji możemy ciągnąć ten wywiad – powiedziała Ko.

– Nikt nie uważa was za potwory! – kolejny raz zapewnił je komisarz, ale dziewczęta nie czekały na jego zapewnienia.

Pośpiesznie ruszyły ścieżką w stronę zamku. Przy pierwszych sosnach Weronika odwróciła się i powiedziała:

– Poproszę Artemczika, by wyszedł z ukrycia i porozmawiał z panem. Jaka godzina pana urządza? Po capstrzyku? O dziewiątej?

– Byle nie później – ponuro odpowiedział komisarz.

– Na mnie już czas. Niech się wam nie wydaje, że wasza wysepka jest ośrodkiem wszechświata!

– Dla nas, potworów – niewątpliwie – odpowiedziała Ko i dziewczęta roześmiały się dość głośno.

Milodar niemal już wziął ten ironiczny śmiech za dobrą monetę. Ale opanował się.

– Dziewiąta. W waszym pokoju – powiedział.

Komisarz Milodar miał w zamku swój pokój. Nazywany był inspektorskim. Ale zwyczajni inspektorzy i dyżurni zatrzymywali się z reguły nie na wyspie, a na kontynencie i przylatywali tu na flyerach. Inspektorski pokój był wyposażony w łączność kosmiczną, komputer, niewielką biblioteczkę i specjalną skrzynkę z płytami o treści erotycznej, które lubił przed snem oglądać komisarz Milodar, o czym w żadnym wypadku nie powinny były dowiedzieć się sierotki.

Po wejściu do tego pokoju Milodar uważnie obejrzał i obwąchał pokój. Właśnie ta obca woń go zaniepokoiła: ktoś obcy tu niedawno był. Milodar wyjął z sejfu detektor zapachów i z łatwością określił, że do pokoju wchodziła sama dyrektorka pani Aaltonen. Ale po co? Ona akurat nie była na etacie Policji, a Ministerstwa Oświaty.

Milodar sprawdził cały pokój, wszystkie punkty, których dotykały palce dyrektorki. Najsilniej koncentrował się zapach właśnie na płytach i na odtwarzaczu. To było wprost nieprawdopodobne. Dyrektorka nie mogła interesować się takimi rzeczami.

Oczywiście, według przepisów Interpolu, jego pracownik, posiadający jakąś wiedzę o podejrzanym, powinien ją ukryć, by potem wykorzystać ją podczas przesłuchania. Ale ponieważ Milodar nie zamierzał przesłuchiwać dyrektorki, to nie wytrzymał i włączył wideołączność z gabinetem pani Aaltonen. Zastał ją w dość niezręcznej dla niej sytuacji. Dyrektorka ćwiczyła ze sztangą.

– Przepraszam, że panią niepokoję – powiedział Milodar, udając, że wcale nie jest zdziwiony.

– Ach, to pan musi mi wybaczyć, że w czasie pracy wykonuję ćwiczenia, ale to nie zawsze tylko *aika!*

Dyrektorka zarumieniała się ze wstydu. Ale Milodar, w odróżnieniu od wielu innych ludzi, pozbawiony był poczucia taktu i litości – gdyby tak nie było nigdy nie udałoby mu się dotrzeć do poziomu kierowniczego w Policji.

– Ma pani rację – powiedział. – Do tego celu służy specjalna sala albo las. Nawet jeśli robi to pani tylko czasem.

– Ale proszę sobie wyobrazić, jak niezręcznie jest pokazywać się dyrektorce dzieciom podczas ćwiczeń ze sztangą. Jeszcze pomyślą sobie, że jestem jakąś okrutną nauczycielką. – Dyrektorka ostrożnie opuściła sztangę na podłogę i wturlała ją pod biurko.

– Świetnie. Ale zakłóciłem pani spokój z innego powodu – oświadczył Milodar. – Chcę wiedzieć, po co przeglądała pani erotyczne taśmy w moim pokoju.

– Ojej, ale co też pan...

Ale przez całe swoje długie życie dyrektorka nie nauczyła się chyba kłamać.

– Słucham. Nie mam, niestety, czasu na oczekiwanie aż wymyśli pani odpowiednią wersję!

– O nie – odparła dyrektorka. – Kieruję zespołem, w którym dorastają dziewczęta i młodzieńcy.

Muszę więc strzec ich przed wszelkimi ekscesami... Niestety, od dawna. .. proszę mi wybaczyć, komisarzu – dawno nie robiłam tego z mężczyzną. I obawiałam się, że zostałam z tyłu i mogę niewłaściwie odebrać pewne gesty i słowa moich wychowanków. I podczas sprzątanania – nie wpuszczam nikogo do pańskiego pokoju, ale kurze czasem należy zetrzeć! – podczas sprzątanania zobaczyłam te płyty. Zaciekały mnie obrazki na pudełkach...

„Do diabła! – zrugął siebie w myślach Milodar. – Jak mogłem nie domyślić się, że trzeba usunąć z okładek obnażone piersi i pupki bohaterek filmów!”

– Doszłam więc do wniosku, że pan jest zaniepokojony, panie komisarzu, z tego samego powodu co i ja. Że pan też chce wiedzieć, co wyczyniają współcześni chłopcy z dziewczętami, kiedy zostają sam na sam. I że bada pan ten problem jako pedagog.

Komisarz niemal nie wykrzyczał, że ma aktualnie sześć kochanek.

Ale słowa ugrzęzły w jego ustach. Po co ma ją rozczarowywać?

Niechaj dyrektorka pozostanie w przekonaniu, że ona i komisarz są oporami współczesnej pedagogiki i oglądają wątpliwej konduity filmy wyłącznie w celu upilnowania niewinności sierotek.

– Niech tak będzie – powiedział Milodar.

I rozłączył się.

„Nigdy nie wiadomo, w jaki labirynt zapędzi cię życie” – pomyślał.

Podszedł do okna. Na zewnątrz zapadł zmierzch. Wielka wrona przeleciała przed samym jego oknem. Trzeba wracać na kontynent. Cała ta historia okazała się pustym, banalnym, nie wartym złamanego grosza romanssem. Chociaż, trzeba przyznać, poznał komisarz niebanalne dziewczyny. Teraz zostało mu tylko przeprowadzić pouczającą rozmowę z wuefistą Artemem. W wyniku tego albo wuefista Artem zostanie tu, co jest mało prawdopodobne, albo zostanie przeniesiony do innej szkoły, co jest możliwe, albo w ogóle przepędzi się go z systemu oświaty, co jest najbardziej prawdopodobne.

Gdzież szukać tego tchórzliwego miłośnika dziewczęcych wdzięków?

Milodar odsunął się od okna. Może należy zapytać dyrektorkę?.. Nie. Odszuka go bez pomocy. Ma wszak wykrywacz zapachów.

Ale żeby detektor działał trzeba pójść do pokoju wuefisty i wziąć jakąś jego rzecz, tyle że komisarzowi nie chciało się tam iść – wolałby włączyć jakąś erotyczną taśmę i popatrzeć na młodziutkie rozpustnice...

Tak sobie marząc Milodar odruchowo podszedł do magnetowidu i równie odruchowo wsunął w szczelinę cieniuteńką kasetę.

I zapomniał o bożym świecie.

Milodar kochał dziewczyny. Kochał kobiety. Kochał samą miłość...

Po dziesięciu minutach, kiedy całkowicie obnażona łania pędziła po lesie uciekając przed szalonym satyrem, ktoś zastukał do drzwi. Milodar z trudem oderwał się od ekranu.

– Chwileczkę! – zawołał. – Zaraz ją schwytemy!

Ale, jako prawdziwy profesjonalista, potrafił szybko wziąć się w garść, wyłączyć video, zatrzasnąć barek udający maszynę do pisania i wdusić przycisk zdalnego sterowania drzwiami.

Drzwi otworzyły się. Na progu, opierając się o futrynę stał wycieńczony, wystraszony wuefista Artem.

Nerwowo obejrzał się, wskoczył do pokoju i wyszeptał:

– Proszę, niech mnie pan ratuje, komisarzu!

– Proszę zamknąć drzwi za sobą – poradził komisarz. Po wejściu wuefisty drzwi zamknęły się szczelnie, na okna zjechały tytanowe żaluzje, bezgłośnie szczęknęły rygle z keramzytniklu.

– Proszę siadać – powiedział Milodar. – Wygląda pan jak upiór.

Wuefista runął na krzesło. Nawet nie rozglądał się dokoła, może nie zauważyłby działającego video, gdyby nie zostało wyłączone.

– Przyszedłem do pana – powiedział ochrypłym głosem – ponieważ uświadomiłem sobie całą naiwność i niebezpieczeństwo moich poczynań.

– Szkoda, że tak późno – mruknął Milodar. – Przez pana muszę siedzieć tutaj, podczas gdy inne pilne galaktyczne sprawy czekają na mnie w innych miejscach.

– Proszę o wybaczenie – powiedział wuefista – ale obawiałem się pańskiego gniewu.

– Co w takim razie sprowadza pana do mnie teraz? Chęć pokuty? Strach? Nieczyste sumienie? Proszę się nie krępować i wziąć sobie whisky z szafki. Niech się pan napije.

– Dziękuję, ale nie piję.

– Szkoda. W pańskim wieku piłem jak szewc. Bez tego nie da się nawiązać sensownych kontaktów. Znaczy tak – przyznaje się pan do wszystkiego?

Milodar zbliżył się do wuefisty i zwrócił uwagę na czerwone kropki na jego szyi i policzkach.

– Co to? – zainteresował się. – Komary dokuczały?

– Domyślił się pan?

– Oczywiście, jestem strasznie domyślny. Znalazł pan jakąś kryjówkę i zamierzał przesiedzieć w niej póki nie odlece, mając nadzieję, że pańska rola w odbywającej się tu rozpustnej farsie nie została odnotowana. Ale nie udało się. Tak?

– Żeby nie te komary... – wycharczał wuefista. – To żywe strzykawki, mają kleszcze i żądła. Są bezlitosne. Postawiły sobie za cel zamordowanie mnie...

– Nie warto aż tak przesadzać, młodzieńcze – uśmiechnął się Milodar. – Chyba przyczyną jest zbyt długie siedzenie w zakomarzonym miejscu. Ale mnie nie interesuje to miejsce a co innego, interesuje mnie, kto wymyślił ten trik z przebieraniem się za nieboszczyka Gribkoffa?

– Ja – głosem pełnym winy oznajmił Artem.

– Kłamstwo! Kto to wymyślił? Proszę mówić prawdę, jeśli nie chce pan, bym się rozżłościł!

– To dziewczyny wymyśliły...

– Ko?

– Ona pierwsza...

Młodzian nie chciał zdradzać dziewczyny, ale musiał się przyznać – tak wielka była siła wzroku komisarza Milodara.

– Dziewuszka z wielkimi perspektywami – zauważył komisarz. – Ja bym na pana miejscu trzy razy zastanowił się, zanim bym się wplątał w intrygę z Weroniką właśnie. Weronika jest znacznie mniej interesująca.

– Kocham Weronikę! – zawył wuefista. – Kocham ją i nie jestem w stanie przekazać tego uczucia!

– No to niech pan nie przekazuje, obejdę się – zapewnił go Milodar. – Ale po licho panu ten romans w miejscu pracy, i to z wychowanką szczególnej kategorii zagrożenia? Czy pan jest normalny?

– Po pierwsze – oświadczył wuefista – nie mam zajęć ze starszymi grupami i Weronika nie jest moją uczennicą.

– Po drugie – zakończył za niego Milodar – nie odczuwa pan emanacji żadnego zagrożenia od tej panny.

– Właśnie!

– Gdyby to zagrożenie dawało się odczuć – Milodar krążył po pokoju, założywszy ręce ze splecionymi palcami z tyłu – to nie potrzebne by były takie jak tu środki ostrożności. Problem polega na tym, że niebezpieczeństwo jest czasem niewykrywalne i niewyczuwalne niczym trujące opary...

– Weronika jest wspaniałą dziewczyną.

– Nie jestem tego taki pewien!

– Nienawidzę pana, komisarzu! Pan zniszczył naszą miłość!

– Pardon, ale akurat ja się tym wcale nie zajmowałem – szczerze zaoponował Milodar. – Ganiała za wami dyrektorka, a i to z poczucia obowiązku. Mnie tu nawet nie było. A gdyby pan zachowywał się mądrzej i ostrożniej – dalej moglibyście się ze sobą całować.

– Nie – nie przyjął jego punktu widzenia sportsmen.

– Byliśmy otoczeni waszymi szpiegami i plotkarzami. Dyrektorka też nigdy by nas nie wytropiła, gdyby nie doniosły jej praczki i sprzątaczk.

– Zuchy dziewczyny! – ucieszył się Milodar. – Bo ja już zamierzałem wymienić cały ten miejscowy personel i porozganiać go po różnych wyspach. Ale nadal nie mam pojęcia, co mam zrobić z panem.

– Chcę się z nią ożenić – powiedział wuefista.

– Wspaniały pomysł i na pewno go zrealizujecie. Gdy tylko Weronika osiągnie pełnoletność – czyli za rok. Akurat wtedy skończą się badania fizjologiczne i zostanie uznana za pełnoprawną obywatelkę Galaktyki, a nie...

– Nie za potwora!

– Właśnie.

– Ale ożenię się z nią! – upierał się młodzieniec.

– A ja przyjadę na wasz ślub – obiecał Milodar. – A teraz proszę iść odpocząć. Miał pan trudny i pełen nerwów dzień.

Wyprowadził sportsmena na korytarz, ale ochota na erotyczne filmy mu przeszła. I humor się popsuł.

Milodar miał pewną taką dziwną właściwość ducha. Wiedział, że jutro wuefista zostanie zwolniony z powodu „redukcji etatów” i przeniesiony do trenowania emerytów w Australii. Poza tym, mimo że jest całkowicie pełnoprawnym obywatelem Galaktyki zostanie otoczony opieką służb bezpieczeństwa. Trudno – ryzyko jest zbyt wielkie. Milodar wiedział, że to on sam wyda rozkaz Julii, ale jakże żał mu się nagle ich zrobiło! Gdyby to tylko od niego zależało, to w tej chwili zamknąłby ich w sypialni aż do rana – przecież nawet szekspirowskim postaciom było to dane!

Milodar niemal wypadł na korytarz, żeby poradzić młodzianowi pożegnać się z ukochaną i nie zwracać przy tym uwagi na obecność komisarza. Ale zaraz opanował się, wziął się w garść i położył spać. Niech się dzieje co chce! Jak los wskaże... Ale Ko – o, to inna sprawa, tu należy rzecz przemyśleć. Wkrótce będzie pełnoletnia – trzeba się dowiedzieć, co zamierza robić potem.

Z tą myślą Milodar wyłączył światło, wystukał na bransolecie swój osobisty kod i jego hologram, zmieniawszy się w lekki, leciuteńko jarzący się obłoczek, wzleciał nad zamek, wykonał wiraż i pognął do domu, do podmoskiewskiego sanatorium „Uskoje”, gdzie na dnie stawu znajdowało się tajne wejście do Moskiewskiego Oddziału Policji Intergalaktycznej.

W zamku nareszcie zapanowała cisza.

8

Rano, po prysznicu i dziesięciominutowej gimnastyce, Milodar wyszedł z sypialni na śniadanie. Odziany był w pstry jedwabny chiński szlafrok, prezent od starego przyjaciela, wielkiego igłoterapeuty Borowkowa-san.

Na okrągłym stoliku stała spocona szklanica z sokiem pomarańczowym, na talerzu – omlet z dwu jaj z bekonem, bułka, dzbanek z kawą... a po przeciwnej stronie stolika jarzył się ekran, przekazujący zestaw nocnych wiadomości.

Nowości były zwyczajne: wojna w Bośni i w mgławicy Gończych Psów, konflikt w Karabachu i kolejna runda rozmów o losie morskiej floty Argentyny, niedawno podzielonej na Argentynę właściwą i Argentynę Peryferyjną. I nagle. „Do wiadomości pracowników służb bezpieczeństwa – komunikat: dziś w nocy dokonano ucieczki z Wyspy Dzieci – specprzytułku dla kosmicznych znajd”. Milodar znieruchomiał trzymając w pół drogi do ust kanapkę z bekonem.

– W nocy zniknęli z wyspy wuefista szkolny, były wicemistrz świata w surfingu Artem Ter-Akopjan i jego ukochana, uczennica najstarszej grupy Weronika. Specyfika wydarzenia polega na tym, że na Wyspie Dzieci znajdują się podrzutki i znajdy, los i pochodzenie których nie zostały do tej pory wyjaśnione. W pewnych przypadkach poddawane jest nawet w wątpliwość ich antropoidalne pochodzenie. Wiadomo że romans między wychowawcą i wychowanką trwał od kilku tygodni i został odkryty wczoraj, kiedy na wyspie specjalne dochodzenie przeprowadził komisarz Milodar.

– Durnie – powiedział Milodar do monitora. – To był mój hologram.

– Jest oczywiste, że ucieczka zakochanych jest związana z wizytą komisarza i krokami, jakich przedsięwzięcia słusznie się obawiali, ponieważ komisarz uchodzi w Galaktyce za najbardziej okrutnego, diabolicznego i nieprzekupnego pracownika Interpolu. Stopień zagrożenia z powodu ucieczki nie jest jeszcze oszacowany, wszystkich pracowników specsłużb uprasza się o zachowanie spokoju i czujność.

Milodar stracił apetyt.

Wyskoczył zza stołu i rzucił się do komputera.

Dyżurny z Wyspy Dzieci miał minę winowajcy. Nawet nie zdjął fartucha praczki, peruka zsunęła mu się z czubka głowy, ręce drżały. Widać potrafił sobie dobrze wyobrazić, co mu zrobi komisarz Milodar, kiedy dorwie go w swoje ręce.

– Jak to się stało? – zapytał Milodar, starając się powstrzymać swój wulkaniczny temperament.

– Dziewczyna była pod stałą obserwacją – wyjaśnił dyżurny praczka. – Jeden z pracowników stale znajdował się pod drzwiami, a w łóżku zostały zamontowane czujniki. Poza tym dziewczyny pilnowała kamera pracująca w trybie nocnego widzenia.

– Gdzie znajdował się wuefista?

– Był u siebie. On też był obserwowany...

Tym razem w głosie dyżurnego nie było tej pewności, co przed chwilą i Milodar zrozumiał, że wuefista nie był tak dobrze pilnowany jak Weronika.

– Dalej, dalej... Każda chwila jest cenna.

– O trzeciej czterdzieści trzy Weronika udała się do toalety.

– Czy to normalne u niej takie nocne nietrzymanie moczu?

– Skąd mam wiedzieć, komisarzy?

– No właśnie – nie wiecie o podstawowych rzeczach, od znajomości których zależy czy podejrzany zachowuje się naturalnie czy kiwa was! Proszę mówić dalej!

– Weszła do toalety...

– I nie wyszła?

– Wszczęliśmy alarm.

– A wuefista tymczasem zniknął również.

– Tak jest! – W głosie praczki perliły się łzy.

– I przez jaki czas ukrywaliście tę informację przed swoimi przełożonymi?

– Nie ukrywaliśmy...

– Po jakim czasie od zniknięcia powiadomiliście o tym górę?

– Po półtorej godzinie. Szukaliśmy ich na wyspie, spenetrowaliśmy cały zamek, myśleliśmy, że ukryli się w piwnicy... Przesłuchaliśmy jej koleżanki z pokoju..

– I co – bez rezultatu?

– Bez rezultatu.

– Wylatuję do was – powiedział Milodar. – Jesteście zwolnieni.

Sześć minut później, porzuciwszy śniadanie, komisarz Milodar przeszedł od siebie do podziemnego bunkra, wyposażonego we wszelkie możliwe środki łączności, a jego hologram wszedł na pokład służbowego śmigłowca, który natychmiast wziął kurs na jezioro Ładoga.

Podróż na północ zajęła nie więcej niż godzinę czasu.

W tym czasie wszyscy bez wyjątku na obudzonej gwałtownie wyspie, wiedzieli już o ucieczce zakochanych. I należy powiedzieć, że sympatia wszystkich, poza agentami komisarza była po stronie miejscowego wariantu Romea i Julii. Przez wszystkie lata istnienia przytułku jego mieszkańcy uważali siebie za zhańbionych przez rodzimą planetę – przecież kto, jak nie Ziemia miała ich chronić i wspierać? Ale zamiast tego pakują cię na zimną, obfitującą w żurawiny, opieńki, kozłaki i komary kamienną pustynię, po czym zaczynają badać w nadziei na wykrycie w człowieku czegoś takiego okropnego, o czym sam nie ma pojęcia. O, jak przyjemna jest zemsta, na was, wszechmocnych eksperymentatorach!

Tak właśnie powiedziała Ko do komisarza Milodara, kiedy ten wpadł do sypialni i rzucił się na nią z wyrzutami i oskarżeniami.

– A niby dlaczego mam wam współczuć? Myślicie, że będę wam pomagała zachować stołek? – bezlitośnie rzuciło dziewczę. – Niech was przepędzą! Może zamiast pana pojawi się człowiek o normalnym gorącym sercu, a nie z zamrożonym serdelkiem w piersi!

– Zapominasz – chłodno replikował komisarz – że nie mam w piersi niczego, albowiem jestem hologramem komisarza. A ja sam siedzę w tej chwili w podziemnym bunkrze i kieruję całą operacją.

– To właśnie takie do pana podobne! – zawołała Ko i gwałtownym ruchem odrzuciła do tyłu ciemnoblon włosy. Chwyciła się palcami za łokcie, jakby obejmując się w talii. Poranny szlafroczek okrywał ramiona tak kruche, że wydawało się – mogły przeciąć tkaninę kosteczkami.

Milodarowi zrobiło się żal dziewczyny, ale natychmiast przegnał precz to zbędne uczucie.

– Tak więc – powiedział komisarz przyglądając się łóżku Weroniki, pościel ułożona była tak, by każdy, kto wejdzie uwierzył, że pod kołdrą śpi przykryta po czubek nosa dziewczyna. – Nie potrafimy z wami pracować, nie potrafimy waszym zdaniem...

Odwrócił się do Ko i zapytał delikatnie, po koleżeńsku:

– No, co się tak czaisz, opowiadaj jak i dokąd zwiali?

– Czyżbyście ich jeszcze nie ujęli? – zdziwiła się Ko.

– Nie ujęliśmy, Ko. Dlatego teraz opowiesz mi szczerze wszystko, co o tym wiesz.

– To groźba?

– Przysięgam ci – nic podobnego! Sam wolałbym, żeby zakochani szczęśliwie uciekli i ukryli się, choćby na Marsie. Ale powiedz mi, czy ty sama w to wierzysz? Wierzysz w miłość, że tak powiem, w maju, w tramwaju?

– Niech spróbują – odparła Ko. – Każdy człowiek ma prawo spróbować wystawić swoje szczęście na próbę.

– Cóż... Dobrze, Ko, krzyki i groźby zachowam dla tych idiotów, których obowiązkiem służbowym było pilnowanie Weroniki. Ty natomiast, opowiedz mi to, co sama uznasz za właściwe.

– Cokolwiek bym nie opowiedziała, to i tak pan to obróci na niekorzyść Weroniki.

– Dziewczyno ma, ty kompletnie nie masz pojęcia, co się dzieje. Przecież ucieczka Weroniki i Artema – to wydarzenie o szczególnej wadze. Według naszej policyjnej terminologii – wydarzenie klasy 3B. To jest poziom trzęsienia ziemi. Poza tym – ta ucieczka to policzek w twarz służby bezpieczeństwa, która przecież wcześniej wiedziała o jej przygotowywaniu.

Ko nie patrzyła na Milodara, coraz mocniej natomiast obejmowała się rękami, jakby chciała zagłuszyć jakiś ból.

– Nie możesz nawet niechcący zaszkodzić przyjaciółce.

– To nie tylko o to chodzi – powiedziała Ko.

– A co, jeśli to nie tajemnica?

– Będzie się pan śmiał ze mnie.

– Nie będę. Ja w ogóle rzadko się śmieję.

– Nie mam komu się przyznać, poza panem...

– No to się przyznawaj.

Ko podniosła głowę i szeroko otworzyła swe niebieskie oczy.

– Komisarzu – powiedziała. – Ja na zabój kocham się w Artemie. Kocham go tak, że jestem gotowa skoczyć dla niego z urwiska.

– Jak więc udało ci się to ukryć?

– On kocha Weronikę – twardo oświadczyła Ko. – Nawet gdyby zmienił swoje zdanie, to ja sama odwróciłabym się od niego.

– Dla mnie to za bardzo skomplikowane – rzekł komisarz. – Jeśli kogoś kocham to na pewno wyrwę go z cudzych objęć!

– Nawet jeśli to będzie pana brat?

– Oczywiście! Po co moja ukochana ma się męczyć przez całe życie z bratem, skoro może kochać mnie.

– A jeśli to będzie pana przyjaciel?

– Nawet jeśli to będzie przyjaciel...

Spojrzenie komisarza zawlokła mgła wspomnień. Czułe serce Ko natychmiast zrozumiało, że przeszłość komisarza zasnuta jest historią tego typu.

– A zresztą, co tam – powiedział komisarz. – Każdy żyje jak może i nigdy nie można powiedzieć z góry, co przyniesie dywidendę, a co cię zrujnuje.

Ko przemilczała jego słowa. Komisarz zaproponował:

– Mimo wszystko, opowiedz mi, co się tu wydarzyło wczoraj wieczorem.

– Nic. Weronika nic mi nie powiedziała.

– Czyżbyś spokojnie przespała ucieczkę? Nie pomogłaś jej?

– Po co jej moja pomoc?

– Jak więc udało mu się ją porwać, skoro moi ludzie przysięgają, że pilnowali jej aż pod drzwi toalety?

– Widocznie należy sprawdzić okno toalety.

– Byłem tam. Toaleta jest na drugim piętrze.

– Już tysiąc lat temu znane były drabinki sznurowe.

Milodar rozumiał, że nic więcej od Ko nie wyciągnie.

Nie powiedziawszy więcej ani słowa, udał się do damskiej toalety, gdzie przekonał się, że Ko miała rację: na parapecie wykrył zadrapania i otarcia od sznura. Nie wykluczone, musiał przyznać w duchu Milodar, że z tej drogi pensjonariusze domu dziecka korzystali niejednokrotnie.

Milodar stał w damskiej toalecie, wyglądał na zewnątrz i zastanawiał się: dokąd mogli uciec zakochani? Do domu Artema? Raczej nie. Do Erywania już skierowano zlecenia, które postawiły na nogi służbę bezpieczeństwa. Ale Milodar zdawał sobie sprawę, że na przykład w Górnym Karabachu, gdzie Artem miał i rodzinę i przyjaciół, można ukryć taką parkę tak, że nie odszuka ich cały galaktyczny wywiad. A jeśli nawet odszuka, to pożałuje, że wplątał się w taką kabałę.

Ale coś jednak trzeba zrobić...

Milodar wyszedł na korytarz. Kilka dziewczynek w różnym wieku, niecierpliwie czekających przy wejściu do toalety, okupowanej przez tego straszego pana, omal nie wywracając go rzuciły się do środka.

Radośnie zapluskała woda.

Nieoczekiwanie odezwała się bransoleta łączności.

„Dziewczyna odpowiadająca rysopisem Weronice, według zeznań tragarza, numer 26 zauważona została na przystanku Wyrja Murmańskiej Kolei Żelaznej”.

– Sprawdzić! – ryknął Milodar. – Natychmiast mi to sprawdzić. Czy była sama? Podaję rysopis towarzysza... nie, nie trzeba, wysłałam flyer z agentem.

Coś powstrzymało Milodara przed natychmiastową podróżą na ten przystanek. Jeszcze coś nie zakończyło się tu, nie zwieńczyło w tym Domu Dziecka. A skoro tak, to nie wolno mu go opuścić...

Ko stała nieopodal na korytarzu.

– Też tam? – zapytał komisarz wskazując drzwi do toalety.

– Nie, dziękuję.

– Weronika została zidentyfikowana na przystanku Wyrja.

– Polecą pan tam?

– Ko, chodźmy przejdziemy się do tej kryjówki Artema – zaproponował Milodar. Nie sprytnie, żeby ją przechytrzyć, ale jak koledze, współpracownikowi. – Może tam siedzi. Albo przynajmniej list zostawił...

– Tylko narzucę coś na siebie – odpowiedziała dziewczyna. – Chyba deszcz pada.

Milodar poczekał na Ko przy wyjściu z zamku. Miała na sobie długi płaszcz. Za nią wybiegła dyrektorka z ogromnym czarnym parasolem i wręczyła go Milodarowi. Komisarz z uprzejmości wziął parasol, chociaż hologramy go nie potrzebują.

Dyrektorka nie śmiała iść za Milodarem. Czowała swą winę, a komisarz miał tak wściekłą minę, że lepiej było nie zbliżać się do niego.

Ko nie bała się go, co komisarzowi sprawiło przyjemność. Ko różniła się od innych pań w jej wieku. Emanowała od niej dziwna, niemal profesjonalna pewność siebie. Taka pewność ma korzenie na poziomie genetycznym, pojawia się raz na sto lat. Milodar nie chciał tracić z oczu tej dziewczyny. Wydawało mu się, że znajomość z nią była większym zyskiem w ostatnich dniach, niż cała ta historia z romanssem.

– Idziemy do jego kryjówki? – zapytała Ko.

– Wiesz, gdzie to jest?

Zaczęli schodzić po ścieżce, Milodar ciągle czekał kiedy pnie drzew ukryją ich przed ciekawskimi i przestraszonymi spojrzeniami mieszkańców zamku. Obejrząwszy się dostrzegł przy bramie zamku dwie jednakowe postacie w fartuchach. Stały tam „praczki”.

– Byłam tam kilka razy – powiedziała Ko. – Jestem strasznie ciekawska. A szczególnie jeśli się uwzględni, że jestem zakochana w Artemie.

Powiedziała to tak zwyczajnie, jakby miała sporo ponad dwadzieścia lat, i nauczyła się odnosić do własnych emocji z pewnym dystansem i humorem. A przecież miała tylko siedemnaście lat.

– Tam ukrywał swoją łódkę?

– Tak, uciekał z zamku przez okno, schodził nad jezioro, łodzią płynął do przystani i czekał na nią w stróżówce. Potem pływali łódką po jeziorze.

– Naprawdę?

– Nie było w tym nic złego! – zawołała Ko. – Nawet kąpali się i pływali, jeśli woda nie było za zimna. Ze dwa razy byłam z nimi.

– Tylko pływali i kąpali się! – Milodar przesadnie zaakcentował niewiarę w te słowa, ale Ko nie zdziwiła się.

– Sądzi pan, że jesteśmy już całkiem dorośli i myślimy tylko o tym, jak wskoczyć do łóżka! – obruszyła się. – A to nie tak. Mamy wiele innych zainteresowań i zajęć ciekawszych od ocierania się o ciało jakiegoś owłosionego faceta!

– Przecież sama powiedziałaś, że jesteś zakochana w wuefiście!

– On – to zupełnie inna sprawa. No i nie dotykał mnie swoimi łapami.

– A Weronikę dotykał? – zapytał Milodar.

– Tylko na tych ostatnich randkach. Zaczął mówić, że kąpiele i przejażdżki łodzią to za mało, że jego miłość wymaga czynu...

– A Weronika?

– Weronika wahała się. Ona miała ochotę jeszcze popływać na łódce. Chociaż mówiła mi też, że całowanie podoba jej się bardziej. Ale w sumie, szczerze mówiąc, komisarzu, rozmawialiśmy z Weroniką wiele o tym, co jest najważniejsze w miłości, ale nie znalazłyśmy odpowiedzi.

– A jaki jest twój punkt widzenia?

– Ja sądzę, że najważniejsze jest duchowe pokrewieństwo – oświadczyła Ko.

– Poczekaj – Milodar zatrzymał się.

Znajdowali się już w lesie, w połowie drogi do brzegu jeziora. Zapłonęło światółko wywołania na bransolecie Milodara.

– Istnieje podejrzenie, że odpowiadająca opisowi wychowanki W. dziewczyna w towarzystwie młodego człowieka, odpowiadającego opisowi podejrzanego A., wsiedli do pociągu Moskwa – Murmańsk, który zatrzymał się na rozjeździe Wyrja.

– Jak daleko jest Wyrja od jeziora Ładoga?

– Wyrja znajduje się na brzegu jeziora.

– No to jesteśmy w domu – powiedział Milodar. Potem zapytał bransoletę: – Czy w pociągu została uruchomiona obserwacja podejrzanych?

– Tak jest – odpowiedział cienki odległy głosik.

Stali w ciemnym lesie. Było chłodno. Siąpił drobny deszczyk.

– Cóż – powiedział Milodar. – Co proponujesz? Wracamy?

– A co możemy jeszcze zrobić? – zdziwiła się dziewczyna.

Milodar uśmiechnął się demonstrując przesadnie białe zęby.

– No to wysłuchaj mojej pierwszej lekcji, panienko – powiedział. – Jeśli w drodze do celu, do podejrzanego, do kamienia z napisem, nagle coś cię odciąga, niech nawet będzie to coś ważnego, to wysłuchaj tego, ale zakończ drogę do celu. W dziewięćdziesięciu procentach gra jest warta świeczki.

– Pójdziemy nad jezioro? – zdziwiła się Ko. – Przecież tam nie ma nikogo!

– Właśnie. Stracimy może dziesięć minut, ale w zamian będziemy do końca życia spokojni i przekonani, że nie przegapiliśmy czegoś ważnego tylko dlatego, że miotamy się od karmnika do karmnika.

Komisarz zapewne miał na myśli osła Buridana.

Szedł pierwszy i ostrzegał przed gałęziami i wystającymi gałkami.

Przed nimi między pniami błysnął błękit wody. Chmury, jakby tylko czekały na tę chwilę, rozpięchły się i słońce słabo, ale jednak, rozświetliło ziemię.

Zatoczka, nad którą zawisły grube korzenie sosen trwała cicha i milcząca. Milodar pochylił się nad tym miejscem, w którym zatopiona była łódź. Pozostawała na starym miejscu. Oznaczało to, że zakochani odплыnęli inną. Ale kiedy Milodar już miał wracać Ko zatrzymała go i powiedziała przestraszona:

– Panie komisarzu... niech pan patrzy... pod łodzią.

W jej głosie komisarz usłyszał trwogę.

Pochylił się niżej ku przejrzystej wodzie i zobaczył, że spod przytępionej łodzi wystają białe bosc ludzkie nogi...

Jakby ktoś położył na niezbyt głębokim tu dnie rozebranego człowieka, a potem przydusił go zatopioną błękitną łódeczką, licząc na to, że nikt na takim odludziu nie będzie szukał ciała.

Ko stała nieruchomo. Bała się biec do lasu, ale bała się też pozostać na miejscu.

– Obawiasz się, że wyślę cię po pomoc? – zapytał Milodar kucając, by lepiej przyjrzeć się ciału.

Ko pokręciła przecząco głową, ale nie odpowiedziała nic. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Słusznie – powiedział Milodar. – Nawet czołgiem nie odciągnąłbym cię stąd.

– Wy... wywołać może pan pomoc... tą bransoletą – wykrztusiła dziewczyna.

– Dobry pomysł – powiedział Milodar i nic nie zrobił.

– Kto to? – zapytała Ko, żeby przerwać ciszę.

– Wkrótce się dowiemy. Chociaż ja już coś podejrzewam. Ty zresztą też.

– Nie!

– Tak.

Milodar wszedł do wody – wskoczył do niej po pas, ale woda nie zakołysała się, nie zafalowały kręgi – hologram nie naruszył jej spokoju, Ko opanowało poczucie koszmaru, nierzeczywistości.

– A teraz... – powiedział Milodar, bo możliwości hologramu były niejednoznaczne i nie zawsze jednakowe. Czasem mógł wziąć do ręki kielich czy rzucić kamień, a czasem tracił umiejętność manewrowania materialnymi przedmiotami. – Teraz weź drąg, co to wala się trzy kroki wyżej na ścieżce. I wróć tu.

Ko grzecznie zrobiła trzy kroki w górę, podniosła z ziemi grubą trzymetrową prostą gałąź.

– Chodź tu – rozkazał Milodar.

Ko podeszła do wody.

– Teraz ostrożnie pchnij rufę łódki. Tylko ostrożnie, rozumiesz mnie? Myślę, że nie dotyka albo niemal nie dotyka ciała.

Ko usłuchała go. Było jej strasznie zimno.

Od pierwszego podejścia udało jej się trafić drągiem w rufę, ale łódka nie od razu poruszyła się – była znacznie cięższa niż sądziła dziewczyna.

Naparła na drąg – drąg omsknął się po rufie i odleciał w bok. Ko z trudem utrzymywała go w ręku i musiała wyprostować się i wyjąć koniec tyki z wody. Woda wzburzyła się, ale łódka już odpływała w bok, podnosząc się przy tym ku powierzchni.

Trup leżący pod łodzią kiwnął się i wolno popłynął do brzegu – poruszał się, póki nie dotknął sterczącego z brzegu korzenia wyprostowanymi palcami ręki.

Artem leżał blisko powierzchni twarzą ku górze, i teraz, kiedy łódeczka odsunęła się, wolniusieńko wypływał. Ko zrozumiała: co za szczęście, że obok jest komisarz Milodar. W innym przypadku na pewno zwariowałaby. Nie można być normalnym człowiekiem widząc jak wesoły młodzieniec, w którym się człowiek trochę podkochiwał, wypływa z przejrzystej zimnej wody, wpatrując się w dziewczynę spod półprzymkniętych powiek martwymi oczami, odrobinę ruszając na boki rękami i nogami – jakby odpoczywał na wodzie po długim dystansie.

Ko jęknęła i odrzuciła na bok drąg.

Usiłowała zamknąć oczy, ale nie potrafiła.

– Wytrzymaj – powiedział Milodar. – Teraz nie ma co się miotać. Mosisz, dziewczyno, wytrzymać.

– On przecież nie mógł utonąć – wyszeptała Ko. – Pływał jak ryba...

– Nie to jest ważne – odezwał się Milodar.

– A poza tym jego tu nie ma! – ucieszyła się Ko, chwytając się kłamstwa jak brzytwy. – On jest w pociągu! Przecież był widziany z Weroniką!

– I to mnie najbardziej denerwuje – przyznał komisarz.

Włączył swoją bransoletę – rozpałiło się zielone światełko.

Ko nie mogła oderwać wzroku od twarzy Artema – taka spokojna i żywa twarz, jeśli nie zwracało się uwagi na ciemną plamkę na skroni.

– Uwaga – powiedział komisarz. – Komunikat o nadzwyczajnym stopniu utajnienia i wagi. Przechodzę na szyfr. Włączyć wszystkie miksery dźwięku w Układzie Słonecznym, stworzyć zakłócenia akustyczne na wszystkich zakresach z maksimum kiloherców łącznie.

Ko usłyszała, jak ktoś w bransolecie jęknął. Widocznie polecenie było tak szczególne, że Ziemia

na mgnienie oka zamarła na swojej orbicie.

Milodar natomiast, odczekawszy króciutką chwilę, zaczął sypać bezsensownymi zestawami cyfr i pogwizdywać przy tym – te dźwięki, przypominające dziecienną zabawę, rozleciały się z prędkością światła po Ziemi, po Galaktyce, zmuszając statki do zmiany kursów, karawany do opuszczenia wodopojów, podziemne maszyny bojowe do znieruchomienia w trzewiach wulkanów.

A Ko patrzyła na spokojne oblicze Artema, o którego całowaniu tak jeszcze dziś rano marzyła i cierpiała z zazdrości, rozumiejąc, że Artem zmierza ku wargom Weroniki.

Gdzie teraz jest Weronika? Na jakim przystanku? Kto ją widział i z kim? To jakaś straszliwa pomyłka. Weronice może grozić niebezpieczeństwo!

– Weronice grozi niebezpieczeństwo! – zawołała Ko.

Milodar skrzywił się, ponieważ okrzyk Ko wytrącił go z rytmu wystrzeliwania serii cyfr kodu.

– Wiem – odezwał się.

Tymczasem z góry, po niewidocznej pomiędzy drzewami ścieżce, z której wcześniej korzystał tylko wuefista, biegły praczki – prawie wyrzuceni już z roboty pracownicy Intergpolu. Przynieśli ze sobą aparaturę do filmowania i, zanim wyjęli Artema, utrwalili w jej pamięci położenie ciała w wodzie.

– Nie da się go ożywić? – zapytała Ko, kiedy Milodar odsunął się od krawędzi wody, by nie przeszkadzać swoim pracownikom.

– Nie pleć bzdur – oparł komisarz. – Jesteś już dorosła i świetnie wiesz, że komórki mózgu żyją tylko kilka minut po zgonie nosiciela. Potem następują nieodwracalne zmiany. Jeśli nie zdążysz przenieść mózgu do innego ciała albo do komory chłodniczej w ciągu sześciu minut, to możesz uważać, że człowiek zginął.

– Ale tu jest taka zimna woda! – upierała się Ko.

– Obawiam się, że i to nam nie pomoże – odpowiedział Milodar. – Ten biedak leży tu długo, pewnie kilka godzin.

– Skąd pan to wie!

– Posłuchaj mnie, dziewczyno – rzekł komisarz. – Wiem, że jesteś wzburzona z powodu śmierci Artema. Ale uwierz mi, jestem tym przejęty znacznie bardziej niż ty, ponieważ powinienem był go przesłuchać, a teraz już tego zrobić nie mogę.

Ko patrzyła zdziwiona na komisarza. Mówił to zupełnie poważnie. Wtedy Ko mało jeszcze знаła komisarza i pomyślała, że stara się przedstawić siebie jako człowieka obowiązkowego. Ale tak naprawdę, to komisarz niczego nie demonstrował – dla niego naprawdę najważniejsza była praca. A teraz tą pracą było właśnie zatrzymanie Weroniki i człowieka, który towarzyszył jej i który, według wersji Milodara, wraz z Weroniką zabił wuefistę.

Po co? Dlaczego? – to są pytania na jutro. Teraz zaś największą przeszkodą w pracy Milodara było to, że Artem nie żył i nie można mu było pomóc.

– Idź do swego pokoju – powiedział Milodar – i odpocznij.

– Mówi pan poważnie? – rozłościła się Ko. – Chce pan powiedzieć, że w chwili kiedy zabito mojego przyjaciela, kiedy zaginęła moja przyjaciółka, mam siedzieć w sypialni... Może jeszcze mi pan poradzi, co mam sobie poczytać?

– Nie wiem, jakie tu macie książki! – odgryzł się komisarz, poważnie potraktowawszy jej słowa. – I w ogóle – lepiej pooglądaj sobie telewizję. O tej porze pewnie leci jakiś serial.

Praczki ostrożnie wyciągnęły ciało na brzeg. Z góry przybiegł lekarz z domu dziecka, niezbyt

pewnym krokiem zbliżył się do ciała.

– Artem... Artemczik – zawołała Ko.

– Uciekaj mi stąd! – krzyknął komisarz.

Ko nie zwróciła uwagi na jego okrzyk, przykucnęła przy ciele i dotknęła palcem lodowatego czoła.

– Przepraszam – powiedział lekarz, śpieszący się do badania.

– Proszę mi szybko określić czas śmierci i stan mózgu! – polecił komisarz.

– Ależ na nie mam przy sobie odpowiednich przyrządów.

– Każdy może, jak ma przyrządy! – ryknął wściekły Milodar. To, co się wydarzyło odbierał jak osobistą porażkę i hańbę. – Proszę to określić bez aparatury. Nawet jeśli jest już beznadziejnym przypadkiem chcę go przesłuchać. Jasne?

– Nie – przyznał lekarz.

– W takim razie – komisarz wziął się w garść – proszę określić przyczynę śmierci.

– To – wskazał palcem lekarz – widzi pan, na skroni? To ślad uderzenia ostrym narzędziem.

– I to wszystko, co może pan powiedzieć?

Na szczęście dla doktora – który nie wiedział, co może jeszcze powiedzieć, ponieważ zazwyczaj czarną robotę wykonywały za niego automaty, a on tylko werbalizował otrzymane od nich dane – łamiąc wierzchołki sosen, na powierzchnię wody zwałił się flyer z czerwonym krzyżem na burcie, a z jego wnętrza wysypało się na odrzutowych aparatach latających kilku medyków z walizkami w ręku.

– No i co? – powiedział Milodar do lekarza, a ten, zawstydzony, usunął się na bok.

Nie chcąc narażać na szwank uczucia obecnych medycy migiem nakryli ciało Artema białym namiocikiem i sami wpakowali się do środka. Dochodziło stamtąd brzęczenie aparatury, wizg pił, skrzypienie i inne nieznanego pochodzenia dźwięki. Ko poczuła się tak niedobrze, że zaczęła tyłem wycofywać się po zboczu, uderzyła plecami o szorstki pień sosny, znieruchomiała. Nie miała już sił iść dalej.

– Przystanek Wyrja? – zapytał Milodar włączywszy bransoletę. – Jak tam się mają poszukiwania naszej parki?

– Są w pociągu – odpowiedział głosik z bransolety.

– Macie zdjęcia? – zapytał komisarz.

– Możecie odebrać – odpowiedziała bransoletka.

Natychmiast ze szczeliny w bransolecie – Ko świetnie to widziała – zaczęła wysuwać się cieniuteńka błona, sztywniejąca i puchnąca na powietrzu, prostowała się i zmieniała w trójwymiarowe zdjęcie.

– Ko, gdzie jesteś? – zapytał Milodar, całkowicie przekonany, że dziewczyna nie usłuchała go i nie wróciła do zamku.

– Tu.

– Popatrz.

Ko wzięła do ręki zdjęcie Weroniki.

Tymczasem bransoletka wysuwała kolejne zdjęcie.

Ko jęknęła.

Obiektyw przyłapał wufistę w ujęciu trzy czwarte, dlatego jego twarz wydawała się być całkowicie żywa i ruchliwa.

– To jest Artem – powiedziała Ko.

– Sam widzę, że nie Lew Tołstoj – burknął komisarz.

– Bardzo podobny.

– Czy wątpi pan...

– No, naprawdę wspaniale! – powiedział z kpina w głosie Milodar. – A kogo w takim razie znaleźliśmy?

– Nie wiem.

W tej chwili realność Artema na zdjęciu wydawała się znacznie bardziej przekonująca. Znaleziony przez nich młodzieniec był ukryty we wnętrzu namiotu, lekarze robili coś, co miało zmienić go z człowieka... w obiekt.

– A ja wiem – powiedział Milodar. – Dlatego zaraz odlatuję do Murmańska.

– Co pan wie? – zapytała Ko.

Milodar jakby nie słyszał jej pytania. Zwrócił się w kierunku namiotu:

– No, ile jeszcze?

Z namiotu wysunęła się twarz lekarza. Oparł się dłonią w rękawicze o trawę. Rękawiczka umazana była krwią.

– Mózg uszkodzony nieodwracalnie – powiedział. – Czas śmierci – trzecia w nocy. Zabity został na brzegu, a następnie wrzucony do wody.

– Przyczyna śmierci?

– Uderzenie... uderzenie ostrym przedmiotem. Niewykluczone, że dziobem.

– Jakim znowu dziobem! – syknął Milodar. – Może jeszcze powiecie, że zabiło go ukąszenie mrówki.

Ogromna wrona poderwała się do lotu z gałęzi nad głową Milodara, wykonała ostry zwrot w powietrzu i, nabierając prędkości, pomknęła w kierunku komisarza.

– Komisarzu! – zdążyła krzyknąć Ko i rzuciła się ku leżącej na ziemi gałęzi. Ale póki podnosiła ją, wrona zdążyła dolecieć do komisarza, który odruchowo uniósł ręce, chroniąc głowę przed uderzeniem.

Uderzenie!

Błyskawiczny ruch głowy, ogłuszający łomot skrzydeł – wrona przeleciała przez głowę komisarza i z rozpędu wyrznięta w ziemię – nie wiedziała, że ma do czynienia z hologramem komisarza.

Ale Ko wiedziała o tym.

Powinna była przestraszyć się i uciec: przecież nie bardzo wiadomo czym i jak zagraża wrona morderca takiej młodej i niedoświadczonej dziewczynie. Nietrudno przecież było dojść do wniosku, że i śmierć Artema w jakiś sposób wiąże się z podobnym atakiem.

Ale Ko była zła. A jeśli wstrętne ptaszysko przyleciało tu by zabijać, to samo też nie może liczyć na litość!

W rękę Ko znajdował się niezły drąg, ten sam, którym przesuwała łódkę, i dziewczyna zorientowała się co należy zrobić wcześniej, niż wszyscy agencji Interpolu razem wzięci.

W chwili, kiedy ptaszysko straciwszy równowagę huknęło o ziemię i zaczęło trzepotać skrzydłami usiłując wzlecieć w powietrze, zwałił się na nią drąg – Ko z całej siły uderzyła ptaka. Rozległ się trzask.

Głowa z wielkim dziobem nie utrzymała się na przetrąconej drągiem szyi, odpadła od korpusu i

legła na trawie.

Ptak jeszcze mocniej zatrzepotał skrzydłami, pobiegł ku wodzie i poderwał się na samym brzegu w powietrze, zaczął nabierać wysokości.

Wrona leciała, odlatywała z wyspy – wyglądała zupełnie jak normalny ptak tyle że bez głowy. I Ko oczekiwała, że ptak w końcu zwali się do wody, przecież wiadomo, że tak się czasem zdarza: odetchnie się łeb kogutowi, a ten jeszcze przez jakiś czas miota się po ptaszarni, aż padnie. Tak, zdecydowała Ko, musi się stać i z tym wściekłym ptaszyskiem – zaraz runie do wody jak kłęb czarnych piór.

Wszyscy pozostali też gapili się na bezgłową wronę. Ale ta wcale nie spadała i choć wolno, ale wznosiła się coraz wyżej.

Widok był co najmniej niezwykły.

Ale nie trwało zbyt długo, ponieważ ze szczytu wzgórza poderwała się druga wrona, dogoniła swoją towarzyszkę, leciała chwilę obok, nieco poniżej, potem zręcznie podstawiła bezgłowej wronie swój grzbiet, i ta osiadła na nim, pozwalając unieść się ku niebiosom.

– Cóż – odezwał się pierwszy komisarz – przynajmniej widzieliśmy zabójcę i nawet wiemy jak dokonał zbrodni.

– Wystraszyłam się o pana – wyznała Ko.

– Ja też się przestraszyłem – odpowiedział komisarz. – Oczywiście wiem, że jestem hologramem. Ale kiedy wali się na człowieka jakiś stwór, to ręce odruchowo same zaczynają działać.

Roześmiał się, i wszyscy też zaczęli się śmiać z ulgą.

– A z ciebie, Ko – zuch – powiedział lekarz z domu dziecka. – Ja na twoim miejscu na pewno bym się nie zorientował. I nie zdążyłbym...

– Też odnotowałem wspaniały refleks – zgodził się z nim Milodar. – Ale w przyszłości takie uderzenia należy zadawać szybciej i mocniej. Gdyby wrona nie straciła równowagi po kontakcie ze mną, to ze trzy razy zdążyłaby cię zadziobać.

Ko nie mogła nie obrazić się. Zrobiła to, co powinni byli zrobić obecni tu zawodowcy, którzy za to pobierają wynagrodzenie i premie, a zamiast wdzięczności jeszcze ją obsztorcowują!

– Całe wasze szczęście – mruknęła – że nie jest pan prawdziwy. Bo już by pan leżał na wilgotnej ziemi.

– Niegrzecznie – odpowiedział Milodar – nie kulturalnie. Nikt cię nie prosił, byś wymachiwała tu patykami. Może to właśnie przeszkodziło nam w schwytaniu dziwnej istoty. Można powiedzieć, że ty, dziecko, popsulaś nam całą operację.

Milodar zobaczył, że w oczach Ko błysnęły łzy. Natychmiast zmienił kierunek ataku.

– A co się tyczy pracowników Intergpolu, którzy znajdowali się tu i nie potrafili zagwarantować bezpieczeństwa swojemu komisarzowi, a także nie dokonali schwytania niebezpiecznych dla ludzkości urządzeń, to wszyscy bez wyjątku są aresztowani. Czy staną przed sądem i zostaną zdymisjonowani, czy zwolnieni ze służby bez świadczeń emerytalnych zadecyduje trybunał. Natychmiast – wszyscy do aresztu! Wypuściliście Ter-Akopjana, przegapiliście wychowankę, teraz omal mnie nie zabiliście i jeszcze się uśmiechacie!

Nikt, rzecz jasna, się nie uśmiechał. Po prostu zuchwy praczek i innych agentów Policji Intergalaktycznej drżały ze strachu i wstydu.

– Won! – polecił komisarz.

Zwolnieni pracownicy wolno pomaszerowali do aresztu, na brzegu od razu zrobiło się luźniej.

– Łapiduchy – wrzasnął komisarz. – Gdzie jesteście, niech was licho!

Łapiduchy nie musiały się odzywać, ponieważ wszyscy byli tu, na brzegu, obok komisarza – niektórzy w białym namiocie, inni – na zewnątrz.

– Weźcie w końcu ten łeb! – Milodar wskazał głowę wrony, leżącą nadal w trawie, wolno otwierającą i zamykającą dziób, jakby chciała się napić. – Weźcie tę głowę i natychmiast mi ją zbadajcie!

W tym momencie komisarz zauważył, że do głowy podszedł lekarz z domu dziecka i już pochyla się nad nią gotów chwycić w dłonie.

– Nie ręką! – oburzył się Milodar. – Gdzie się rodzą takie tępaki? Przecież tam może być wirus jakiś, trucizna... czy coś innego!

Doktor odskoczył od łba i w tej samej chwili, jakby w odzwie na słowa Milodara, głowa zaczęła się rozpląwać, zmieniać w galaretowatą masę, w kałużę kisielu, w ciecz, która szybko wsiąkała w glebę i po chwili tylko kilka piórek i jedno czarne oko zostało na trawie.

– No i doczekaliśmy się – powiedział z goryczą Milodar.

Nagle odwrócił się do Ko, stojącej obok ciągle z drągiem w ręku, niczym Herakles – oparty na maczudze i odziany w skórę lwa.

– A zapewnialiście mnie, że wy, sierotki, nie stanowicie żadnego zagrożenia dla ludzkości!

– A co my mamy z tym wspólnego! – oburzyła się Ko. – Dlaczego my? Weronika jest w niewoli u nieznanych drani, ja mogłam zginąć i obawiam się, że nikt z was nie przyszedłby mi z pomocą. Ale, jak się okazuje, winni jesteśmy my, tylko my! Już mi to zbrzydło! I proszę zapamiętać – ostrzegam was: jeśli ktoś zorganizuje grupę terrorystyczną, która będzie wysadzała w powietrze posterunki policji i domy dziecka, to ja będę jedną z pierwszych kandydatek do grona bojowniczek!

Milodar roześmiał się nieszczerze, potem wykrztusił:

– Mam nadzieję, że zanim to nastąpi uda nam się ciebie zredukować.

– Nie chcę się redukować.

– Czy nie rozumiesz – zawołał podenerwowany Milodar – że przyciągacie wszystkie niedobre moce Galaktyki! Czy to cię nie przekonuje?

– Jest pan pewien, że to my ich przyciągamy? A może to Artem? A może staliśmy się pionkami w waszej grze? Już panu nie wierzę, komisarzu.

– To dobre, prawidłowe uczucie niewiary. Z ciebie może być dobry agent – powiedział Milodar.

W ten sposób po raz pierwszy dziwne uczucie przyciągające do siebie i odpychające zarazem od siebie Milodara i Ko zostało zwerbalizowane. I wypłynęło na powierzchnię słowo „agent”. Odtąd stosunki komisarza i dziewczyny o imieniu Ko weszły w nowy, jeszcze nie ukształtowany przez doświadczenie, pamięć i wspólne przeżycia, etap.

Ale w tym momencie Milodar za bardzo był zajęty bieżącymi problemami, by zająć się jeszcze uczuciami do Ko. Wyjął detektor zapachów, „kieszonkowego psa”, jak nazywano go w Zarządzie i postarał się, póki ślady na miejscu przestępstwa nie zostały jeszcze ostatecznie zdeptane, poddać analizie przebieg napaści na wuefistę.

Widząc, że komisarz zaczyna iść po ścieżce do góry, kierując przy tym błękitny promyk przyrządu na liście i ziemię pod krzewami, Ko zapytała go czym się zajmuje. Komisarz wyjaśnił, że usiłuje określić i zapamiętać ślady zapachowe, pozostawione tu przez zabójcę.

– Po co? – naiwność komisarza zdziwiła Ko. – Przecież już wiemy, że Artema zadziobały bioroboty-wrony.

– Co prawda, to prawda – zgodził się Milodar. – Ale wrony nie byłyby w stanie zaciągnąć Artema do wody i nakryć go łódką w nadziei, że ciało nie będzie odkryte jeszcze przez kilka dni, ponieważ nie będzie poszukiwane. A to oznacza, że wrony nie były tu same.

– Ktoś nimi kierował – zrozumiała Ko.

– Właśnie.

Komisarz wolno szedł po ścieżce, zerkając na miniaturowy ekranik przyrządu i wsłuchując się w monotonny cienki pisk dochodzący z głośników.

– O – powiedział komisarz. – Tędy schodził Artem... to jego zapach.

– Czyżby jeszcze się zachował?

– Mojemu psu wystarczy kilka molekuł. A tyle zawsze zostaje: człowiek dotknie gałęzi, potknie się o patyk, albo kichnie...

– A co dalej?

– Dalej widzę nasze zapachy i ten, który został po niezręcznych praczkach i lekarzu z sierocińca, którzy biegali po tej ścieżce... Ale my to wszystko określimy i odrzucimy... O! A to jest zapach nieznany. Należy do mężczyzny w wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, wysokiego wzrostu, ciemnego szatyna, z pieprzykiem na zewnętrznej stronie lewej dłoni...

– Wszystko to pan tam widzi?

– Co nieco się domyślam. Jak antropolog, który odtwarza wygląd człowieka na podstawie jego czerepu. – Komisarz wrócił na brzeg. – Zobaczymy, czy tam zostały ślady nieznanego.

Na brzegu znacznie trudniej było cokolwiek odnaleźć – zbyt wiele ludzi się tu kręciło. Ale po kilku minutach niestrudzony komisarz ponownie chwycił trop. Tym razem zapachowy ślad poprowadził ich wzdłuż brzegu i, o ile hologramowi komisarza włożenie do wody oraz łażenie po skałach nie sprawiało żadnych trudności, to Ko okropnie namęczyła się w ciągu tej pół godziny, które stracili na dojście do przystani.

– A tu beczelnie zatrzymał się – komentował nocne wydarzenia komisarz – bo był strasznie pewien siebie.

– W jakim sensie? – nie rozumiała słów komisarza Ko.

– W takim, że poczynając od miejsca zabójstwa zapach zabójcy był „nieczysty”, jakiś zamazany. Przez całą drogę łamałem sobie głowę, co się stało. I dopiero teraz zrozumiałem: zabójca rozebrał wuefistę i przebrał się w jego rzeczy.

– A gdzie się podziało jego ubranie?

– Nie zadawaj głupich pytań – machnął ręką komisarz. – Ubranie nic nam nie powie. Najprawdopodobniej utopił je – przywiązał do kamienia i wrzucił do jeziora. A może zabrały je bioroboty.

– Kto?

– Wrony, kto by jeszcze! Jak mogłem to przegapić! Sto razy widziałem je wczoraj na wyspie i nie zwróciłem na nie uwagi! Co za ślepotą! A one czekały na rozkaz do działania, czekały na swoje pięć minut.

Komisarz przespacerował się po skrzypiących deskach pomostu. Podeszedł do ruin stróżówki. Wsłuchał się, stojąc nieruchomo, w popiskiwanie swojego pieska. Potem podsumował poszukiwania:

– Przyszedł tu i czekał na Weronikę. Był w ubraniu zabitego wuefisty. To znaczy, że jest to ten tak podobny do Artema młody człowiek, którego zdjęcie widzieliśmy. Na szczęście śledztwo prowadzi

taki geniusz dochodzeniowy jak komisarz Milodar i dlatego wiemy, że Weronika jest w straszliwym błędzie. Podsunęto jej bliźniaka. A prawdziwy jej ukochany zginął. Teraz kolej na nas.

– A jaki będzie ten nasz krok? – zapytała Ko, nieco zdziwiona tak pozytywną opinią komisarza o samym sobie.

– My podsunie my im naszego dubleta – z niezachwianą pewnością odpowiedział komisarz, obrzucając badawczym spojrzeniem Ko. Ale dziewczyna w tym momencie jeszcze nie domyślała się, jaką straszliwą próbę szykuje jej komisarz Milodar. Czekala cierpliwie na ciąg dalszy jego wypowiedzi.

– Nie zechciałabyś mi towarzyszyć? – zapytał komisarz.

– Towarzyszyć dokąd?

– Poleciałabyś ze mną na półwysep Kolski. Potrzebuję pomocnika, który zna Weronikę i któremu Weronika ufa; znającego całą tę historię. Nie mam czasu wprowadzać w sedno sprawy innego agenta. Ale uprzedzam: to niebezpieczne zajęcie, niebezpieczna propozycja. Jedyne, co mogę obiecać to to, że w razie powodzenia uwolnimy nieszczęsną Weronikę i pomścimy śmierć Artema.

– Jestem gotowa – natychmiast, jakby oczekiwała takiego właśnie zaproszenia, odpowiedziała Ko.

Komisarz przestraszył się, że przesadził, sugerując niejako perspektywy równouprawnienia i przyjaźni, pośpiesznie obniżył patos swej propozycji:

– Nie napalaj się – oświadczył. – Biorę cię ze sobą nie z wdzięczności za próbę ratowania mnie. Chociaż, muszę przyznać, zachowałaś się w odróżnieniu od moich agentów godnie i po męsku. I nie dlatego, że jesteś mądra czy sprytna. To są na razie twoje prywatne przymioty i zalety. Ale nie chcę cię zostawiać samą bez nadzoru... Niech to diabli, dziewczyno. Licho wie, co tu się jeszcze może zdarzyć – będę spokojniejszy, jeśli będę cię miał w zasięgu ręki. Rozumiemy się?

– Rozumiemy – uśmiechnęła się Ko. – Mogę się przebrać?

– Tylko migiem! Ja w tym czasie wywołuję swój flyer, a ty biegnij do siebie, przebierz się. Ale nie jak na bal, tylko raczej jak na grzyby do lasu. Żebyś za dziesięć minut była gotowa.

Ko odrzuciła na bok drąg i pognęła po ścieżce dwumetrowymi krokami – taka lekka, zwinna, szczupła, koścista i długonoga, że aż strach było pomyśleć, jaką będzie mając lat dwadzieścia.

9

Wysiedli z flyera na bezludnym przystanku nieopodal Chibin. Wiał koszmarnie zimny wiatr. Już przed ich przylotem – tu Milodara wszyscy słuchali – w gabinecie naczelnika stacji znalazł się tobół z ubraniami. Milodar i jego młodziotka towarzyszka musieli przemienić się w parę narciarzy, którzy zabłądzili w śnieżnym pustkowiu i teraz tęsknią do komfortu murmańskiego Hiltona i gorących basenów Siewieromorska.

Strój narciarski był na Ko za krótki – ręce sterczały jej z rękawów niemal od łokci, na dodatek nie działało w nim ogrzewanie. Milodar orzekł, że nikt nie będzie zwracał uwagi na takie drobiazgi. W końcu – jemu zimno nie przeszkadzało, musiał tylko uważać, by jego hologram nie wypadł z ubrania w nieodpowiedniej chwili.

Milodar żądał, by Ko czekała na pociąg na peronie, ale dziewczyna odeszła do poczekalni, małej standardowej salki w stylu „Archipelag Gułag”, z przytulnym barem w kącie. Światło nad kontuarem nie paliło się, sam kontuar i okrągłe taborety były czyste i nie pokrywał ich kurz, a to – w zestawieniu z barakowymi ścianami – sprawiało nierzeczywiste wrażenie, wrażenie teatralnych dekoracji. Ale było tu przynajmniej ciepło.

Wkrótce przyszedł również Milodar. Udawał przemarzniętego na śmierć wędrowca.

– Napaliłaś w piecu, córciu? – zapytał podskakując i bezgłośnie klaszcząc.

– Kiedy przyjedzie pociąg? – odpowiedziała pytaniem Ko, w duchu bardzo wystraszona całą tą wyprawą: przez lata zamknięcia na Wyspy Dzieci utraciła poczucie pewności siebie w osamotnieniu. Bo towarzystwo Milodara było przecież fikcją. A i nie wiadomo, do czego mu jest potrzebna. Nieładnie jest podejrzewać, że ktoś chce człowieka wykorzystać w charakterze przynęty, a jeśli komuś tu będzie groziło niebezpieczeństwo, to raczej nikt jej nie uratuje, a prędzej porzuci jak obgryzionego przez ryby wymizerowanego robaka. Żal jej było Artema – może będzie jej się teraz śnił – sine nogi i ręce sterczące spod wywróconej łodzi. Dlaczego jest taką egoistką – dlaczego myśli tylko o sobie, kiedy powinna myśleć o biednym Artemie i nieszczęsnej Weronice...

– Komisarzu! – Ko zeskoczyła z obrotowego taboretu. – Doszło do straszliwej pomyłki!

– Spokojnie – Milodar podszedł do okienka uzbrojonego w zardzewiałą kratę. – Nie cierpię mody, tym bardziej takiej mody, pasożytującej na ludzkim nieszczęściu. Jaki idiota wymyślił te obozowe dekoracje?

– Słyszysz mnie pan, komisarzu? Doszło do straszliwego nieporozumienia!

– Zaraz powiesz mi, że jeśli Artem zginął na wyspie, to nie może być w pociągu. A skoro jedzie pociągiem, to nie zginął na wyspie. Zagadka bez rozwiązania!

– Jak się pan domyślił? – zdziwiła się Ko. – I dlaczego pan milczał?

– Tylko zupełny głupiec nie domyśliłby się. Dziwię się, że nie zadałaś mi tego pytania w ciągu ostatnich dwu godzin?

Ko zamyśliła się. Nikt nie chce wyjść na durnia.

– Śpieszyliśmy się – powiedziała w końcu. – Tak, że nie miałam czasu pomyśleć.

Do sali zajrzał naczelnik stacji, miły na oko, niezbyt chudy robot w mundurowej powłoce i czerwonej czapce z daszkiem.

– Turystyczny pociąg numer szesnaście jedzie według rozkładu – zakomunikował. – Będzie tu za sześć minut.

– Proszę sprawdzić, czy dotarła już grupa kontroli – polecił Milodar.

– Grupa kontroli – powtórzył robot i podreptał precz.

– Drugie twoje pytanie – dlaczego milczałem. Tu odpowiedź jest bardziej skomplikowana. Jest kilka po temu przyczyn. – Milodar usiadł na zakurzonej pryczy pod portretem nieznanego przez Ko pana w mundurze. Do ramki portretu przymocowano tabliczkę:

I. Brodski

Portret komisarza ludowego I. Jagody

– Pierwszy powód – kontynuował Milodar – brak zaufania do ciebie. Jesteś dla mnie *tabula rasa*, to znaczy *terra incognita*, rozumiesz?

– To po chińsku? – zapytała Ko.

Sierociniec miał niezłą kuchnię, ale poziom nauczania – umiarkowany.

– Nie tyle ważne, w jakim to języku, tylko jaki jest tego sens.

– Znaczy – nie ufa mi pan... – powiedziała Ko. – No to po co wziął mnie pan ze sobą?

– Dlatego, że mi się spodobałaś, a intuicja podpowiada mi: weź ją ze sobą.

– A teraz może pan powiedzieć, co to wszystko znaczy?

– Nie, nie mogę. Ja sam nie rozumiem. – Komisarz zbyt energicznie rozłożył ręce i prawa przeleciała przez tkaninę marynarki. Chociaż ta ręka to był tylko pozór. – Ale widzę w tym coś złowieszczonego. Na powierzchni wszystko jest proste i takie delikatne: romantycznie nastrojona panienska ucieka z ukochanym. Ale my przecież wiemy, że ukochany leży w postaci trupa pod wodą. Z kim więc uciekła Weronika i, co najważniejsze, czy ona sama wie, z kim uciekła?

– Co za straszne rzeczy pan opowiada!

– To ci się tylko tak wydaje. Kiedy pomyślisz, to zrozumiesz, że mam rację.

– Już to rozumiem. Chociaż chciałabym, by Artem żył. A ten fałszywy – zginął.

– To takie puste gadanie.

– Wiem.

Z daleka rozległ się sygnał parowozu.

– Zbieramy się – powiedział komisarz.

– Jestem gotowa.

– Nasze zadanie jest takie – wyjaśnił Milodar, wpatrując się w swoje odbicie nad wiadrem-paraszą, stojącym przy wejściu do baru baraku. – Musimy oderwać Weronikę od tego potwora. Ale tak, by on ciebie nie zauważył. Oni mają twoje fotografie. Działamy razem.

Milodar był z siebie zadowolony. Wyjął z kieszeni stroju narciarskiego ciemne okulary. Nałożył je. Drugą parę podał dziewczynie. Przez te okulary niemal nic nie było widać.

Milodar ruszył do wyjścia na peron, Ko – za nim. Narty były długie i ugrzęzły w drzwiach. Komisarz nie niósł nart.

Pociąg pojawił się zza łagodnego, porośniętego niskimi jodłami wzgórza. Pohukiwał witając stację. Pojedyncze śnieżynki fruwały nad szynami.

– Dlaczego nie zatrzymacie tego człowieka, skoro wiecie, że jest tak naprawdę samozwańcem?

Milodar aż tupnął nogą ze złości.

– Jesteś taka tępa, czy udajesz? – zapytał patrząc na zbliżający się pociąg.

– Anie jedno, ani drugie! – śmiało odezwała się dziewczyna.

– No to pomyśl: na Wyspie Dzieci, gdzie znajdują się, być może, najbardziej zagadkowe i niebezpieczne istoty na świecie... Nie marszcz czoła, nie jesteś temu winna, że możesz stać się potworem... Więc na tej wyspie dochodzi do morderstwa. Ktoś nie tylko zabił, ale i podmienił człowieka. Po co?

Ko pokręciła głową. Nie domyślała się kto i po co dopuścił się tych czynów.

– Zatem – kontynuował Milodar, prze stępując z nogi na nogę, podskakując i udając śmiertelnie przemarzniętego turystę. – Zatem komuś jest bardzo potrzebna twoja przyjaciółka Weronika. I to tak, że porywaczy nie powstrzymały nawet gigantyczne wydatki – wykonali kopię Artema Ter-Akopjana, widocznie tak podobną do zabitego oryginału, że nawet Weronika nie odkryła zamiany. Oczywiście, o ile nie jest częścią szatańskiego spisku...

– O nie! – zawołała Ko.

Robot w czerwonej czapce z daszkiem, z czerwoną chorągiewką wyszedł na peron. Podniósł chorągiewkę.

Na mającym kształt stożka przedzie staromodnego parowozu znajdowała się czerwona gwiazda, a sam parowóz podobny był, zdaniem Ko, do dziecinnej rakiety prochowej, jakie odpalano na wyspie w czasie fajerwerków. Parowóz miał ciemnozielony kolor, błyszczał, koła miały czerwone, z komina walił czarny dym, a maszynista w uszance wyjrzał przez boczne okienko i pomachał do robota. Do parowozu przyczepiony był tender, a za nim trzy wagony. Pierwszy miał dużo wąskich okienek, dwa następne były drewnianymi monstrami z szerokimi drzwiami na środku i małutkimi, przesłoniętymi kratami okienkami pod dachem. Ko wiedziała, że takie wagony, towarowe z piecykami węglowymi, ponad sto lat temu nazywano „ciepłuszkami” i zajmowały one ważne miejsce w rosyjskiej historii. Wagony były towarowe, ale już jakoś tak się złożyło w Rosji początku XX wieku, że wożono w nich ludzi i to przeważnie nie z ich woli. Wożono w nich żołnierzy i przestępców, ładowano do nich uciekinierów i głodujących; a ponieważ niemal każdy mieszkaniec kraju w tym czy innym czasie był albo żołnierzem, albo przestępcą, albo uciekinierem, to można uważać, że mało kto uniknął podróży w „ciepłuszce”.

Bliżej połowy następnego wieku, choć obyczaje nie wszędzie i nie zawsze zmieniły się na lepsze, to „ciepłuszki”, jak i kolej żelazna, zniknęły w pomroce dziejów. Pojawiły się inne środki transportu, znacznie bardziej cywilizowane, szybkie i wydajne.

Ale powszechne zainteresowanie historią i moda na turystykę w każdym jej przejawie, odrodziły pewne sposoby podróżowania, zapożyczone z głębokiej przeszłości, ze znacznym odstępstwem chwilami od prawdy historycznej. Stało się niebywale modne budowanie od nowa zamków i wiaduktów, kopanie rowów i wznoszenie mostów zwodzonych, by podróżni, przybywając z najbliższego kosmoterminalu konno, mogli ściągnąć z siebie przeпоcone zbroje i przebrać się w jedwabie na kolację w gotyckiej sali. Tam wysłuchiwali trubadurów, pochłaniali baranie szynki i ciskali kości złym psom, drapiącym gości po nogach. Następnie, ociążali od jedzenia i podpici pierwotnym piwem i okowitą, turyści szli spać po dwóch, trzech na słomiany materac, cierpieli z

powodu przeciągów i drżeli na widok widm, emitowanych przez holografistów za dodatkową opłatą.

Na półwyspie Kola i pod Magadanem funkcjonowały retrokoleje, które miały przypominać ciekawskim wędrowcom o zbrodniach komunistów i ich wodza Josifa Stalina. Oczywiście, wszyscy ci turyści przerabiali w szkołach zbrodniarzy XX wieku, Ko nawet niedawno zawałowała sprawdzian z drugiej wojny światowej, pisząc, że wziął w niej udział Napoleon, który przecież tak naprawdę uczestniczył w pierwszej wojnie, czy może w jakiejś jeszcze mniej ważnej.

Przyszłość zawsze jest wyrozumiała dla przeszłości i skłonna jest do pomniejszania zarówno jej osiągnięć, jak i jej zbrodni. Po długim czasie wymordowanie niemowląt przez króla Heroda można usprawiedliwić przez konieczność historyczną albo zmienić w powieść przygodową, w której czytelnik śledzi losy tylko jednego dziecięcia – tego właśnie, któremu udało się wykaraskać z tarapatów.

Tak więc Ko, która znalazła się na tym przystanku z konieczności, pomysłowość Wszechświatowej Agencji Turystycznej wydawała się fanaberią, sadyzmem i po prostu głupotą, ale podróży z sytej Danii i bogatej Boliwii z rozkoszą zaspokajali swoje masochistyczne duchowe ega i, kartkując postrzępione kartki odpowiednich rosyjskich powieści i przewodników, z drzeniem serca oczekiwali, co też jeszcze straszniejszego pokaże się za kolejnym zakrętem trasy.

Tym razem zobaczyli barak – obozowy barak, jednocześnie stacyjkę, rozjazd Łagiernyj. Duńscy turyści tłoczyli się przy okienkach „ciepłuszek”, a przewodnicy w szynelach z biura turystycznego odciągali ich od okienek i grozili pobiciem, a nawet śmiercią.

Mało kto z pasażerów zwrócił uwagę na Milodara i Ko, co innego na robota naczelnika, którego obfotografowało mnóstwo pasażerów – w pociągu zabronione było korzystanie ze współczesnych aparatów, a każdy chętny otrzymywał radzieckie aparaty FED i „Smiena”, które zazwyczaj żadnych zdjęć nie robiły, ponieważ błona się zacinała i szła po skosie, albo i w ogóle jej nie było. Ale nie o to chodziło, ponieważ i tak po zakończeniu podróży aparaty i taśmy, o ile w nich były, podlegały konfiskacie.

Milodar przyjrzał się Ko. Dziewczyna była naprawdę okrutnie zziębnięta, spod okularów sterczał czerwony czubek nosa, szczupłym ciałem wstrząsały dreszcze.

Sam komisarz też usiłował trząść się, a jego okulary były tak wielkie, że widać było tylko podbródek.

Pociąg na sekundę przyhamował.

Komisarz i Ko weszli do pierwszego wagonu, zwykłego, choć i staromodnego, wyposażonego w wąskie okna. Wzdłuż wagonu ciągnął się wąski korytarz, od którego odchodziły drewniane drzwi do przedziałów. Wagon był tak stary i zaniedbany, jakby naprawdę został odnaleziony na złomowisku, a nie wyprodukowany dwa lata temu.

Dziarski wąsaty konduktor, odziany w półwojskowego kroju mundur i czarną, czapkę z daszkiem, powitał nowych pasażerów w korytarzu, bez słowa zaprowadził do pierwszego przedziału i z taką swobodą zamknął za nimi drzwi, że Ko od razu pojęła: jest uprzedzony, a może i pracuje w tej samej instytucji, co komisarz.

– Są w trzecim przedziale, miejsce numer pięć i sześć. Od czasu, kiedy wsiedli, nie ruszali się z miejsc, tyle że dziewczyna dwukrotnie odwiedzała toaletę.

– Ile czasu trwa już podróż? – zapytał Milodar.

Albo zapomniał, albo sprawdzał pamięć konduktora.

– Dwie godziny czterdzieści minut – odparł zapytany.

– Bilety mieli w porządku?

– W porządku.

– Tak myślałem – oświadczył Milodar.

Komisarz był nadzwyczaj poważny.

Pewnie, Ko rozumiała, że sytuacja jest krytyczna i nikt się tu nie bawi. Ale w każdej, nawet najpoważniejszej sprawie nie wolno przeginać. Bo i pogrzeb może wydać się komiczny.

Konduktor czekał na polecenia z lekko otwartymi ustami. Miał sztuczne zęby, modne, perłowe.

Parowóz zabuczał. Przez okno widać było, jak naczelnik szarpie za linkę wypolerowanego do błysku dzwonu.

Z drzwi do bufetu wyszedł Stalin w towarzystwie kilku nieznanych Ko wojskowych. Podniósł rękę witając pociąg. Ko, odruchowo, pomachała również.

– Kto tam? – ocknął się Milodar.

– Stalin – odpowiedziała Ko. – Dziwne, że nie widziałam go na przystanku.

– On często nas z towarzyszami żegna – powiedział konduktor.

Milodar rzucił się do okna.

– Hologramy – powiedział z zadowoleniem, jakby przestraszył się, że Stalin może być prawdziwy. – Pewnie aktywizowane na przyjazd pociągu.

Usiadł na ławce.

– Proszę wracać do swoich obowiązków. Wezwę was w razie potrzeby – powiedział do konduktora.

Kiedy ten opuścił przedział Milodar zwrócił się do dziewczyny:

– Nie wiemy ile mamy czasu. Może tylko kilka minut. Mogę ci powiedzieć, że od tej chwili główną rolę w dalszych wydarzeniach będziesz odgrywała właśnie ty. Nie chciałem, rzecz jasna, nie ufam ci do końca – diabli wiedzą, co siedzi w twoim ciele i twojej duszy, ale nie mam wyboru.

– Co pan wymyślił, komisarzu?

– Zaraz pójdziesz do przedziału, gdzie siedzi Weronika...

– Po co?

– Zastąpisz ją.

– Jak to?

– Staniesz się Weroniką, a ją zabierzemy na Wyspę Dzieci.

– Ależ to niemożliwe!

– Dla Interpolu nie ma rzeczy niemożliwych – odparował Milodar.

Stał plecami do okna, podparłszy się pod boki i przypominał rozeźlonego kogutka.

– Dobrze – powiedziała Ko, która już dawno zrozumiała, że komisarz wozi ją po półwyspie kolskim nie dlatego, że się w niej zakochał. – Ale proszę mi dokładniej opowiedzieć o mojej roli.

– Konduktor wywoła zaraz z przedziału tego fałszywego wuefistę. Ty wejdiesz do przedziału. Będziesz miała minutę, może dwie. Musisz wszystko opowiedzieć Weronice, że jej prawdziwy ukochany leży w prosektorium w Pietrozawodsku i jeśli zechce, może popatrzeć sobie na jego ciało...

– Komisarzu! – przerwała mu rozsierdzona Ko. – Proszę nie udawać większego cynika niż pan jest naprawdę.

– Postaram się – uśmiechnął się krzywo komisarz. – Najważniejsze, żebyś zajęła miejsce Weroniki. Ona wyjdzie z pociągu ze mną. A ty pojedziesz dalej z sobowtórem Artema.

– Pan zwariował! On mnie zdemaskuje!

– Wspaniała odpowiedź – ucieszył się Milodar. – Inna dziewczyna na twoim miejscu krzyczałaby, że umrze ze strachu, zemdleje, jak tylko zostanie sam na sam z tym potworem. A ciebie dręczy tylko pragmatyczna strona problemu...

– Boję się, dlatego nie zdażyłam panu wszystkiego tego powiedzieć.

– Za późno. Już się zgodziłaś.

– Nie!

– Pomyśl, w twoim ręku są teraz wszystkie nici. Masz możliwość pomścić śmierć Artema, w którym byłaś zakochana. Masz możliwość uratować przyjaciółkę, która, w odróżnieniu od ciebie, nie jest przystosowana do tego typu sytuacji i zginie szybciej niż ty.

– Czy to znaczy, że ja też mogę zginąć? Tyle że później?

– Czemu nie? – zdziwił się komisarz. – Oczywiście, pierwsze zadanie, jakie na ciebie spadło jest bardzo niebezpieczne. Ja też trzy razy bym się zastanowił i pewnie w końcu nie zgodził.

– A ja się zgodzę?

– Nie podałem ci jeszcze wszystkich argumentów – powiedział Milodar. Usiadł na drewnianej ławce obok dziewczyny. – Poza zemstą i możliwością uratowania Weroniki, będziesz robiła to, co lubisz najbardziej na świecie. Bo ty jesteś awanturnicą, Ko!

– Jak pan śmie tak mówić?

– Śmiem, bo grupa specjalna Intergpolu zdażyła przez ostatnie godziny zbadać dogłębnie całe twoje dossier i twoją kartę medyczną. Wiem, że przewyższasz wszystkich na wyspie fizycznie i nie jest to wynik jakiegoś nieprawdopodobnego daru przyrody, a tego, że wszędzie i zawsze chcesz być pierwsza. Kiedy wszyscy szli spać, ty biegałaś dokoła wyspy i ćwiczyłaś ze sztangą. Tak było?

– Tak, ale w przeszłości.

– Gdybyś z takim samym zapałem i uporem uczyła się literatury i historii, już byś skończyła uniwersytet.

– Nie znoszę historii ponieważ, być może, jej wcale nie było.

– Wygodny punkt widzenia. Posłuchaj, kto w pierwszej klasie, w marcu, o zakład, z jedną nartą w ręku przebiegł do kontynentu po cienkim lodzie, żeby kupić lody w wiejskim sklepie? Kto, przebrawszy się za ducha, wlaźł na wieżę zamku bez pomocy haków i liny i wystraszył wszystkich mieszkańców zamku straszliwym wyciem?

– Och, to było takie zabawne! Gdyby pan widział jak pani Aaltonen w samej koszuli biegała po boisku i wrzeszczała, że duchy nie istnieją!

– A kto w środku zimy...

– Może skończmy tę rozmowę, komisarzu – w głosie dziewczyny rozbrzmiały nagle stalowe nutki. – To się działo nie ze mną i nie tu.

– Wspaniała odpowiedź – zgodził się niezwłocznie komisarz. – Rozumiesz teraz, dlaczego cię tu wziąłem?

– Nie, ciągle jeszcze nie rozumiem. Przecież i tak pan mi nie ufa.

– Ufam ci nie więcej i nie mniej, niż każdemu innemu pensjonariuszowi domu dziecka, to znaczy – niemal ufam. Ale nie mam wyjścia. Musisz podmienić Weronikę, ponieważ jesteś do niej podobna, nawet nie musimy zmieniać koloru oczu. Poza tym wiesz wszystko o wyspie i o Weronice – innego agenta z takimi kwalifikacjami szybko nie znajdziemy.

– Ale tam, aż tak bardzo nie jestem podobna!

– Jestem pewien, że podstawiony wuefista nie rozróżni was.

– Nic z tego nie wyjdzie. Jestem blondynką, a Weronika – brunetką.

Komisarz uśmiechnął się bez słowa. Podobała mu się ta panienska: zamiast wpaść w histerię, rozważała, czy podmiana się uda.

– Zrobimy z ciebie brunetkę – szybko odpowiedział komisarz, nie pozwalając jej zebrać myśli i znaleźć jakieś ważne argumenty. Nacisnął niewidoczny przycisk w zgrubnie wyheblowanej ściance przedziału i natychmiast pojawił się konduktor, jakby czekał przez cały czas pod drzwiami.

– Działaj – polecił Milodar.

Konduktor otworzył walizeczkę – znajdowały się w niej narzędzia lekarskie, a także różnorakie tubki, flakoniki i tabletki w folkach.

– Proszę zamknąć oczy – powiedział konduktor do dziewczyny.

Ta zamknęła oczy, ale ponieważ nikt jej nie zabraniał mówić, odezwała się do Milodara:

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego po prostu nie aresztujecie fałszywego Artema i nie wyciągniecie z niego wszystkiego?

– Jesteś pewna, że wyzna nam wszystko? Przecież wiesz, że agenci innych planet chętniej kończą życie, niż oddają się w nasze ręce. A może to nie jest człowiek, tylko biorobot? To co z niego wyciśniemy? Niewykluczone, że sam nie wie, po co go wysłano na Ziemię – ma wprowadzone do umysłu konkretne zadanie, ale nic poza tym. Zbyt wielkie jest ryzyko, że możemy coś popsuć...

Konduktor podwiązał dziewczynie pod brodą serwetkę, jakby zamierzał umyć jej włosy, zaczął wyczyńać jakieś sztuczki z jej cerą, potem wylał ciepłą ciecz na włosy. Palce konduktora były delikatne i długie – poruszały się szybko, jak zwinne jaszczurki.

– Ktoś włożył wiele wysiłku, by porwać z Wyspy Dzieci tę dziewczynę. Po co? Czego od niej chce? Obawiam się, że nie od razu się dowiesz.

– To ja powinnam się tego dowiedzieć?

– Oczywiście, powinnaś pomóc sprawiedliwości, praworządności, szlachetnej sprawie Centrum Galaktycznego i samej Ziemi.

– Tylko co się stanie, jeśli ja nie jestem zwyczajną ziemską dziewczuszką, co gorsza – może jestem wrogo nastawiona względem Ziemi? Przecież sam mnie pan przekonywał, że tak jest.

– Nadamy ci ziemskie obywatelstwo – oświadczył komisarz.

– Jeśli mi się na coś przyda...

– A czego w takim razie potrzebujesz?

– Zupełny drobiazg. Powinniście się dowiedzieć jak mam na imię, kim są moi rodzice i dlaczego znalazłam się na Wyspie Dzieci.

– Staramy się...

– Ni cholery się nie staracie! Zajmujecie się tym od niechcenia!

– Dobrze. Przysięgam, że osobiście zajmę się tą sprawą.

– Nie, komisarzu, to nie tak. Nie zajmie się pan, a rozwiąże. Proszę przysiąc.

– Jak?

– Klnę się na wszystkie gwiazdy Galaktyki i życie wszystkich, którzy są mi bliscy i drodzy...

– Klnę się na wszystkie gwiazdy Galaktyki i życie wszystkich, którzy są mi bliscy i drodzy...

– Że poznam prawdziwe imię i pochodzenie mojego agenta o imieniu Ko.

– Że poznam prawdziwe imię i pochodzenie mojego agenta o imieniu Ko. Teraz, skarbie, jesteś zadowolona?

– Gdzie jest lustro?

Konduktor podsunął jej lustro.

Z jego tafla patrzyła na nią Weronika.

– Niech to licho! – zdziwiła się dziewczyna. – Znacie się na swojej robocie.

– Jeśli będziesz pracowała dla mnie – powiedział komisarz – nauczymy cię nie takich rzeczy.

– Dziękuję, zastanowię się – odpowiedziała Ko. – Co mamy teraz w planie?

– Teraz się przebierzesz. Trzymaj – komisarz położył na ławce paczkę z ubraniem. – To jest twoje ubranie z sierocińca. Wszystko zostało przewidziane.

Póki Ko przebierała się, komisarz odwrócił się do okna i kontynuował:

– Konduktor wywoła Artema na korytarz. Jak tylko da mi sygnał, wyjdiesz na korytarz i wślizgniesz się do przedziału do Weroniki. Tam przekonasz ją, że Artem zginął i dokonasz zamiany...

Dalej działaj odpowiednio do sytuacji.

– A jeśli nie będzie się chciała zgodzić?

– Powinnaś ją przekonać.

Ko otworzyła usta, by przekomarzać się dalej, ale Milodar machnął ręką.

– Idź – polecił konduktorowi. – Odwracamy uwagę porywacza. Masz jakieś trzy minuty, żeby przekonać Weronikę. A dalej polecisz tam, dokąd zechce twój uwodziciel...

– To nie jest mój uwodziciel!

– Ale będzie.

– Jestem za młoda na uwodzenie!

– Kto to powiedział? – zdziwił się komisarz. – Najprzyjemniejsza rzecz na tym świecie dla kobiety, to rozkwitnąć u boku godnego mężczyzny.

– A tam jest ten godny mężczyzna?

– Nie bądź cyniczna – zawołał Milodar. – Nie mamy czasu na sprzeczki. Proszę, połknij to.

– Co to jest? – Ko przyjrzała się połyskującej metalicznie ampule.

– Detektor. Będziemy wiedzieli przez cały czas gdzie jesteś.

– I przyjdziecie mi z pomocą?

– Jeśli będzie taka możliwość. Ale łączność na pewno będzie działała. Możesz uważać, że jesteś pełnoprawnym agentem Interpolu, wykonującym swe pierwsze zadanie.

Ale Ko nie dawała się tak łatwo nabrać na piękne słówka.

– Ja tak będę uważała, ale czy pan naprawdę uważa mnie za agenta?

– A co nam pozostało? – odparł złym tonem komisarz. – Pamiętaj tylko, że będziemy cię rozliczali z akcji z całą surowością prawa.

– Proszę pamiętać, że jestem niepełnoletnia. Nie macie prawa składać mi niebezpiecznych propozycji.

– Zgodziłaś się na ochotnika! – oświadczył komisarz.

– Naprawdę?

Konduktor zajrzał do przedziału i szepnął, że wszystko jest gotowe.

– Siedź tu. Milcz. Nie oddychaj! – polecił Milodar.

– Pamiętaj pan o swojej przysiędze? – zapytała dziewczyna.

– Nigdy niczego nie zapomnę – zapewnił ją komisarz.

– I proszę nie zbywać mnie pustymi obietnicami. – Gwałtownym ruchem dziewczyna odrzuciła do tyłu kruczoczarne włosy.

Milodar uśmiechnął się. Dziewczyna podobała mu się coraz bardziej. Chyba jednak będzie z nim

pracowała. A skoro będzie pracowała, to jej pochodzenie rozgryzą kompetentni pracownicy zarządu kadrami – prawdziwe wilki, nie patałachy opiekujący się Wyspą Dzieci.

Drzwi na korytarz były lekko uchylone. Ko nadstawiła uszu. Na szczęście miała wspaniały słuch, nie gorszy od nagrywających urządzeń, włączonych przez Milodara.

Na korytarzu, z łącznika między wagonami, pojawili się trzej mężczyźni. Jeden po drugim minęli uchylone drzwi, Ko mogła im się przyjrzeć.

Na czele maszerował oficer w niebieskiej czapce z czerwonym otokiem, na kołnierzu błyszczały podłużne emaliowane romby, na rękawie miał wyhaftowany złoty owal, przesyty pionowo mieczem. W ślad za oficerem szli dwaj żołnierze w takich samych czapkach, ale w szynelach i z karabinami w ręku.

– Kontrola dokumentów! – głośno zawołał oficer.

– Kontrola dokumentów przeprowadzana przez organa NKWD.

Jeden z żołnierzy zajrzał do przedziału do Ko, Milodar machnął ręką – że niby – idź dalej.

Słychać było, jak patrol zatrzymuje się przy odpowiednim przedziale.

Oficer powiedział surowym tonem:

– Wasze dokumenty, obywatele!

– Jakie znowu dokumenty! – odpowiedział mu ochryply męski głos. Głos w niczym nie przypominał głosu wuefisty. W tym elemencie przebieranki porywacze nie trafili. Czyżby zaślepiona miłością Weronika nie zauważyła tego?

– Wasz pociąg aktualnie pokonuje strefę zamkniętą – oświadczył oficer. – Wczoraj udało nam się schwytać około trzydziestu fińskich i niemieckich szpiegów. Wszyscy zostali rozstrzelani. Mam nadzieję, że nie pójdziecie w ich ślady.

– Zwariowaliście zupełnie! – zakrzyknął wuefista.

– Spotkanie z pracownikami NKWD i kontrola dokumentów jest wliczona w koszt biletu – łagodnie wyjaśnił konduktor. – Skoro zdecydowaliście się spędzić swój miesiąc miodowy w warunkach rozwijającego się socjalizmu, to musicie pogodzić się z pewnymi utrudnieniami, jakie tworzone są w trakcie tej podróży, w celu osiągnięcia maksymalnej autentyczności wydarzeń. Muszę oficjalnie was powiadomić, że w czasie kontroli dokumentów, która zajmie tylko dziesięć minut, zaproponowany zostanie wam nieoczyszczony spirytus, kiszony ogórek i kawałek prawdziwego razowego komiśniaka. Koszt przesłuchania wliczony jest w koszt waszego skierowania. Tak więc – czym chata bogata!

– Mówi pan, że ta bzdura nie zajmie więcej niż dziesięć minut? – zapytał z niedowierzaniem młodzieniec.

– Wszystko zależy od pana. Może pan wrócić szybciej, albo być zatrzymany przez NKWD.

Oficer roześmiał się. Szeregowi również się roześmiali. Wuefista prychnął wymuszonym śmiechem. Czuło się, że wcale nie było mu do śmiechu.

– Zaraz wracam – powiedział zwracając się zapewne do Weroniki. Ko nie usłyszała jej odpowiedzi.

Po kilkunastu sekundach procesja z oficerem na czele wyszła z wagonu.

– Czas! – rzucił Milodar. – Zobaczymy się, jeśli wszystko pójdzie gładko, w Centrum Galaktycznym.

– Czy to znaczy, że pan uważa tę operację za niezmierną?

– A ty w to wątpiłaś? No, ruszaj już, dziecko.

Głos komisarza drgnął, jakby i on poczuł się niezręcznie posyłając na pewną śmierć taką młodziutką dziewczynę.

Milodar popchnął Ko do wyjścia. Czekał tam na nią konduktor.

Otworzył drzwi. Wepchnął Ko do środka i zatrzasnął je.

Ko stała na środku przedziału i patrzyła na Weronikę. Weronika nie zauważyła jej, siedząc na drewnianej ławce wpatrywała się w zakratowane okienko. Za oknem zaczynał się długi polarny wieczór. Zresztą, tu zaczynał się z samego rana.

– Weroniko – zawołał cicho Ko przyjaciółkę. – To ja, Ko.

Weronika poderwała się na równe nogi, uderzyła głową o górną półkę, ale nie zwróciła uwagi na ból. Rzuciła się na spotkanie Ko, dosłownie wpadła w jej objęcia z okrzykiem:

– Przyszłaś! Uratujesz mnie, prawda? Co za szczęście, co za szczęście...

– Jesteśmy z komisarzem w pociągu. Udało nam się was znaleźć.

– Ko, kochana, muszę ci powiedzieć straszną rzecz! – zawołała Weronika. – Ten Artem, to wcale nie jest Artem. To ktoś inny. To maskarada. Tak się bałam, że on mnie zabije, że oni zabili Artema... Tak się boję... Zabierz mnie stąd, proszę!

Ko nie mogła powstrzymać się od westchnienia ulgi. Jakież miała szczęście, jeśli można tu w ogóle mówić o szczęściu! Weronika sama domyśliła się podmiiany. Nie trzeba jej było przekonywać, namawiać, błagać.

– Jak się domyśliłaś?

– On jest okrutny, jest inny... Całkowicie mnie nie zna... jest straszny... Dokąd uciekniemy?

– Opowiedz mi wszystko dokładniej, muszę to wiedzieć.

– Nic nie musisz wiedzieć! – zawołała Weronika. – Musimy uciekać razem, zanim tu wróci.

– Ale dlaczego zgodziłaś się uciec z nim z wyspy?

– Ja się umówiłam z Artemem! I w nocy nie zauważyłam, że to ktoś inny. A potem już było za późno.

Ko chciała wszystko wyjaśnić Weronice, ale komisarz, który pewnie podsłuchiwał pod drzwiami, miał na ten temat inne zdanie.

Otworzył drzwi i powiedział:

– Ko, Weronika musi uciekać. Pamiętaj, że zostajesz zamiast niej.

– O nie! On pozna cię i zabije! – wystraszyła się Weronika. – Nie wolno zostawiać Ko w jego rękach. To maniak!

– Weroniko – powiedział Milodar stojąc w drzwiach i niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

– Popatrz na swoją przyjaciółkę uważnie. Nic cię w jej widoku nie zastanawia?

– Ko... Ko, co ci się stało? Dlaczego jesteś brunetką? Dlaczego masz szerokie nozdrza...

– Dlaczego masz, babciu, takie wielkie zęby? – przedrzeźniał ją Milodar. – Żeby cię zjeść, Czerwony Kapturku. Nuże, Weroniko, szybko przechodź do mojego przedziału. Pani Aaltonen nie może się ciebie doczekać.

– A Artem? Gdzie jest Artem?

– Chodźmy, wszystko ci opowiem.

– Ale Ko nie można tu zostawić! To bardzo niebezpieczne. Ja wyczuwam, jaki on jest niebezpieczny.

– To jest sprawa moja i Ko – urwał dyskusję komisarz.

Weronika wyciągnęła rękę po swą torebkę, zawsze łatwo godziła się z rzeczywistością, jeśli

tylko był ktoś, komu mogła się podporządkować.

– Zwariowałaś. Nic stąd nie zabierzesz. Czy może chcesz zdemaskować Ko? Przecież ten typ nie może dostrzec podmiiany – powiedział komisarz.

Dopiero wtedy Weronika tak do końca zrozumiała, że jej skromna przyjaciółka świadomie staje na ścieżce wojny galaktycznej.

Pocałowała Ko i rzuciła:

– Pilnuj mojej torebki. Nie zużywaj za dużo szminki...

Weronika była tak oszczędną dziewczyną. Nawet w takiej chwili myślała o szmince.

Ale nie zdążyła już nic więcej powiedzieć.

Komisarz pociągnął ją za rękę. Trzasnęły byle jak sklecone z desek drzwi.

Ko została sama w pustym zimnym przedziale.

Wszystko działo się tak szybko, że dziewczyna nawet nie zdążyła wystraszyć się czy zastanowić, po co jej ta cała afera?

Wzięła do ręki torebkę Weroniki... Otworzyła ją – przecież musi wiedzieć, co w niej jest. Żeby przynajmniej nie prosić towarzysza podróży o grzebień albo szczoteczkę do zębów, jeśli ma własną.

Torebka zawierała najzwyklejsze rzeczy, jakie powinny znajdować się w torebce sierotki z Wyspy Dzieci. Takie same, jakie miała Ko w swojej pozostawionej w sierocińcu torebce. W każdym razie nietrudno było udawać, że to jej rzeczy, nawet szczoteczka do zębów. I paczka perfumowanych chusteczek, tampony i notesik. A w nim liścik. „Czekam dziś jak się ściemni na starym miejscu. A.”. Pismo pochylone, mocna litera „a” wystawała ponad resztę.

W tym właśnie momencie fałszywy Artem wszedł do przedziału, nie patrząc na Weronikę ciężko zwałił się na ławkę i oparł się głową o ścianę.

– Diabli wiedzą, co to za świństwo, jakim człowieka częstują – powiedział z przymkniętymi oczami. Teraz widać było, że jest bardzo podobny do Artema, ale, oczywiście, Artemem nie był – nie trzeba było być Weroniką, żeby zauważyć różnice między tymi młodzieńcami. Ale ponieważ teraz Weronika nie była Weroniką, to powstał rzadki w miłości czworobok, w którym każdy kogoś tylko udawał. Romeo nie było Romeo, a Julia udawała tylko Julię. A jeśli ten Artem został wysłany tylko po to, by porwać Weronikę i uprowadzić ją gdzie diabeł mówi dobranoc, to znaczy, że może nie zauważyć różnicy między dziewczętami. No, ale jeśli zauważy, to będzie znaczyło, że zabójca został nieźle wyszkolony.

– Gdzie byłeś? – zapytała Ko, wyobrażając sobie, jak Milodar słucha w pierwszym przedziale, jak zapisywane jest każde słowo, każdy oddech Ko i pseudo Artema; potem poddadzą je analizie komputery Interpolu.

– To zabawa dla idiotów – powiedział wuefista nie otwierając oczu. – Zaciągnęli mnie do sąsiedniego, całkowicie pustego wagonu, drewnianego, ze słomą na podłodze i beczką na środku... Na wieku beczki stoi flacha, obok kiszono... jak im tam – ogórki. I szklanki dla wszystkich. Powiedzieli, że przesłuchanie zostanie zastąpione torturami... O tak, to była straszliwa tortura!

– Dlaczego nie odmówiłeś im? – Ko ciekawa była jak potoczy się rozmowa, czy aby jej towarzysz nie wykryje podmiiany.

– Nie wiedziałem – czy to taka scena dla turystów, czy prawdziwa kontrola dokumentów.

– Czyżbyś miał dokumenty? – zapytała Ko. Dokumentów na Ziemi nikt nie potrzebował: centralny komputer znał na pamięć wygląd pięciu miliardów jej mieszkańców i wystarczyło przyłożyć palec do bransolety, noszonej przez każdego policjanta, by podejrzany osobnik stawał się osobą ponad

podejrzeniami albo przeciwnie – był zapraszany na posterunek.

– Bywałem na odległych globach – powiedział młodzieniec. – Tam są potrzebne dokumenty. Więc wyrobiłem je dla siebie.

Kłamca, pomyślała Ko. Nawet nie nauczono go dobrze języka – kto teraz tak mówi: „wyrobić dokumenty”? Ko przyglądała się swojemu rozmówcy, już nie drząc tak przed nim, jak jeszcze chwilę temu, kiedy tylko wszedł do przedziału. Czy to dlatego, że nic nie zauważył, czy dlatego, że była na Ziemi, na półwyspie Kola – jesienny arktyczny pejzaż mętnie i niespiesznie przemykał za przybrudzonym okienkiem, spokojnie stukały koła, a z czarnego kolistego głośnika pod sufitem wylewały się takty nieznanej, rażnej pieśni. Akurat w tej chwili głośnik wyrzucał z siebie: „Nie ma przeszkód ni na morzu, ni na lądzie, nam niestraszne są kolczastych drzew zasieki, sztandar kraju ojczystego, płomień duszy naszej własnej, przeniesiemy poprzez światy i przez wieki!”

Artem (nie będziemy przecież przez cały czas nazywać go pseudo-Artemem albo quasi-Artemem) też usłyszał tę dziarską piosenkę i skomentował ją burkliwie:

– Planeta neurasteników. Jak ty możesz tu żyć?

– Nie wiem, gdzie powinnam żyć – odparła Ko. – Najprawdopodobniej moja planeta jest lepsza od tej.

– Chciałabyś odszukać swój prawdziwy dom?

– Kto by nie chciał?

– No to mam dla ciebie propozycję – powiedział Artem. Policzki zaróżowiły mu się, język plątał się nieco, ale spojrzenie wbite w twarz Ko, było trzeźwe i zimne. – Jak się zapatrujesz na to, moja droga, by jak najszybciej opuścić tę planetę?

– Czy to jest w ogóle możliwe? – zdziwiła się Ko.

– To ciebie nie powinno obchodzić. Obiecywałem, że ukryję cię przed pościgiem, obiecałem, że będę cię kochał i pieścił, obiecuję ci, że odwiozę cię do domu, do rozpaczającej rodziny, do twego rodzinnego zamku, do niewolników i sług...

– Artem, co ty pleciesz? Jacy niewolnicy, jacy słudzy?

– Ja nigdy nie rzucam swych słów na przeciąg. – Artemowi zdarzały się błędy w idiomach. Widocznie uczono go języka w pośpiechu. – Jeśli dysponuję jakimiś danymi, to się nimi dzielę.

– To dlaczego wcześniej milczałeś?

– Wcześniej nie było mi wolno. Wcześniej mogłaś się zdradzić.

– A teraz?

– Teraz już nie są w stanie nas dogonić.

– Dlaczego?

– Tu nawet ściany mają uszy. Nie wiemy, ilu tu jest przebranych agentów tylko dla turystów, a ilu prawdziwych. Ale jeśli wierzysz w moją miłość, kruszyno, to musisz mnie słuchać. Inaczej sama zginiesz i mnie pociągniesz. Kochasz mnie?

– Oczywiście...

– Nie słyszę pewności w twoim głosie. Jesteś zupełnie inna, niż ta na wyspie. Nawet przez te ostatnie minuty jakoś się zmieniłaś – co cię niepokoi? Straciłaś wiarę we mnie?

Położył ciężką, ciepłą dłoń na kolanie Ko. Ta drgnęła i zwinęła się w kłębek, ale tylko w duchu – na zewnątrz niczym nie okazała lęku.

– Bądź gotowa na to, że wkrótce opuścimy ten pociąg – powiedział mężczyzna.

Jego dłoń spokojnie, władczo przesunęła się po biodrze Ko, ta nie wytrzymała, zerwała się na

równe nogi i – uderzywszy głową o spód górnej półki – jęknęła głośno.

– Co się stało? Nie kochasz mnie już? – rozżłościł się Artem.

– Boli! – odpowiedziała Ko. – Stuknęłam się. Strasznie boli... Lepiej byś mnie pożałował...

– Z przyjemnością – zgodził się młodzian, a Ko natychmiast pożałowała swych słów: młodzieniec rzucił się i pochwycił ją w mocne objęcia.

– Och, nie tak, to boli! – zawołała spanikowana już nieco Ko, jej niechętnie uczucia do młodzieńca potęgował bijący od niego zapach czosnku.

Ale Artema nie powstrzymały jej słowa, namiętnie całował jej policzki, skronie, dobierał się do warg; Ko w rozpaczy kręciła głową, unikając pocałunków. Zrozumiała już, że nie ma szans na powstrzymanie kochanka i przygotowała się do ukąszenia go, ale w tym momencie pociąg zaczął gwałtownie hamować. Tak gwałtownie, że Artem z Ko upadli na ławkę, ale dziewczynie udało się przy tym oderwać od młodzieńca i odskoczyć pod drzwi.

Teraz przyszła kolej Artema – zaczął jęczeć i pocierać tył głowy, kłął przez zaciśnięte wargi. Z głośnika przestała płynąć dziarska pieśń, najpierw coś w nim zasyczało, potem beznamiętny głos poinformował:

– Szanowni towarzysze pasażerowie i turyści. Nasz pociąg przejechał uciekinierów z obozu. No i dobrze. Przepraszamy za chwilowe niedogodności. Za dwadzieścia minut zatrzymujemy się w Kirowsku, gdzie na stacji znajduje się stołówka. Tam zostaniecie poczęstowani kalorycznym obozowym pożywieniem. Na pierwsze danie mamy zupę krem z ogonów północnych jeleni, na drugie – łosoś zapieczony w cieście z otrębów. Dziękujemy za uwagę.

Teraz Ko tak się ustawiła przy drzwiach, że Artem musiał porzucić nadzieję na przytulenie jej do swej szerokiej piersi.

– Zacząłeś mówić o tym, co będziemy robili potem – głośno powiedziała Ko, starając się, by Milodar dobrze usłyszał ich rozmowę.

– Nie krzycz tak! – syknął wuefista. – Cały wagon cię usłyszy. Te ścianki są z dykty.

– To wagon sypialny. Tu ze wszystkiego robią rozrywkę. Cały świat to jedno wielkie wesołe miasteczko. Obozy w tundrze – rozrywka dla turystów, obóz koncentracyjny Oświęcim – przygoda dla podróżnych z Aldebarana. Gdyby to ode mnie zależało, zakazałabym takiego cynizmu.

– Ho-ho, jakaś ty bystra – powiedział wuefista. – Ja o tym nie pomyślałem.

– Bo ty w ogóle rzadko myślisz, mój luby – odważyła się powiedzieć Ko.

– Poczekaj, wyjdiesz za mnie za męża, to inaczej zaśpiewasz.

– A dlaczego mam wyjść za ciebie?

– Bo mnie kochasz, sama tak mówiłaś!

– Ach, to ja się zagalopowałam... randka... las...

– Jak chcesz mogę ci pokazać twoje liściki?

– Nie trzeba – powstrzymała go Ko. – Pamiętam wszystkie swoje listy. Mam znakomite poczucie humoru.

W tym momencie Ko całą skórą poczuła gniew i oburzenie komisarza Milodara. Jej sprzeczką z Artemem mogła spowodować zawalenie całej operacji! Młodzian patrzył na nią z otwartymi ustami.

– Jesteś jakaś inna – powiedział w końcu. – Nie poznaję cię! Może ci dranie cię zamienili?

– Głupi żart – odpowiedziała Ko. – Nie sądziłam, że usłyszę od ciebie takie brutalne słowa.

– Brutalne? Moje słowa? Wyjaśnij, jak mam to rozumieć?

– Nie muszę niczego wyjaśniać – powiedziała Ko. – Nie lubię, kiedy ktoś wyznaje mi miłość,

nawet porywa mnie z domu dziecka, a potem zaczyna zachowywać się prostacko. Nie zapomnij, że jestem jeszcze niepełnoletnia, jestem dzieckiem. Jeśli zacznę krzyczeć, to zostaniesz natychmiast aresztowany.

– Mnie nikt nie zaaresztuje, jestem teraz wielkim przyjacielem i koleśkiem od flachy majora NKWD Pietkina – odparł Artem.

– Ach, jakież ty jesteś nudny – westchnęła Ko. – Nie wiem, po co zgodziłam się uciec z tobą?
– Dlatego, że lubisz się ze mną całować – z przekonaniem powiedział Artem – i chcesz jak najszybciej wyjść za mnie.

– No dobrze, zgoda – powiedziała Ko, nie chcąc zaognić sytuacji. – Ale dokąd mnie wiesziesz?
– W pewne miejsce, daleko stąd. Tam nas oczekują. I ucieszą się na nasz widok.
– A jak tam dotrzemy?
– Poczekaj trochę, moja kochana narzeczono – powiedział Artem.

Ko stała plecami do drzwi. Słyszała, jak ktoś przeszedł korytarzem, zagłuszając pijackimi krzykami turkot kół i skrzypienie wagonu.

– W tym pociągu – oświadczył wuefista – jest wagon, który się tak nawet nazywa: „wagon-bar”. Wyobrażasz sobie co za połączenie? Zupełnie jakby połączyć słowa kibel-oranżeria czy blaster-aromatyzera.

Wuefista zerknął na górną półkę i sięgnął po niewielki przyrząd. Włączył go i przejechał bijącym zeń błękitnym promieniem po suficie przedziału. W suficie powstała okrągła cienka szczelina.

– Co robisz? – zapytała Ko, żeby zwrócić na jego działanie uwagę komisarza.
– Ciszej!
– Wyjdziemy przez otwór na dach?

Wuefista trącił nogą Ko tak, że dziewczyna ciężko opadła na ławkę.
– No, tego to ci nigdy nie wybaczę! – zawołała oburzona.
– Okupię swą winę pocałunkami – odezwał się wuefista.
Podłożył rękę i wypiłowany okrąg opadł mu na dłoń. Wuefista szepnął do Ko:

– Pomóż mi, nie stój jak głupia!
Ko przytrzymała okrąg, żeby ten nie huknął o podłogę.
Okrąg wycięty z dachu wagonu był ciężki i jeszcze gorący na krawędziach.

Wpadł jej z rąk – zresztą dziewczyna wcale nie starała się go utrzymać – i z głuchym hukiem uderzył o podłogę.

– Idiotka! – rzucił zdenerwowany Artem. – I to ma być moja narzeczona, zesłana przez niebiosy?
– Nie wiem, przez kogo jestem zesłana, ale obawiam się, że doszło do pomyłki co do adresata.
Nie jesteś moim bohaterem i nie z mojego romansu.

– Czy to cytat z utworu literackiego?
– To życie. Surowa prawda życia.
– Już za późno, żebyś przestała mnie kochać.
– Nigdy nie jest za późno, żeby przestać kochać. Szczególnie, kiedy kochany człowiek okazuje się być kimś innym.
– Co chcesz przez to powiedzieć?
– Myśl sobie co chcesz – powiedziała Ko.
– Rezygnujesz z ucieczki ze mną?
– Po prostu się boję. Wyjdziemy na dach, a tam nas postrzelą ochroniarze z NKWD.

– Tym ja się zajmę – powiedział Artem. – Operacja zacznie się za trzy minuty. Nie ma takiej siły na Ziemi, która mogłaby nas powstrzymać.

Mylisz się, gołąbeczku, pomyślała Ko. Problem polega tylko na tym, czy owa siła zechce cię powstrzymać. Dobrze by było, żeby zechciała!

I nagle Ko poczuła, że wcale nie ma pewności, czy tak naprawdę pragnie szybkiego zakończenia tej przygody.

Jak na razie w jej nudnym i spokojnym sierocym życiu nic takiego naprawdę ekscytującego się nie wydarzyło. Jeśli ta przygoda nie wniesie do tego żywota jakichś istotnych zmian, to dalej tak będzie trwało... I wcale nie wiadomo, czy Ko wybierze drogę zaproponowaną przez komisarza Milodara. Oczywiście, Artem jako narzeczony wcale jej nie urządzał, ale miała nadzieję, że sportowiec pomoże jej wyrwać się na wolność, daleko od komisarza i domu dziecka. Gdyby ją ktoś zapytał, nie potrafiłaby szczerze odpowiedzieć, czy pragnie pomścić śmierć prawdziwego Artema, w którym sama była lekko zakochana, możliwe zresztą, że tylko z powodu zakochania jej najlepszej przyjaciółki, czy może wolałaby zostać na innym globie i zacząć szukać swoich korzeni, swojej rodziny, ojczyzny i szczęścia!

Tak więc okrągły otwór w dachu był dla niej prawdziwym wyjściem. I zamierzała iść śladem bliźniaka zabitego sportowca, nawet wiedząc, jakim jest draniem.

Ale gdy wyjdą na dach zostaną zauważeni...

– Zaufaj mi – szepnął na ucho wuefista. – Mam potężnych i wpływowych przyjaciół. Nie pozwolą nas skrzywdzić.

W tym momencie w przedziale zrobiło się znacznie ciemniej – gęsty dym zasnuł okna.

– Teraz! – zawołał wuefista. Podskoczył i podciągnął się zręcznie, wyszedł na dach – stamtąd do wnętrza wagonu wlewała się fala duszącego dymu.

Ko zobaczyła dłoń mężczyzny – wyciągnął ją w dół, by pomóc dziewczynie w wyjściu na dach.

Mocno chwyciła się jego dłoni. Wuefista krzyknął:

– Trzymaj się!

I szarpnął ją do góry tak, jak akrobata wyciąga swoją partnerkę do stania na jednej ręce.

Ko nawet nie zorientowała się, kiedy przeleciała przez otwór w dachu i znalazła się obok wuefisty na wagonie.

Rozkaszała się. Pociąg pędził, turkocząc i hamując, przez nieprzenikniony obłok dymu.

– Czy to pożar lasu? – zapytała Ko.

– Milcz.

Nagle między nimi pojawił się koniec sznurowej drabinki, kiwający się, podskakujący, zapraszający do skorzystania ze szczebelków.

– Wchodź pierwsza! – polecił młodzieniec. – Przytrzymam koniec drabinki.

Ko usłuchała go.

Mimo że pociąg kiwał się w ruchu, rozpaczliwie bucząc i gwiżdżąc, jakby bał się, że zbłądzi, wuefista tak umiejętnie i mocno trzymał drabinkę sznurową, że Ko mogła szybko wspiąć się w zasłone dymną licząc po drodze szczeble – dziesięć, dwanaście... trzynaście... Na piętnastym szczeblu ktoś chwycił ją za nadgarstki i podciągnął do góry. Ko nie stawiała oporu – rozumiała, że jeśli w tej chwili wyrwie się, to będzie to jej ostatni życiowy sukces.

Raz i dwa!, i Ko znalazła się we wnętrzu śmigłowca, w którym także było pełno dymu.

Widziała zarysy ludzkich sylwetek, które pochylały się nad okrągłym otworem luku, podciągając

drabinkę sznurową. Mimo hałasu silnika Ko usłyszała dochodzące z dołu jakieś krzyki i nawet odgłosy wystrzałów. Ale w tym momencie śmigłowiec gwałtownie poderwał się do góry.

Ludzie z załogi pomogli wdrapać się do wnętrza wuefiście.

Luk zamknął się.

Artem rozglądał się w poszukiwaniu Ko, a widząc ją całą i zdrową odetchnął z ulgą.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Dziękuję. Gdzie jesteśmy?

Ko już zdołała zobaczyć, że pozostali pasażerowie śmigłowca mają na sobie pomarańczowe kombinezony.

– Znajdujemy się w gościnie u wspaniałych leśnych strażaków – odpowiedział Artem. –

Zobaczyli leśny pożar i pomogli nam ująć z niego z życiem.

– Sprytnie wymyślane – przyznała. Ko. – Ale niedługo ścigający zorientują się jak to się stało i schwytają nas.

– Zobaczymy – rzucił hardo jeden z ludzi w pomarańczowym kombinezonie. – W końcu jesteśmy prawdziwymi strażakami!

10

Wyłoniwszy się z kłębow dymu, zasnuwających niezbyt wysoki las w szerokiej rozpadlinie między górami i – przy okazji – tory kolejowe oraz sam pociąg, strażacki śmigłowiec wziął kurs na bazę. Ko zobaczyła, że jeden ze strażaków pochylił się nad ekranem łączności.

– Osiemnasty na łączu – powiedział z pewnością w głosie, absolutnie przekonany o tym, że zostanie wzięty za swojego, za jednego z prawdziwych strażaków. – Za trzy minuty wylądujemy w punkcie trzy w celu pobrania piany.

– Potrzebujesz pomocy? – dał się słyszeć głos. Na ekranie pojawiła się twarz niemłodej kobiety w granatowym mundurze strażackim z czerwonymi akselbantami na ramionach. – Uruchomię szóstą i siedemnastą brygadę.

– Został tam trzeci – zakomunikował siedzący przy pulpicie strażak. – Musimy zrobić jeszcze jeden kurs.

– Świetnie. Potem zejdzicie niżej i oszacujecie straty. Wylecę do was za jakieś trzydzieści minut – powiedziała kobieta w mundurze – gdy tylko zakończymy naradę dotyczącą przygotowania oddziału do zimy. Na razie.

– Na razie, Darjo Pietrowno – odpowiedział dowódca śmigłowca.

Odwrócił się wraz z fotelem pilota.

– Na razie się udało – rzucił. – Opowiadajcie, co u was?

– Panie mój – odezwał się wuefista, pochyliwszy w ukłonie głowę przed dowódcą strażaków. – Proszę pozwolić mi przedstawić moją kochającą narzeczoną o imieniu Weronika. Do końca swoich dni będę wdzięczny za to, że otrzymałem pomoc i wsparcie w ucieczce z tego strasznego przytułku.

– Moje poczucie obowiązku i honoru – odpowiedział strażak – każe mi zawsze przychodzić z pomocą zakochanym. Jak również nieszczęśliwym, głodnym i skrzywdzonym, gdziekolwiek się znajdują.

– Podziękuj kapitanowi Brassowi – zwrócił się Artem do Ko – temu szlachetnemu człowiekowi.

– I prawdziwemu awanturnikowi, w najlepszym tego słowa znaczeniu – odezwał się kapitan Brass. – W duchu Robin Hooda i Quentina Dorwarda. Słyszeliście o Robin Hoodzie?

– Kapitan Brass jest anglofilem – poinformował Ko Artem.

– Walczyć i szukać, znajdować i nie poddawać się – potwierdził swoją anglofilie kapitan Brass w kiepskim angielskim, słowami kapitana Scotta. – Dokąd teraz, zakochani? – zapytał po chwili.

– Możliwie daleko stąd – odpowiedział z uśmiechem Artem obejmując za ramiona Ko.

Ta odruchowo odsunęła się.

– Twój kwiatek jest mocno zawstydzony – powiedział do Artema kapitan Brass ze złym uśmiechem na obliczu.

– Precz z oczami, kapitanie! – polecił Artem. W jego głosie zadźwięczała stal.

– Świetnie! – raźnie odezwał się kapitan. – Kontynuujemy przemieszczanie.

– Najważniejsza sprawa, to strząsnąć z naszego tropu komisarza Milodara. Nienawidzę go. Popsuł nam już kilka operacji – odezwał się Artem.

Ko drgnęła. Okazało się, że porywacze wiedzieli, kto siedzi im na ogonie. Może już nawet domyślili się, że Ko jest tylko wabikiem? I teraz czekają tylko na sprzyjającą chwilę, by się z nią rozprawić?

– Sądzę, że już stracili trop – powiedział kapitan Brass. – Moja naczelna zasada brzmi: jak najmniej ukrywania i przyczajania. Lepiej jest ukryć się na widoku jako zwyczajny strażak. Teraz staniemy się zwykłym rybackim kutrem. Jak listonosza mordercę w klasycznej angielskiej powieści, wszyscy powinni widzieć, ale nikt nie powinien zauważać.

– Proszę działać, kapitanie – powiedział Artem.

Usiadł na twardym siedzisku wystającym ze ściany flyera, między zwiniętymi w koła odcinkami strażackich węży.

– Świetni faceci – powiedział. – Nie wyobrażam sobie, co byśmy bez nich poczęli.

– Pewnie znalazłbyś innych, świetnych facetów – odpowiedziała Ko.

– Czy to może ironia? Nie lubię ironii. Nie mam poczucia humoru.

– To nie ironia, a wiara w ciebie, mój kochany – powiedziała Ko. – A gdzie są prawdziwi strażacy?

– To zbyt dobre pytanie. Jeśli zadasz je kapitanowi Brassowi, to na pewno nie będzie mógł albo nie będzie chciał ci odpowiedzieć.

– Bzdura! – Okazało się, że kapitan śledził ich rozmowę. – Nie jestem sadystą ani zabójcą. Przepracowałem dwa miesiące w ochotniczej leśnej straży pożarnej. Cała moja brygada ze mną. Muszę ci powiedzieć, że jesteśmy najlepszą brygadą strażacką na całym półwyspie kolskim. Kto nie wierzy, może się połączyć z Murmańskim.

– Wierzę – krzywo uśmiechnął się Artem. – Chociaż prościej by było po prostu zlikwidować jakąś brygadę, i po kłopotcie. Śmigłowiec był wam potrzebny tylko na godzinę.

– Nie lubię zawałać operacji tylko z powodu pośpiechu i lenistwa, które nie pozwalają zaplanować najlepszej drogi, a najlepsza droga, mój przyjacielu, nie zawsze jest najkrótsza. A na pewno nie jest najbardziej krwawą. Ale jesteś jeszcze młody...

– Nie tak młody, jak się wydaje – odparł Artem, i Ko uwierzyła mu. Ten człowiek nosił tylko maskę zabitego, a jakie oblicze ukrywało się pod nią – diabli raczą wiedzieć.

Nie przerywając rozmowy kapitan Brass rozpedził śmigłowiec skierowawszy go między dwie góry, widocznie mając nadzieję, że konfiguracja terenu pozwoli zmylić tropiące urządzenia komisarza Milodara. Przed nimi niczym szary koc rozciągnęło się morze.

– Morze Białe? – zapytała Ko.

– Nie. Morze Barentsa – skorygował ją kapitan Brass.

Śmigłowiec kierowany pewną dłonią frunął nad samymi falami, niskimi i szerokimi. Przed nimi pokazał się kuter rybacki.

Można było nawet dojrzeć nazwę na burcie: „Amur”.

Ko nie wiedziała, czy nazwa ma jej się kojarzyć z miłością, czy rzeką na Dalekim Wschodzie, nie było kogo zapytać – pokład kutra był pusty.

Drabinka sznurowa rozwinęła się i uderzyła o rufę stateczku.

– Szybko! – rozkazał kapitan Brass. – Teraz łatwo jest nas namierzyć.

Strażacy ruszyli jeden po drugim – Ko naliczyła ich pięciu – nie korzystali z drabinki. Po prostu zręcznie skakali na pokład z pięciometrowej wysokości. Ostatni w luku śmigłowca pojawił się kapitan Brass.

– Zróbcie miejsce! – krzyknął i skoczył między swoich towarzyszy. Strażacki śmigłowiec odleciał w bok, pochylając się i tracąc wysokość. Jeszcze kilka sekund i wyrznął w fale, wzbijając w niebo wysoki gejzer bryzg.

– Do licha! – zawołał kapitan Brass. – Szybko, póki jeszcze katastrofa nie została zauważona!

I pierwszy pobiegł do sterówki.

Artem popchnął Ko.

Dziewczyna odwróciła się i zrozumiała, skąd się brał ten pośpiech: na tle ołowianych obłoków pojawił się czarny punkcik. W kierunku kutra zmierzał flyer.

Zabrzmiały obcasy podkutych butów – jeden po drugim strażacy zbiegali po drabince do maszynowni staromodnego kutra.

– Czyżbyś sądził, że oni nas nie znajdują? Prawie na pewno widzieli jak śmigłowiec spadał do wody – powiedziała Ko.

– Wszystko jest przemyślane, miss – odezwał się kapitan Brass. – Oni zaraz rzucają się do wyciągania z wody strażackiego śmigłowca i do ratowania strażaków.

– I nikogo tam nie znajdują.

– Oto jeszcze jedna zagadka historii.

Fałszywi strażacy zarechotali.

Mechanik kutra powitał ich w ładowni stateczku, przed otwartym stalowym lukiem.

– Wszystko w porządku? – zapytał kapitan Brass.

– Tak jest.

– Zostaniesz na pokładzie, jak było umówione. Dasz się uratować i opowiesz jak wasz kuter utonął z niewiadomego powodu.

– Rozkaz – powiedział mężczyzna z maszynowni. Był bardzo blady i wychudzony. Jego palce drżały, niemal niezauważalnie, ale drżały.

– Przestań się trząść! – huknął na niego Brass. – Nie mogę zastąpić cię swoim człowiekiem – ty masz prawdziwe dokumenty. W końcu przeżyłeś w Murmańsku dwadzieścia lat.

– Rozkaz – powtórzył przygnębionym tonem mężczyzna.

– Ja bym go utopił – wtrącił się nagle Artem, nie zwracając uwagi na obecność mechanika. – Gdy tylko komisarz Milodar go przyciśnie – pęknie.

– A my już będziemy wtedy daleko – odpowiedział na to ludzki kapitan Brass. – Otwierajcie luk!

Przy pomocy strażaków chudy mężczyzna otworzył pokrywę – za nią panował mrok.

– Ciszej – polecił kapitan Brass.

Wszyscy zamilkli. Dało się słyszeć, jak na pokładzie kutra ląduje flyer. Jeszcze chwila i rozległ się odgłos uderzających o pokład butów.

– Naprzód! – powiedział Brass. – A ty, mechaniku, otwieraj zawory.

Ten posłusznie skoczył do tyłu.

Ko szła w środku szyku – za nią Artem, popychał ją w plecy.

Ko usłyszała jak zaszumiała, zaburczała woda wpadając do ładowni.

– Nie utonie? – zapytała.

– Powinien się uratować. – W głosie Artema rozbrzmiał bezlitosny uśmiech. Nie żałował swego

wspólnika. Nikogo nie żałował.

Kiedy ostatni z nich, kapitan Brass, minął luk, natychmiast zamknął go i przy pomocy jednego ze swych ludzi błyskawicznie zaryglował.

– Łódź gotowa do zanurzenia! – Nad głowami rozległ się nieznajomy głos.

Brass chwycił wiszący na ścianie mikrofon.

– Zanurzenie! Im szybciej odpłyniemy od tego kutra, tym więcej szans, że nas nie zlokalizują.

Łódź podwodna, przycumowana, jak się okazało, do kutra, bezszelestnie opadła na dno. Ko wyobraziła sobie jak mechanik usiłuje wydostać się z kipieli w ładowni kutra.

– Dziewczyno – odezwał się kapitan Brass – proszę za mną.

Jej oczy jeszcze nie przywykły do mroku – Ko ruszyła kierując się głosem kapitana, trzymając się ściany. Ściana wibrowała – wyczuwało się pracę silników. Widocznie łódź została zdobyta w jakimś muzeum.

Ko weszła do małej mesy łodzi – znajdowała się tam kanapa, stół, na ścianie wisiała reprodukcja obrazu „Iwan Groźny zabija swojego syna” pędzla Riepina.

– Proszę usiąść i poczekać, aż wszystko się szczęśliwie skończy, miss – uprzejmie zaproponował Brass.

A ponieważ Ko nagle poczuła, że jest śmiertelnie zmęczona, z wdzięcznością usłuchała polecenia kapitana. Łódź podwodna pomrukując silnikami pędziła w zanurzeniu, pewnie w kierunku Spitzbergenu. Było w niej ciepło i dominował zapach żelaza oraz oleju silnikowego.

Podkurczywszy nogi Ko ułożyła się na kanapie.

I natychmiast zasnęła.

We śnie Ko zobaczyła własny ślub. Ona sama ubrana była w białą suknię, narzeczoną siedział obok niej, a Ko wiedziała, że to narzeczoną, chociaż nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Nie tyle denerwował ją ten akurat fakt, co inna rzecz – suknia była niezbyt dobrze uszyta i miała za chwilę strzelić na szwie, a wtedy wszyscy by zobaczyli jej krzywe i owłosione nogi, których wcześniej nie miała. Oznaczało to, że podsunięto jej obce ciało, na dodatek nieładne.

Duchowny, przed którym się zatrzymała był ubrany w białe szaty, zza pleców wysuwały się wielkie czarno-białe skrzydła, podobne do sroczych. Zapytał Ko, czy zgadza się wyjść za mąż za tego potwora; Ko zerknęła na narzeczonego – i rzeczywiście zobaczyła potwora.

– Nie – powiedziała.

– A on się zgadza – powiedział duchowny i zamachał skrzydłami, wzbijając straszny wiatr.

– Zgadzą, się! – ryknął potwór.

– A czy wiesz, co on z tobą zrobi, jak tylko będziecie sami? – zapytał kapłan.

– Nie, nie wiem – odrzekła Ko. – Chorowałam na świnkę, kiedy to przerabialiśmy.

– On cię zje! – oświadczył duchowny i zarechotał.

W tym momencie potwór chwycił Ko w objęcia i zaczął ją zgniatać.

Ko sprzeciwiała się i krzyczała.

Z krzykiem na ustach obudziła się. Znajdowała się już nie na pokładzie łodzi podwodnej, a w kajucie statku kosmicznego. Nikt jej nie powiedział, że tak jest, widocznie w bardzo wczesnym dzieciństwie musiała przebywać na pokładzie takiego statku.

Przez pewien czas Ko leżała sobie z zamkniętymi oczami. Jeśli ktoś ją śledzi, niech sądzi, że jeszcze śpi.

Statek kosmiczny. To znaczy, że zdołali uciec z Ziemi. Może nawet udało im się zrobić to tak zręcznie, że komisarz nie zdążył wysłać za nimi pościgu, albo namierzyć statku?

Przecież okazało się, że porywacze wiedzą o jego istnieniu. I nawet, ukrywając się przed nim na Ziemi, pokpiwali sobie ze zdolności Milodara.

Powinna dać o sobie znać – ale jak? Przecież istnieje rzeczywiste niebezpieczeństwo, że jeśli Ko nie uwolni się z tej pułapki, to naprawdę może zostać narzeczoną, a nawet i żoną podrobionego wuefisty. Na dodatek nadal nie mając pojęcia, po co porywacze zdecydowali się na zabójstwo prawdziwego Artema.

Spod sufitu rozległ się delikatny i trochę przypochebny głos:

– Droga Weroniko. Mam nadzieję, że odpoczęłaś po tych wszystkich ziemskich przygodach. Twoja sukienka i obuwie, jak również przedmioty do upiększania znajdują się w ściennej szafie, w szkatułce pod lustrem. Oczekujemy cię na śniadaniu za pół godziny. Prysznic znajduje się za lustrem. Aby przesunęło się w bok musisz nacisnąć zielony przycisk, umieszczony w ramie.

Ko otworzyła oczy.

Kajuta, w której leżała na najprawdziwszym łóżku ze złotymi kulami na słupkach od strony głowy i nóg, pod różowym baldachimem, była wspaniała – takich nie ma na statkach.

Ko usiadła na łóżku, opuściła stopy na podłogę. Utonęły w puchatym dywanie.

„Kto mnie rozebrał?”

Ko zarumieniła się speszona.

Łazienka rzeczywiście znajdowała się za ogromnym, wysokości człowieka, zwierciadłem. Wyłożono ją turkusowymi kafelkami. Przez drzwi w łazience wchodziło się do sali, mieszczącej okrągły basen, wypełniony błękitną mocno aromatyzowaną wodą.

Ko nabrała takiej ochoty na zanurzenie się w niej, że zapomniała o swej nagości i o tym, że ktoś może ją obserwować. Woda rozstała się przed nią, rozpięzły się błękitne i brylantowe krople. Woda pachniała morzem, słońcem, jakby Ko znalazła się nie w trzewiach statku kosmicznego, a na brzegu Oceanu Indyjskiego. Przewróciła się na plecy – sufit udawał błękitne niebo, po którym niespiesznie pełzły kłębiaste chmury. Słońce świeciło tak jasno, że Ko musiała zmrużyć oczy.

– Witaj o poranku, moja piękna! – rozległ się znany już głos fałszywego Artema.

Stał na brzegu basenu, a białe kąpielówki tylko podkreślały harmonię jego silnej postaci, opalonej tak, jakby nigdy nie opuszczał plaży.

– Kiedy zdążyłeś tak się opalić? – zawołała Ko. – Na jeziorze Ładożskim nie da się tak opalić.

– Widywałaś mnie tylko w ubraniu – odpowiedział jej narzeczony. – Albo w nocy...

Roześmiał się zadowolony z siebie i skoczył do basenu. Przez kryształową błękitną wodę widać było, jak mknie ku niej. Ko opamiętała się, zamachała rękami, by usunąć się z jego trasy. Dziwne, pomyślała zdążając ku krawędzi basenu ponieważ kąpiel straciła cały swój urok, przecież gdyby to był prawdziwy Artem, to raczej nie udałoby jej się odgrywać roli zimnej agentki, wprowadzonej do wraźego obozu – chciałyby żeby ją dogonił. A teraz – oto jest, taki sam, może nieco wyższy, nieco szerszy w ramionach, silniejszy i przystojniejszy – doskonała ludzka istota, idealny narzeczony... dla kogo? Ko nie mogła pokonać drżenia, jakie budził w niej na zawsze zapamiętany widok – ciało prawdziwego Artema pod wywróconą łodzią.

Kiedy wuefista wynurzył się na środku basenu, prychając i mrugając, Ko dopłynęła już do brzegu.

– Dlaczego nie poczekałaś na mnie? – zapytał narzeczony z lekkim wyrzutem w głosie.

– Trochę się ciebie boję – powiedziała Ko. – Jesteś za bardzo namolny.

– A czy to źle? Przecież zgodziłem się z tobą ożenić.

– No to poczekaj, aż skończę osiemnaście lat.

– Naprawdę chcesz tego? Wcześniej mówiłaś co innego.

– A ty to pamiętasz?

Ko podciągnęła się i wyskoczyła z basenu. Siedziała na brzegu i machała nogami w wodzie. Szkoda jej było stąd odchodzić. Na dodatek nadeszła, jak się jej wydawało, odpowiednia chwila, by dowiedzieć się więcej o tym, co się dokoła niej dzieje.

– Dlaczego miałbym zapomnieć nasze namiętne spotkania? – zdziwił się Artem.

– A co pamiętasz?

– Wszystko.

– A konkretnie?

– Zdziwiasz mnie, dziewczyno! – odpowiedział narzeczony podpływając bliżej. – Udało mi się podbić serca wielu kobiet, ale żadna z nich nie żądała sprawozdania z przeszłości.

– Nie jestem twoją pierwszą narzeczoną?

– Wiesz... jak by ci to powiedzieć. W sumie, to tak daleko zaszedłem po raz pierwszy. Wcześniej miłość sprawiała mi przyjemność, ale nie brałem na siebie żadnych zobowiązań.

– Co więc sprawiło, że postanowiłeś zdradzić swoje zasady?

– Ach, jakie tam zasady! Kocham kobiety, jedzenie, szybkie flyery, ciepłe morze...

– I nie lubisz sierot?

Ko wyczuła już, że ci, co przygotowali podmianą dla Artema niezbyt poważnie potraktowali swoje zadanie. Równie mało poważnie, co komisarz Milodar. Widocznie byli przekonani, że miłość przesłoni Weronice oczy na wszelkie niedociągnięcia, drobiazgi, niezgodności, które dosłownie rzucały się w oczy. To lekceważenie drobiazgów już spowodowało, że przeciwnik stracił punkt w tej grze: Weronika zdemaskowała podmianą i zgodziła się zamienić z Ko. Czym to się wszystko skończy, Ko nie wiedziała, ponieważ nie była pewna, czy komisarz Milodar będzie w stanie pomóc jej w odpowiedniej chwili.

– Jakich znowu sierot nie lubię? – zapytał narzeczonemu.

– Na wyspie Kuusi.

– A... tych!.. – Narzeczonemu nie było lekko. Ciągle nie mógł połapać się o czym mowa.

Dźwięk gongu rozległ się w pomieszczeniu.

– Oto i śniadanie! – z wyraźną ulgą w głosie powiedział narzeczonemu. – Biegnijmy się ubierać, kochanie moje!

Wyszedł z basenu, przyjaźnie poklepał Ko po ramieniu i popchnął ku drzwiom, prowadzącym do jej kajuty.

Szedł za nią i Ko czuła całymi plecami jego pożądlive drapieżne spojrzenie.

Aż ciarki przeszły jej po plecach.

Po raz drugi odezwał się gong.

– Pośpiesz się – powiedział narzeczonemu. – Książę nie lubi spóźniania na śniadanie.

– Książę?

Ale Artem już maszerował po korytarzu.

Ko przebrała się. Długa suknia uszyta była jak na jej miarę, pantofle dokładnie na jej stopę.

Trzeci gong.

Ko przejechała dłońmi po biodrach – w liniach sukni można było dopatrzeć się czegoś średniowiecznego, a jednocześnie linie jej były współczesne i odważne. Coś przeszkodziło ręką w wygładzeniu sukni na biodrach: mały zwitek papieru wstawiony był w minimalnie naderwany szew. Liścik napisano po francusku, drobnym pismem, w pośpiechu, małutkimi nierównymi literkami:

„Nie przeżyję tej nocy... Zdemaskowali mnie. Wybaczcie, powiedzcie o wszystkim mamie... Clarence”.

To była cudza suknia...

12

Minęła jeszcze minuta i ktoś zastukał do drzwi.

Za progiem stał kapitan Brass w czarnym, dopasowanym do figury mundurze, ze złotymi gwiazdami w rękawach i z wysoką czerwoną stójką.

– Proszę pozwolić mi zaprowadzić panią, Weroniko.

Wystawił ku niej zgiętą rękę i Ko położyła palce na jego łokciu.

Weszli do przestronnej białej sali. Z sufitu zwisał kryształowy kandelabr. Lśnił tak mocno i migotał, że przykuł do siebie uwagę Ko i ta nie od razu przyjrzała się obecnym przy owalnym stole.

Brass doprowadził ją do miejsca obok narzeczonego, który zdążył przebrać się w lekki elegancki garnitur i zawiązać na szyi jaskrawą apaszkę.

Ko zatrzymała się przy krześle, trzymając się rzeźbionego czarnego oparcia, zwrócona ku człowiekowi, który zasiadał u szczytu stołu – szlachetnie wyglądającemu mężczyźnie, jeszcze nie leciwemu, z kędzierzawą czupryną srebrnego koloru, który podkreślał delikatność różowych policzków i błysk niewinnych i dobrych oczu.

Ko od razu poznała tego człowieka.

Kochały się w nim wszystkie dziewczęta sierocińca, a madame Aaltonen wygłosiła co najmniej trzy przemowy, demaskujące jego negatywną rolę w Galaktyce. Ale im bardziej się starała, tym więcej zakochiwało się w nim dziewczyn i tym mocniej zazdrościli mu chłopcy.

Książę Wolfgang Du Wolfe urodził się w cyrku, między dwoma przedstawieniami, w klatce z tygrysami, w której jego matka, treserka wron, ukryła się, ponieważ w wozie, gdzie mieszkała ich rodzina, odbywało się gigantyczne pijaństwo. Po roku jego ojciec zmarł pod płótem.

Kiedy chłopiec, nazwany zwyczajnie Karlem, podrósł i został kiepskim iluzjonistą oraz miernym akrobatą, to przysiągł, że wykorzeni całe pijaństwo swojej planety. W tym celu musiał wyposażyć siebie w państwo. Karl miał cyrk, z którym jeździł po górskich i bagiennych księstwach planety Srebus, póki nie udało mu się oszołomić jednego z dzikich książąt tak, że ten oddał mu za żonę swoją córkę, nadał imię Wolfgang i przysiągł nigdy więcej nie pić i nie palić. W przeciwnym razie zięć Wolfgang miał prawo go zabić. Z okazji podpisania kontraktu ślubnego miała miejsce huczna uczta, w trakcie której teść napił się, w wyniku czego dotrzymujący słowa Wolfgang zmuszony był go zastrzelić. Po tym incydencie wodzowie klanów podzielili się na dwa obozy, sprzeczące się czy słusznie postąpił. Na tym globie nie było przyjęte mordowanie rodziny, twierdzili jedni, znaczy, Wolfgang nie miał racji. Ale drudzy twierdzili, że prawdziwy wódz musi dotrzymywać słowa. Nawet jeśli nie bardzo mu to odpowiada.

Pierwszym krokiem Karla Wolfganga było nadanie sobie tytułu książęcego, od tej chwili kazał nazywać siebie Wolfgangiem Du Wolfem, ponieważ znacznie kulturalniej jest być księciem, niż zwyczajnym wodzem. Następnie, żeby jakoś usprawiedliwić śmierć swego teścia, którego zięć

szczerze i gorzko opłakiwał, kazał wykonać egzekucje na wszystkich pijakach w swoim księstwie, czym wzbudził nienawiść krewnych owych skazańców. Tak więc, by ustrzec się przed kolejnymi spiskami, zamachami i powszechną nienawiścią, zmuszony był zabić również tych krewnych. Jednakże ci krewniacy mieli swoich krewnych, tak więc proces zaprowadzania ładu i porządku w błotnistym Srebusie doprowadził do jego zubożenia i wyludnienia. Liczba ludności zmalała tak, że książę Wolfgang nijak nie mógł zebrać odpowiedniej armii, by pokazać sąsiadom kto ma rację w odwiecznych konfliktach, jak również podbić Wszechświata. W końcu poza granicami bagien żyło znacznie więcej mieszkańców Srebusa niż w jego granicach. Wtedy książę zmienił taktykę.

Zebrawszy wszystkie skarby korony i całkowicie ograbiwszy resztkę poddanych oraz handlarzy, książę kupił okazjnie wyeksploatowany liniowiec „Sanssouci”, zbudowany swego czasu dla bogatych turystów, którzy chcieli podróżować w takim samym komforcie, do jakiego przywykli w domu.

Załadowawszy na statek swoje dziewczynki, faworytów, zapasy konfitur, których książę był wielkim amatorem, i tresowane zwierzęta z ograbionego przezeń cyrku, Wolfgang Du Wolf wyruszył w niekończącą się podróż po cywilizowanych planetach Galaktyki, po pierwsze, żeby się tam pokazać, po drugie, żeby popatrzeć sobie na ludzi, ale najważniejsze – żeby otrzymać solidne wsparcie ekonomiczne dla rozwoju sił produkcyjnych nikomu nie znanego kraju Srebus i pomocy dla jego pracowitego i kochającego wolność narodu.

Na nieszczęście dla księcia, a może na szczęście dla Srebusa, na który książę nigdy nie wrócił, podróż „Sanssouci” stała się podróżą bez końca. Bo przecież wszystko, co się udało zdobyć dla dobra kraju, natychmiast było zużywane na opłacenie żywności, paliwa i innych niezbędnych dla statku i jego licznej załogi rzeczy, nie wspominając o żarłocznych i rozpieszczonych pasażerach.

Od czasu do czasu książę miewał ataki ostrego poczucia obowiązku obywatelskiego, nakazywał wtedy wziąć kurs na dom, pozostawiony bez władcy i, być może, już rządzony przez kogo innego. Ale, jak na złość, zawsze znajdował się jakiś powód, który nie pozwalał mu zrealizować swego marzenia i obowiązku. Albo zdarzały się straszliwe warunki nawigacyjne, albo kończyło się paliwo lub cukier, albo powstawał na pokładzie spisek, który należało zdemaskować, albo, w końcu, następowało nieoczekiwane zaproszenie na jakiś glob, gdzie wykuwano nowy defensywno-ofensywny pakt... Zawsze znajdował się jakiś pretekst...

Stopniowo książę Wolfgang Du Wolf stał się postacią w Galaktyce popularną, ulubieńcem prasy: o nim zawsze można było coś napisać, jeśli nie było innego obiektu do opisanego. Wiedząc, że tylko popularność, najlepiej oparta na skandalach, pozwala mu zajmować miejsce w pamięci współczesnych, ten działacz państwowy podgrzewał stopień zainteresowania sobą szalonymi czynami. Wolał być „tym Du Wolfem”, niż postacią szlachetną, ale nikomu nie znaną. W swoim dążeniu do popularności i, co za tym idzie, do pieniędzy, których zawsze katastrofalnie mu brakowało, książę porywał z teatru imienia Majakowskiego gwiazdę tej sceny, wieczorem żenił się z nią, w nocy zdradzał z fotomodelką Julią Kim, rano przyjmował wyzwanie na pojedynek z mistrzem świata w espadronie, który to sportsmen był narzeczonym Julii Kim, w południe udawał śledczemu, że nie mógł trafić na miejsce pojedynku z powodu niezapowiedzianego bólu zęba, na co ma sześciu świadków, a co za tym idzie – z nieoczekiwanym zabójstwem z za węgla wspomnianego wyżej championa nie może mieć nic wspólnego. Wszyscy wiedzieli, że były Karl, dziś książę Wolfgang, jest wielkim szubrawcem, człowiekiem bez honoru i godności, ale ważniejsze było, że uważano go za wspaniałego faceta, duszę towarzystwa i niemal nikt nie odmawiał przyjęcia

zaproszenia na obiad. Choć nie dla wszystkich przyjęcia na pokładzie „Sanssouci” kończyły się dobrze.

Czasem nawet przed księciem zamykano bramy tego czy owego kraju, ale potem zazwyczaj wycofywano się z zakazów, ponieważ z dokumentów wynikało, że jest przywódcą suwerennego państwa, a demokratycznie zorientowana Galaktyczna Federacja surowo osądzała wszelkiego rodzaju łamanie praw człowieka, chroniąc przy tym również prawa łamiących te prawa.

Ko trafiła na „Sanssouci” bez zaproszenia i nie można powiedzieć, by była jakoś specjalnie rada ze znalezienia się tu. Tam gdzie przeszedł książę Wolfgang zostawała tylko wypalona trawa i zniszczone pola. Jeśli jest w jakiś sposób związany ze śmiercią Artema, to Ko musiała w duchu przyznać, że dorobiła się niebezpiecznego wroga.

Na razie ten wróg na wroga nie wyglądał.

Książę Wolfgang zajmował złoty tron na honorowym miejscu przy stole. Nalewał sobie właśnie soku z kryształowej karafki. Na jego ramieniu drzemała duża wrona, bardzo podobna do biorobota z Wyspy Dzieci. Czy to aby nie ta wrona zadziobiła Artema?

– Siadaj, dziewczeczko! – krzyknął książę przez całą salę. – Bądź moim gościem. Zabawimy się na twoim ślubie. Cieszę się, że udało mi się ciebie uratować.

Ko powstrzymała się od pytania, na czym polegał ratunek, uprzejmie dygnęła przed gospodarzem statku.

– Poznałaś mnie, mam nadzieję? – zapytał książę Wolfgang.

– Wszyscy pana znają, wasza wysokość – odpowiedziała Ko. – Wystarczy włączyć wiadomości.

– Godna odpowiedź. Siadaj więc i zjedz śniadanie. Potem udzielę ci audiencji.

Narzeczony zachowywał się podczas śniadania bez zarzutu. Był uprzejmy, wyprzedzał niemal jej życzenia, taktowny. Co prawda, od czasu do czasu chwycił Ko za kolano...

Ko chciała zapytać kim była Clarence i co się z nią stało, ale rozumiała, że według zasad gry, nowa żona Sinobrodego nie powinna pytać o los poprzednich żon. Jeśli bardzo chcesz – idź i otwórz te małe drzwiczki, ale nie zadawaj niepotrzebnych pytań.

Ko z zainteresowaniem przyglądała się siedzącym przy stole.

Najpewniej byli to dworzanie i doradcy księcia Wolfganga, ale poza tymi ludźmi, wystrojonymi w szykowne szamerowane złotem i srebrem mundury zdobione kolekcjami orderów, przy stole zasiadało kilka pięknych kobiet, rzucających na siebie pełne złości spojrzenia, widocznie zazdroszcząc sobie wzajemnie przyjaźni i miłości księcia. Poza tym siedzieli tu dwaj potężni siłacze, pewnie cyrkowi atleci i wesoła, hałaśliwa rodzina liliputów. Ale najbardziej Ko zdziwił goryl, pochłaniający śniadanie, zupełnie jak ludzie, przy pomocy noża i widelca – tak wspaniale był wytresowany.

Pod koniec śniadania do sali weszły dwa lwy, które zaczęły chodzić za plecami gości i obwąchiwać nogi siedzących przy stole, sugerując, że nie są przesadnie najedzone. Ko powstrzymała się od podciągnięcia stóp – rozumiała, że tym sposobem raczej nie uratuje ich przed drapieżnikami. Lwy podeszły do księcia, a ten cisnął im z patery stojącej przed nim po kawałku tortu. Tort nie jest, rzecz jasna, właściwym śniadaniem dla grubego księcia, ale pochłonął może z dziesięć kawałków, niemal ich nie przeżuając.

W przytulnej mesie, gdzie wszystko – podłoga, ściany, kanapy – przykryte i przesłonięte było skórą dzikich zwierząt, książę Wolfgang Du Wolf zaraz po śniadaniu, przyjął Artema i Ko.

Z bliska widać było, że nie jest już taki różowutki i gładki, jak na ekranach telewizorów czy w kinie. Drobne gęste zmarszczki pobruździły jego oblicze, pod oczami utworzyły się zamaskowane makijażem worki, włosy były częściowo ufarbowane, częściowo – implantowane.

– Wchodźcie, wchodźcie – zaprosił młodzież książę. – Ty, Artemku, bywałeś już u mnie, a Weronika jest po raz pierwszy. Prawda, Weroniko?

– Tak – przytaknęła Ko.

– Chociaż byłeś tu jako malutki dzidzius – nie pamiętasz? – Oczy księcia zdradzały, że kłamie.

– Znasz mnie, książę, z dzieciństwa? – zdziwiła się Ko.

– Tak, Weroniko i mam szczerzy zamiar pomóc ci. Chcę, byś znalazła na pokładzie mojego latającego schronienia nie tylko szczęście w życiu małżeńskim, ale i szczęście córczyne – już podjąłem wszelkie kroki, by zaprzyjaźnić się z twoim ojcem.

– Kto to? Gdzie jest? – Ko szczerze podnieciła się, zapomniawszy zupełnie, że pojawienie się ojca Weroniki wcale nie zbliża jej do rozwiązania zagadki własnej sieroczej doli.

– Na wszystko przyjdzie czas – machnął niedbale ręką książę. – Ale siadaj, siadaj. Wszystkie te skóry to moje trofea. I oto, co ci powiem, dziecko: każdy prawdziwy człowiek winien mieć swoją specjalność. Ja na przykład, potrafię obdzierać ze skóry i nawet wypychać zwierzynę. Jestem najlepszym taksydermistą w Galaktyce.

– Kim?

– Taksydermistą. To nieładne słowo oznacza wypychacza zwierząt. Jestem humanistą. Przedłużam życie zwierząt. Później pokażę ci swoje zwierzęta, ale najpierw kilka słów o interesach. Tak więc, udało mi się wywieźć ciebie z Ziemi. Uwierz mi, okazało się, że nie jest to łatwa sprawa i kosztowało mnie to taką fortunę, że wy, moi kochani państwo młodzi, przez wiek się ze mną nie rozliczycie.

Wszystko to powiedziane było z tak słodkim uśmiechem na ustach, takim dobrem promieniowały oczy księcia, że nie trzeba było dodatkowych wyjaśnień by wiedzieć, że to wszystko żarty.

– Nic to – powiedział Artem starając się dopasować intonacją do tonu Wolfganga. – Ożenimy się, zaprzyjaźnimy z tatusiem, wzbogacimy, wypłacimy ci, książę, pięć razy tyle, ile na nas wydałeś, prawda, Weroniko?

Weronika popatrzyła na narzeczonego ze zdziwieniem.

– Przepraszam – powiedziała – czyżby mój tata był bogaty?

– Jeszcze jak! – radośnie potwierdził Artem, ale w tym momencie do rozmowy wtrącił się książę:

– Bogactwo jest rzeczą względną. To, co może się wydawać dużym majątkiem dla sierotki,

takiej, jak ty – dla mnie jest tylko ziarnkiem piasku w morzu moich skarbów.

– To prawda – pośpiesznie zgodził się Artem. – Książę Wolfgang jest jednym z najbogatszych ludzi w Galaktyce. Wielu władców planet oddaje mu cześć.

Książę patrzył na Ko. Spojrzenie było niemiłe, niedobre.

– Ona nam nie wierzy! – powiedział kapryśnym tonem. – Nie zdążyła jeszcze nacieszyć się moją gościnnością, a już pastwi się nade mną. Po co zgodziłem się pomóc takiej niewdzięcznej paskudzie!

Ko zdziwiła się. Odwróciła się do Artema, ale ten cofnął się o krok i wzruszył ramionami, jakby pokazując, że on nie ma z tym nic wspólnego.

– Nie pozwolę pastwić się nade mną! – krzyknął wzbudzający się coraz bardziej książę. – Nie śpię po nocach, zastanawiam się, jak polepszyć byt nieszczęsnej dziewczyny, ale w jej ciele kryje się monstrum.

– Przepraszam, książę – powiedziała Ko cofając się do drzwi. Człowiek czuje się niezbyt miło, kiedy naskakuje na niego, popychając twardym brzuchem leciwy arystokrata. Może rzeczywiście zachowała się nieodpowiednio?

– Zdenerwowałem się – oświadczył książę i szybkim krokiem opuścił pokój. – Muszę coś zjeść!
Artem i Ko zostali sami.

– Co mu się stało? – zapytała dziewczyna.

– Jak mogłaś tak hardo rozmawiać z księciem! – krzyknął oburzony Artem. – On jest dla nas wszystkim: rodzonym ojcem, opiekunem, przełożonym nawet!

– Nie mam przełożonych.

– Nie gadaj głupot. Nie ma ludzi bez szefów.

– Dokąd on uciekł?

– Książę ma zakłóconą przemianę materii – oświadczył Artem. – To na tle nerwowym. Jak tylko ktoś go wyprowadzi...

– Ja go nie wyprowadzałam!

– A kto okazał zwątpienie w jego bogactwo?

– Nie mogłam okazać zwątpienia w jego bogactwo, ponieważ nie mam o nim najmniejszego pojęcia.

W tym momencie Artem pochylił się do ucha dziewczyny i zaczął szeptać:

– Księcia sprawy finansowe nie stoją najlepiej. Sprawiedliwe wojny, jakie prowadzi, konieczność utrzymania wysokiego poziomu życia przywódcy państwa oraz troska o kulturę i sztukę, jak również – co by o tym nie mówić – kobiety! – wszystko to wymaga wydatków. Nawet nasz statek „Sanssouci” jest zastawiony i to wielokrotnie. Jeśli nie otrzymamy kredytów preferencyjnych, to będzie z nami krucho. Nie zostanie nam chyba nic innego, jak zostać piratami!

Artem mówił to wszystko zupełnie poważnie. Tak się zagłębił w finansowych troskach swego księcia, że nie zauważył, jak beznadziejnie się wygadał: „Jeśli nie otrzymamy”... my... Oczywiście – Artem należy do drużyny księcia. To najważniejsza sprawa, o której należy pamiętać. A książę, oczywiście, filantropem nie jest. To szaleniec, oszust i, zapewne, tyran.

– Tylko do czego ja mu jestem potrzebna? – zapytała na głos Ko, mając nadzieję, że w porywie szczerości narzeczony wypaple coś i na ten temat...

– Nie domyślasz się? – zapytał Artem z szyderstwem w głosie.

– Nie, pojęcia nie mam.

– No to sobie i nie miej – zakpił Artem.

Zapadła cisza. Ko nie miała już ochoty na rozmowę, poza tym poczuła w tym momencie, że nie tylko ona nie znosi swojego „narzeczonego”, ale on też nie żywi do niej żadnych cieplejszych uczuć.

– Jak brzmi moje prawdziwe nazwisko?

– Du Couvrie – odpowiedział Artem myśląc o czym innym.

– A imię?

– Imię – Weronika. Chyba, Weronika. Nigdy nie podawano mi innego.

Ciekawe, dlaczego Weronikę obdarzono tym nazwiskiem? Chyba miało to jakiś związek z medalionem, w którym leżał stary znaczek pocztowy. Weronika zawsze go nosiła, miała nadzieję, jak każde dziecko w sierocińcu, że pewnego pięknego dnia do przytułku wejdzie jej mama albo tata i po medalionie pozna zaginioną córeczkę. A będą to, co najmniej, król i królowa odległego globu.

– Mam przeprosić księcia? – zapytała Ko.

– Byle nie teraz! Księżę musi ochłonać. Po wybuchu zawsze ma okres złego humoru. Wtedy jest szczególnie niebezpieczny. Może poszczuć cię swoimi tresowanymi bojowymi wronami, które dostał w spadku po mamuni. Albo i czym gorszym.

– Widzę, że nie bardzo kochasz swego pana?

Ale tym razem nie udało się Artema zaskoczyć.

– Co ty pleciesz, skarbie? – powiedział. – Jestem zwyczajnym wuefistą z Wyspy Dzieci – skąd miałbym wziąć takiego pana? Chciałaby dusza do piekła, ale grzechy nie puszczaają!

– Do raję – poprawiła narzeczonego Ko, ale ten nie zwrócił uwagi na poprawkę. – Mogę się przespacerować po statku? – zapytała.

– Spaceruj – z ulgą przyzwolił Artem; chyba miał jakieś swoje sprawy do załatwienia. – Tylko nie pakuj się do zakazanych drzwi i nie otwieraj, sekretnych zamków.

– Słucham, o panie Sinobrody – odparła ironicznie Ko.

Ale Artem chyba w dzieciństwie nie czytał bajek. Uniósł więc tylko zdziwiony brwi. Na korytarzu rozstali się.

Statek był ogromny i pusty.

Być może w innej porze dnia było tu ludniej, ale nie z samego rana, zaraz po śniadaniu.

Kiedyś był bogato zdobiony, w stylu madame Pompadour czy jakiegoś Ludwika. Nawet w sufitach korytarzy umieszczone kiedyś były białe kartusze, w których na niebieskim tle baraszkowały amorki i nimfy. Podłogę pokrywało sztuczne tworzywo udające parkiet – to było widoczne pod ścianami, gdzie nie był jeszcze tak mocno wydeptany jak na środku. Połączone kinkiety dawały tylko połowę światła, a niektóre w ogóle przepaliły się i zgasły, widocznie pokładowy elektryk był leniwy i nie interesował się swoją pracą. Wkrótce Ko doszła do wielkiej sali, w której znajdował się owalny basen. Otaczały go klomby, pokryte suchą trawą. Z klombów wyrastały pnie wysokich palm. Wody w basenie nie było od dawna, wrzucano doń papierki od cukierków, puste puszki po piwie, na dnie leżał jeden pantofel z naddartym czubkiem i blaster z wygiętą lufą. W śmieciach grzebała wrona, nie zwróciła na zwiedzającą uwagi.

Ko zrobiło się żal basenu, a nawet całego statku „Sanssouci”, który trafił do rąk bardzo biednego księcia, nie mającego możliwości utrzymania go. Nic dziwnego, że zubożały książę był przeczulony na punkcie kpinek otoczenia.

Przepełniona współczuciem do Wolfganga Du Wolfa Ko minęła salę z basenem, pchnęła drzwi i znalazła się w kolejnej sali – tu, jak się wydawało, był kiedyś park statku, miejsce, gdzie wśród kwietników i krzewów bzu spacerowali bogaci pasażerowie.

Teraz, porzucone, pozbawione opieki wszystkie krzewy i drzewa uschły, ale ich gałęzie gdzieś tam splatały się tak gęsto, że nie widać było końca sali.

W gęstwinie przed dziewczyną rozległ się jakiś szelest, ale nie przestraszył Ko. Mało to kto może spacerować sobie po statku? Postanowiła przejść przez park i poszukać biblioteki. Na takim starym i niegdyś wspaniałym statku na pewno zachowała się bajeczna biblioteka.

Spokojnie ruszyła ścieżką między suchymi pniami. Gdy oddaliła się od drzwi na jakieś dwadzieścia metrów szelest przed nią rozległ się ponownie. Tym razem był głośniejszy i Ko poczuła, że się boi.

Może to ukochane wrony księcia?

– Kto tu jest? – zapytała.

W odpowiedzi dał się słyszeć bardzo cichy, ale niski i złowrogi ryk.

Ko zatrzymała się, przysłuchiwała. Powinna pewnie uciekać, ale – pomyślała – jeśli ktoś zobaczy jak biega przestraszona po statku księcia Wolfganga, to stanie się obiektem docinków i kpinek; wystarczyło przypomnieć sobie jakie towarzystwo zebrało się na śniadaniu, nie należało spodziewać się po nich litości.

Rozejrzała się. Dokoła gęstwina gałęzi i gałązek, przesłaniających nawet sufit sali. Na króciutką

chwilę dziewczynie wydało się nawet, że nie wie gdzie są drzwi, ale nie – drzwi są z tyłu... Trzeba się wycofać.

Ko wolno zrobiła krok do tyłu, starając się nie wywoływać hałasu.

I po kilku krokach zmuszona była znieruchomieć: z tyłu też rozległ się hałas. I tam na nią czekano.

Ależ co to za bzdury! Przecież jest gościem na rządowym statku! Została specjalnie wykradziona z Ziemi, żeby wyjść za mąż i znaleźć ojca. Próżno uspokajała siebie – tak naprawdę była bardzo wystraszona, gotowa w tym momencie nawet na ślub z Artemem. Byle tylko ktoś zabrał ją z tego straszego, suchego lasu.

Ko zrobiła krok w bok.

W tym momencie z przodu rozległ się trzask i coś ogromnego, żółtego, ryczącego skoczyło na nią.

Ko cofnęła się, ale całą sobą odczuwała, że z tyłu pędzi na nią taki sam zabójca.

W rozpaczy skoczyła do najbliższego drzewa i zaczęła włązić na nie. Stopy ślizgały się po pniu – jeszcze chwila... i zginie.

Ale w tej samej chwili czarna owłosiona ręka chwyciła dłoń Ko i szarpnęła ją do góry.

Ko dosłownie wleciała w rozwidlenia drzewa.

Olbrzymi goryl, który tak zręcznie operował nożem i widelcem przy śniadaniu, objął ją i przycisnął do gorącego brzucha. Zaskoczona Ko szarpnęła się, ale gdzie mogła uciec, spętana objęciami olbrzymiej małpy?

Goryl pomrukiwał uspokajająco – bez złości, raczej jak matka czyniąca wyrzuty nieostrożnemu dziecku. Zwierz pokazał ręką w dół, a Ko, zerknąwszy tam, zobaczyła dwa lwy, też widziane podczas śniadania. Jak koty, pilnujące umierającego królika lwy miotały się dokoła pnia, czekając kiedy zdobycz w końcu zwali im się prosto w paszcze.

Goryl, zademonstrowawszy mnóstwo olbrzymich zębów, zaczął głaskać Ko po głowie, a potem szorstkim językiem wylizywał głębokie zadrapania na ramieniu i biodrach.

Ko poczuła wdzięczność do małpy. Wiedziała już, że ta nie zamierza jej skrzywdzić, ale czy zdoła obronić, gdyby któremuś z lwów przyszło do głowy wspiać się na drzewo? A nie było to jakieś specjalnie wysokie drzewo, gałęzie na szczycie – cienkie, a odnoga, gdzie ulokował się goryl, mogła trzasnąć i złamać się w każdej chwili.

Tak więc Ko starała nie ruszać się i nawet poprosiła goryla:

– Proszę cię, nie podskakuj tak. Poczekajmy. Pewnie to głupie zwracać się z takim prośbami do zwierzęcia, ale co robić, skoro jest się wystraszonym?

Nie ruszając się i tylko wolno kręcąc głową, Ko starała się zlokalizować wyjście.

Nagle jeden z lwów wstał na tylnych łapach i zaczął wściekle drzeć korę potwornymi pazurami. Ryknął tak, że pewnie było go słychać na Księżycu.

Ko zacisnęła powieki. Rozumiała, że goryl nie poradzi sobie z drapieżnikami. Jakby w odpowiedzi na jej myśli małpa zawyla tęsknie, potem nagle puściła Ko, odepchnęła ją i skoczyła na sąsiednie drzewo.

Ko omal nie spadła w dół, prosto w zęby lwa, ale zdążyła chwycić się pnia i podciągnąć nogi – a lew, wyciągnąwszy się mocno, usiłował sięgnąć jej pięty.

Dziewczyna zaczęła wdrapywać się wyżej, ale gałęzie wyginały się...

– Na pomoc! – krzyknęła, zapominając o dumie i możliwych kpinach.

Ręce omdlewały z wysiłku, trzasnęła gałązka, zaskrzypiała inna, lwy radośnie zawarczały, przewidując łakomy kąsek w swych paszczach...

I kiedy Ko już straciła nadzieję na ratunek i nastawiała się już tylko na walkę z lwami – walkę?! – spod sufitu rozległ się grzmiący głos:

– Rustak, Lelka – precz!

Jaskrawe światło zapłonęło z boku, oświetliło znajdującą się dość blisko, zwisającą nad lasem trybunę czy może raczej łożę, w której, otoczony ładnymi i nieładnymi dziewczojami, siedział książę Wolfgang i pożerał kawał tortu.

Ten widok, ten bezczelny, chytry, różowy pysk, obramowany srebrnymi kędziorami, był tak blisko, że Ko omal nie zwymiotowała z gniewu i obrzydzenia – ręce jednak przestały jej służyć i dziewczyna grzmotnęła na twardą, pokrytą gałązkami i kolcami ziemię. Zaskoczone lwy odskoczyły i niemal gotowe były rzucić się powtórnie na pozbawioną sił ofiarę, ale nagle obok Ko pojawił się olbrzymi atleta, jeden z cyrkowych siłaczy. W ręku trzymał długi bicz, zakręcił nim i strzelił raz, drugi... Lwy podkuliły ogony i na ugiętych łapach pomaszerowały precz, nie przestając jednak groźnie porykiwać.

Ko siedziała na ziemi, drżąc z bólu i poczucia krzywdy. Nie mogła się poruszyć.

– Co tam się dzieje! – krzyknął książę Wolfgang. – Medycy! Gdzie są medycy? Pomóżcie dziewczynie, która bez pytania wtyka nos w nie swoje sprawy.

Książę wstał i niespiesznie opuścił swoją łożę. Dziewoje wyszły za nim.

Siłacz z batem chwycił Ko na ręce i wyszedł na korytarz.

– Nic to – powiedział. – Nic nie jest złamane. To szybko minie. Gwarantuję. Ja już tyle razy byłem pobity i połamany, że nawet zapomniałem to zapamiętać.

Ko nie podtrzymywała rozmowy, znajdując się w pewnego rodzaju omdleniu.

Siłacz zatrzymał się przed drzwiami z czerwonym krzyżem. Potem zapukał, wszedł i położył Ko na pokrytą tanim tworzywem leżankę.

– Proszę się nią zająć – powiedział do kobiety z dużymi wypukłymi jak u ważki oczami, która na ich widok poderwała się z biurka.

– Ach! – zawołała kobieta patrząc na Ko. – Co ci się stało, kruszynko?

Okrążyła biurko i podbiegła do Ko.

W głosie tego chudzielca było tyle ciepła i troski, lekki biały fartuszek był tak czysty i wyprasowany, włosy ułożone na głowie w starannych loczkach wytwornie otaczały smagłą, niemal czarną twarz, że Ko zrozumiała: skończyły się wszystkie jej cierpienia. Poderwała się z leżanki i zrobiwszy krok ku niższej o dwie głowy lekarce, wyciągnęła do niej rękę i rozryczała się rozpaczliwie.

– Kto ją skrzywdził? – surowym tonem zapytała lekarka siłacza.

– Zbłądziła do porzuconego parku – powiedział zawstydzony atleta, w tym pokoiku przytłaczający swoimi wymiarami i niezgrabnością ruchów. – A książę, wiadomo, jak zły to lubi sobie pożartować. Kazał wypuścić lwy...

– Och! Czyżby znowu się ośmielił?

– Jeszcze jak się ośmielił – powiedział ze smutkiem siłacz. – Światło w łoży wyłączył, ukrył się tam ze swoimi słodziutkimi dziewczątkami... Dobrze, że Czarna Bombasa drzemała na drzewie. To ona wciągnęła ją...

– Och, nie wytrzymam! – zawołała lekarka. – Przecież dziewczyna mogła ucierpieć przez ten dowcip!

– Myślę, że ucierpiała – poparł ją siłacz. – Na dodatek wystraszyła się na śmierć.

– Dobrze, Poddubnyj, jesteś wolny, idź – powiedziała na to lekarka. – Ja się nią zajmę. Dziękuję ci. Idź już.

Siłacz odwrócił się do wyjścia rozbijając przy tym stojącą na stoliku przy drzwiach karafkę.

– Przepraszam panią, doktor Vanesso – powiedział skonfundowany.

– Idź sobie, idź. – Lekarka pochyliła się i zaczęła zbierać z podłogi odłamki.

I wtedy Ko zauważyła, że na plecach kitel lekarki pękł, odsłaniając wielkie, niemal sięgające ziemi, przezroczyste jak u ważki skrzydła.

Nie była w stanie powstrzymać się od lekkiego okrzyku. Lekarka, zaskoczona jej okrzykiem, też jęknęła.

– To moja wina! Wystraszyłam panią? Nie widziała pani nigdy takich odmieńców, jak ja?

– Nie, to ja proszę o wybaczenie – zdenerwowała się Ko. – Każdemu inny los pisany.

Nie potrafiła znaleźć lepszego pocieszenia dla kobiety muchy.

– Ale ja praktycznie nie potrafię latać – oświadczyła lekarka. – W wielu szczegółach nie różnię się od pani. Mam nadzieję, że nie bierze pani obrzydzenie na myśl, że będę ją leczyć?

– W żadnym wypadku! Nawet wręcz przeciwnie! Jest mi tak miło, że panią poznałam...

Lekarka uśmiechnęła się.

– Proszę nie silić się na uprzejmość. Niektórzy są nastawieni obojętnie do much, inni ich nie znoszą, więc nauczyłam się to znosić. Na dodatek jestem muchą ciemnoskórą.

– A ja nawet nie zauważyłam, że pani jest ciemnoskórą. .. to znaczy muchą...

– Ale nie plujką. – Uśmiech wypukłookiej lekarki był smutny, widocznie musiała wiele znieść z powodu niedobrych ludzi.

Ko milczała przez cały czas, kiedy lekarka przemywała jej ranki i skaleczenia.

W tym czasie doktor też nie odezwała się ani słowem.

– No i już – powiedziała dopiero po dwóch minutach. – Nikt się nawet nie domyśli, że jest pani ofiarą okrutnego usposobienia naszego księcia. Niech pani będzie ostrożna, z tym naszym księciem.

– Przepraszam – powiedziała Ko, widząc, że lekarka zbiera narzędzia – ale jak się pani tu znalazła?

– Każdy musi jakoś zarabiać na życie – westchnęła mucha.

– I ten... książę nie peszy się na pani widok?

– On jest miłośnikiem egzotyki – smutnym głosem odpowiedziała mucha. – Kiedy byłam jeszcze wyrostkiem wykradł mnie moim rodzicom, uwiódł i zrobił swoją nałożnicą. Co prawda, potem postąpił ze mną i tak lepiej niż z innymi. Pomógł mi uzyskać wykształcenie i zaproponował miejsce na swoim statku.

– Pani go kocha? – zapytała szeptem Ko.

– Ja go doceniam – nieco oschle odpowiedziała mucha – jednakże nie pochwalam jego gustów. Nie wyobraża sobie pani, jakimi zerami się otoczył. Do grupki słodkich dziewczuszek bierze kogo popadnie!

– Och, jeśli pani sądzi, że jestem z tej grupy, to myli się pani. Trafiłam tu przypadkowo. Jestem narzeczoną... Artema.

– Nie musi się pani usprawiedliwiać. Wiem znacznie więcej, niż pani sądzi. Do widzenia. Mieszkam w kajucie numer 68. Wszystkie rozmowy na statku są kontrolowane i potem ich treść jest przekazywana Wolfgangowi Du Wolfowi. Może już pani iść.

Wyszędłszy od lekarki Ko popatrzyła wzdłuż korytarza. Czowała że ma stopy z ołowiu, oderwanie

ich od podłogi kosztowało ją sporo wysiłku.

W korytarzu było pusto i cicho, ale ta cisza zionęła grozą...

Ko pobiegła do swojej kajuty.

Zatrzasnąwszy drzwi rzuciła się na łóżko. Gotowa była oddać wszystko – byle mogła wrócić na swoją Wyspę Dzieci.

Ale nie dane jej było długo odpoczywać.

Drzwi na „Sanssouci” nie miały zamków. Przekonała się o tym po jakichś pięciu minutach, kiedy odsunęły się i w progu stanął całkowicie przekonany o swojej niewinności – gęba od ucha do ucha – narzeczony. W szortach i hawajskiej koszuli.

– Nie uciekaj do kąta – powiedział wchodząc i zamykając za sobą drzwi. – Nie ruszę cię. Nie lubię pokąsanych kobiet.

– Więc wiesz o wszystkim?

– Oczywiście, że wiem.

– I nie przyszedłeś mi z pomocą?

– Przysięgam ci, Weroniko, przysięgam na imię mojej matki, nie podejrzewałem nawet, że wymyśli taki kretyński żart.

– Ty to nazywasz żartem? Cudem uniknęłam śmierci! Żądam, żeby mnie natychmiast wypuszczono ze statku!

– Bez skafandra? – uśmiechnął się kawaler.

– A niechby i bez skafandra – bylebym się uwolniła od tego towarzystwa!

– Jakoś dziwnie zaczęłaś przemawiać!

– A co mi zostaje? Nie poznaję swego narzeczonego, szczują mnie lwami i w ogóle nie wiem, czy długo jeszcze będę żyła. Dlaczego? Za co?

– Weroniko – westchnął kawaler przysiadając na brzeжку łóżka. – Muszę ci powiedzieć, że masz całkowitą rację. Wszyscy czujemy się bardzo winni. Ale zaczęłaś to sama. To ty poszczułaś księcia...

Narzeczony westchnął i zamilkł.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – groźnym tonem zapytała Ko.

– Zarzuciłaś mu ubóstwo, a dla niego to najpoważniejsza kwestia.

Narzeczony zamilkł ponownie, jakby się przysłuchiwał czemuś i Ko nagle usłyszała, że z sufitu, znad głowy narzeczonego spływa szept: – Powiedz o narodzie... o narodzie powiedz.

– Właśnie – poderwał się kawaler. – Najbardziej nasz książę troszczy się o dobrobyt swojego ludu. Naród, muszę ci powiedzieć, częściowo jest biedny. Czasami otrzymuje pomoc humanitarną, którą rozkradają chciwi urzędnicy. A książę denerwuje się, niech to diabli! Traci opanowanie.

Artem wsłuchał się w pisk, dobiegający z kratki wentylacyjnej, i zakończył swą wypowiedź:

– I czasem ten gniew i odchylenia swojej patologicznie genialnej natury wylewa na zupełnie niewinne dziewczyny. Ot, i tak się sprawy mają...

Ko zerknęła na sufit, potem na kawalera i zapytała:

– Czy mam rozumieć twoje słowa jako formalne przeprosiny księcia Wolfganga?

Narzeczony zastanawiał się, ale z góry nie dochodziły żadne dźwięki.

– Nie wiem – przyznał w końcu szczerze. I westchnął ciężko.

– Dlaczego tak wzdychasz? – zapytała Ko.

Artem był może niegodziwcem, ale już trochę się do niego przyzwyczaiła i rozumiała, że gdyby okoliczności ułożyły się nieco inaczej, to byłby zwyczajnym młodym mężczyzną, może nawet jakimś

niezłym sportowcem. Na niego Ko się nie złościła. Może sam był niezadowolony ze swojej roli...

– Powiedz mi – zapytała narzeczonego – podoba ci się szczucie dziewcząt lwami?

– Czyś ty zwariowała! – zawołał kawaler. – Ja bym takiego bydlaka, ja bym go... – i nagle zamilkł, a z sufitu dało się słyszeć wyraźne:

– No, co byś mu zrobił?

Artem milczał chwilę, walcząc ze sobą, ale w końcu wypalił, zająkując się:

– To nie jest metoda... mój książę.

– Ja rozumiem, że to nie jest właściwa metoda! – rozdarł się głos spod sufitu. – Sam rozumiem, że powinienem lepiej znać się na ludziach. Ale tak mnie kusila ta zabawa...

– Idę do siebie... – powiedział Artem.

– Nie – powstrzymał go głos. – Najpierw odbądź scenę miłosną. Jesteście w końcu narzeczonymi, a nie obcymi sobie ludźmi.

– Proszę się do tego nie wtrącać, książę! – poważnie oświadczyła Ko.

– A ja się wcale nie wtrącam – zachichotał książę. – W ogóle mnie tam nie ma.

– Wyjdź, Artemie – powiedziała Ko.

Ale Artem, widocznie do końca już zaplątawszy się we wskazówkach i radach, sam podjął decyzję.

– Mucha Vanessa podleczyła cię? – zapytał.

– Co masz namyśli?

– No, czy nie bolą cię rany, czy można cię dotykać?

– A po co masz mnie dotykać? – czujnie zapytała Ko.

– Z nadmiaru uczuć.

– Ach, daj mi spokój, Artemie – powiedziała Ko. – Nie żywię do ciebie żadnych uczuć.

– Żywisz – rozległo się spod sufitu.

– Książę, proszę dać mi spokój! Nie można się nigdzie przed wami ukryć! Lepiej wyrzucicie mnie w kosmos skoro macie tak mnie traktować! Ale uprzedzam, że przed śmiercią będę sprzeciwiać się tak, że komisarz Milodar przybędzie mi na pomoc...

– Aha... – dało się słyszeć spod sufitu. I po chwili namysłu: – Więc znasz go?

– Oczywiście, że znam! Kocha się we mnie – oświadczyła Ko. – Jest opiekunem naszego sierocińca. Jest dla nas jak rodzony ojciec.

– Ojciec! – w głosie dała się słyszeć pogarda. – Takich należy dusić w kołysce.

– Mocno panu dopiekł, książę? – zapytała odważniejsza od razu Ko.

– Zamilcz!

– To znaczy, że dopiekł – ucieszyła się Ko i niemal nie przypląciła tej radości bólem, ponieważ wykorzystując dogodną chwilę narzeczony przysunął się do niej i usiłował ją objąć.

Ko odskoczyła w kąt i uderzyła kantem dłoni w nadgarstki Artema. Nie zabolalo go to wcale, roześmiał się, ale zaniechał na jakiś czas swoich umizgów.

– No to się bawcie, szalejcie, a ja sobie pójdę zjeść coś słodkiego – oświadczył głos z góry.

Ko pomyślała, jak krótka jest droga od miłości do nienawiści. Przecież ten człowiek, jej narzeczony, był bardzo podobny do Artema. Artema uwielbiała Weronika, Artem podobał się też Ko. Ale ten narzeczony w obu dziewczynach wzbudzał tylko wstręt, a nawet nienawiść.

Kawaler przeciągnął się demonstrując mięśnie.

– Czasami – powiedział – mam wrażenie, że przestałaś mnie kochać i nie zamierzasz dotrzymać

słowa.

– Coś ci obiecywałam?

– Oczywiście, obiecałaś całe swe ciało i duszę, obiecałaś wyjść za mnie za męża.

– Nie odmawiam i teraz – odpowiedziała Ko, pamiętając, że obiecała komisarzowi doprowadzenie tej gry do końca.

Sama zresztą odczuwała miły dreszczyk emocji manewrując tak na ostrzu brzytwy.

– Musimy wyznaczyć termin ślubu. Jak myślisz, może jutro się pobierzemy?

– Lepiej może za dziesięć miesięcy, kiedy skończę osiemnaście lat.

– Mam już dość tego twojego głupiego gadania! Czy jeszcze nie zrozumiałaś, że w chwili, kiedy opuściłaś Ziemię i znalazłaś się na statku księcia Wolfganga, pokład którego jest terytorium suwerennego państwa, przestały obowiązywać prawa galaktyczne? Jeśli księżę zechce cię zabić, to może to zrobić według prawodawstwa swojego bagna.

– Będzie sądzony!

– Jeden z jego siłaczy natychmiast przyzna się do zabójstwa i pójdzie za kratki zamiast swego pana. Uwierz mi, księżę bez trudu znajdzie ochotnika.

– Ale dlaczego musimy się tak z tym śpieszyć, kochany! – zaczęła błagalnym tonem Ko, zmieniając taktykę. – Nie mam nawet sukni ślubnej. Zawsze myślałam, że ten dzień będzie dla mnie najważniejszym dniem mojego życia! O nie, kochany, nie pozwolę ci zbecześcić tego, co jest w nas święte!

– Do diabła! Z przyjemnością słucham tego, co mówisz. Może naprawdę ci się podobam?

– Szaleję za tobą! Ale – mam nadzieję – nie oznacza to, że musisz się śpieszyć... śpieszyć...

Zabierz te łapy, będę krzyczała! Jeszcze nie wiesz, jak potrafię krzyczeć!

Ponieważ groźby nie pomagały, a narzeczony pochwyił Ko w objęcia i nie zamierzał wypuścić, chyba aż do ślubu, Ko zmuszona była zademonstrować swój wizg.

Narzeczony nie wiedział, że w domu dziecka na wyspie Kuusi odbywały się zawody, wyłaniające mistrzynię wizgu. Zawody te były surowo tępione przez okrutną panią Aaltonen, ale, rzecz jasna, nie była w stanie ingerować w zawody odbywające się na brzegu wyspy wśród skał. Ko niewzruszenie trzymała się w tych zawodach drugiego miejsca, zaraz po Weronice. Ale i ona potrafiła wydawać z siebie wizg dostatecznie silny i przenikliwy. Co prawda nie taki jak liderka – powiadają ludziska, że pewnego dnia w Pietrozawodsku ogłoszono alarm pożarowy, ponieważ wzięto tam wizg Weroniki za odległy sygnał syreny ppoż.

Jeszcze nie zdołały drapieżne palce Artema rozpiąć gorsetu archaicznej sukienki, jeszcze nie dotknęły bioder pięknej kruczowłosej dziewczyny, gdy wydany przez nią wizg, przeniknąwszy przez ścianki statku dotarł to mostku kapitańskiego i do całkowicie izolowanego akustycznie apartamentu księcia Wolfganga, który akurat w tym momencie smarował miodem swoją ukochaną aktorkę filmową Klaudię Martinescu, zamierzając za chwilę w porywie namiętności zlizać z niej całą tę słodycz.

Zaaferowany miłosną grą księżę uznał, że wizg wydaje jego ukochana i niemal ją udusił w porywie gniewu. Aktorkę uratował fakt, że pokrywała ją już gruba warstwa miodu i dlatego udało jej się wymknąć z okrutnych palców tyra.

Tyran zaś pędził korytarzem za nagą i wysmarowaną miodem kochanką, a na spotkanie im mknął przygłuszony i oszalały nieco narzeczony Weroniki.

Niestety, na tym nie skończyły się nieszczęścia wywołane przez straszliwy wizg jeńca. Wystraszony niewiarygodną przenikliwością dźwięku, kapitan Brass zmylił kurs i staranował

niewielki meteoryt, zapisany do Czerwonej Księgi Galaktyki, ponieważ zamieszkiwała go unikatowa rasa glist, mogących obywać się bez wody, pokarmu i powietrza nawet przez czterysta lat. Glisty te rozleciały się po całym Wszechświecie, i teraz znaleźć je można w słońcach i wielorybach wielu planet. W kambuzie statku, słysząc ów wizg, zaskoczony kok upuścił na podłogę sosjerkę z przyprawą do hawajskich homarów, zamówionych przez księcia na obiad. A doktor mucha z przerażenia wzbijała się pod sufit, na co nigdy sobie nie pozwalała, i zaczęła fruwać nad pustym basenem, a potem nawet zaczęła łązić po suficie. W takim stanie znalazł ją skłaniający się ku ożenkowi z nią – chcący mieć darmowego domowego lekarza – tłusty oberszambelan dworu jego wysokości i błyskawicznie się odkochał, ponieważ nie znosił, kiedy ktoś się ponad niego wywyższał.

Nie czas tu i nie miejsce na opis wszystkich nieoczekiwanych przykrości, jakie spotkały statek i jego załogę z powodu głośnego wizgu Ko. Najważniejsze, że wyrwała się z łap rozochoconego narzeczonego. Książę Wolfgang wpadł do jej kajuty wlokąc za sobą miodową aktorkę i zaczął grozić Ko wszelkimi możliwymi karami, ale ta spokojnie wyjaśniła, że nie zamierza wychodzić za mąż bez sukni ślubnej i wcześniej, niż za rok. A jeśli ktoś zamierza wydać ją za mąż wcześniej, to może się zgodzić dopiero po spotkaniu z tatą i otrzymaniu jego błogosławieństwa.

Książę wysłuchał przemowy do końca. Dosmarowywał przy tym wystraszoną kochankę. Wysłuchawszy powiedział tak:

– Moja kochana Weroniko. Cała ludzkość dzieli się na tych, co rządzą i tych, co podporządkowują się kaprysom tych, co rządzą. Ja mam specjalizację – władca. Ty, jak rozumiem, niewolnica. Chociaż potrafisz niesamowicie ohydnie wrzeszczeć. Mam swoje plany. Są one, jak zwykle, wspaniałe. A ty nie możesz zerknąć dalej swego nosa. Potrzebujesz sukni ślubnej? Jutro wylądujemy na Marsie i kupimy ci tam suknię na wymiar. Oczywiście, mógłbym ci zaproponować suknię Clarence, ale, niestety, jest mocno zabrudzona krwią, a na statku nie mamy pralni chemicznej.

– Co to za aluzja? – zdziwiła się Ko, przypomniawszy sobie liścik od Clarence. – Co się z nią stało?

– Ach, drobiazg – machnął ręką książę. – Godnieśmy ją pochowali w przestworzach kosmosu. I miejmy nadzieję, że ciebie ten los ominie.

– Co się stało z dziewczyną? Musicie mi to powiedzieć!

– Na szczęście, nic nie muszę. Klaudio, odwróć się na plecki, wysmaruję ci miodem brzuszek.

Książę zaczął smarować miodem brzuch potulnej aktorki. Mówił przy tym jakby do siebie, nie zwracając uwagi na Ko, chociaż przemowa dotyczyła jej właśnie:

– Moja kochana dziewczeczko. Proszę byś była wytrzymała i nie hałasowała – wysłuchaj starego i niemal mądrego człowieka. Przez całe życie chciałem czynić dobro, a im bardziej się starałem tym mniej ludzie mnie kochali. Najpierw się dziwiłem, oburzałem, teraz się z tym pogodziłem. Dajcie mi kawałek tego świata dla przyjemności, a sobie weźcie całą resztę. Żyjcicie. Rozmnażajcie się! Żyjcicie sobie, a ja będę dobry, będę szlachetny... taka jest moja dewiza życiowa. Ale muszę ci powiedzieć, że już rosyjscy komuniści w połowie dwudziestego wieku wymyślili genialną zasadę, której przestrzegam: „Dobro powinno mieć pięści!”. I druga: „Jeśli wróg nie poddaje się, to musi być zniszczony!”. Wyobrażasz sobie, jacy fajni chłopcy żyli w Rosji? Jaka szkoda, że światowy spisek Żydów i kapitalistów pozbawił ich mocy, podciął ich potęgę i zatrzymał o krok od celu – przecież byli gotowi podbić cały świat... Klaudio, odwróć się na boczek, posmaruję cię za uszkiem. Ach, co za słodycz...

– Zaprzeczasz sobie, wasza wysokość – odezwała się Ko. – Najpierw oświadczyłeś, że nie

potrzebujesz wdzięczności, że dobro jest dla ciebie celem samym w sobie. A teraz zacząłeś mówić o pięściach.

– Bo inaczej ludzie się nie domyślą, że ktoś im zrobił dobrze – powiedział książe. – Tylko ci, co się ciebie boją mogą docenić dobre uczynki...

– A co ja mam do tego? – zapytała Ko rozumiejąc, że rozmowa powoli zbacza na nią i to nie przypadkiem. Przecież książe, zamiast zlizywać miód z aktorki, o czym w duchu marzy, marnuje czas na rozmowy z wizgliwą dziewczyną z Ziemi.

– Musisz mi wyświadczyć przysługę. Przecież nie na darmo uratowałem cię i połączyłem z twoim wspaniałym narzeczonym, który, nawiasem mówiąc, okazał się być moim bratankiem.

– Chcesz, książe, powiedzieć, że trzymałeś bratanka na etacie wuefisty na Wyspie Dzieci?
– Mój bratanek w dzieciństwie wyróżniał się kiepskim zdrowiem, lekarze zaordynowali mu dużo świeżego powietrza. A czy jest gdzieś świeższe powietrze niż nad jeziorem Ładoga?

Anielski uśmiezek nie zniknął z ust księcia Wolfganga Du Wolfa. Różowe policzki błyszcząły, jak wysmarowane kremem. Błękitnawa czupryna była starannie ufryzowana. Książe w zamyśleniu głąaskał aktorkę po nodze, rozsmarowując miód. Aromat dobrego kwiatowego miodu wypełnił pokój. Książe Du Wolf był kłamcą, jakiego jeszcze nie urodziła Galaktyka. Należało postępować z nim bardzo ostrożnie.

– Uratowałem cię. Urządę ci ślub.
– Panie Wolfgang – odezwała się Ko. – Co się stało z Clarence? Kim ona jest?
– Ona jest twoją poprzedniczką. Źle skończyła. Ale mam nadzieję, że ty skończysz dobrze. Jeśli będziesz mnie słuchać. Po pierwsze, umówmy się, że wychodzisz za mąż jutro i nawet bez sukni ślubnej.

– Ale ja już przestałam kochać swojego narzeczonego!
– Boisz się go, skarbie?
– Nie przyzwyczaiłam się do niego.
– Rozumiem – skinął głową Du Wolfe. – Na wyspie to było romantyczne, szumiały sosny i można było całować się o zachodzie słońca, patrząc jak kryje się ono za horyzontem, prawda?

– Prawda.
– A tu nagle żądają od ciebie natychmiastowego ślubu, i to na dodatek bez sukni. Ale nic na to nie mogę poradzić. Sama dobrowolnie uciekłaś z moim bratankiem. Jeśli nie wyjdiesz za niego, to będzie to niezmywalną plamą na honorze naszej rodziny. Ponieważ zaraz po ślubie jedziemy na spotkanie z twoim papciem.

– A dlaczego nie wcześniej? Dlaczego nie zapraszamy go na ślub?
– Dlatego, że lubię niespodzianki. A twojego tatę czeka ogromna niespodzianka.
– Kochany – jęknęła aktorka. – Ja wysycham. Cała skóra mi się ściągnęła. Wylizuj szybciej.
– Już, już, ja też nie mogę się doczekać tej chwili. Możesz odejść, Weroniko. Ale pamiętaj, że dziś wieczorem jest twój ślub, a jutro rano dolecimy do Marsa, gdzie odbędzie się spotkanie z twoim tatą.

Ponieważ książe Wolfgang rzucił się od razu po tych słowach na obnażoną aktorkę i zaczął ją wylizywać, Ko nie pozostało nic innego, jak opuścić kajutę.

Ko nie wiedziała co powinna zrobić. Oczywiście, że nie miała ochoty wychodzić za tego bandytę. Lepsza śmierć niż taki los. Ale z drugiej strony miała nadzieję, że rumiany Wolfgang potrzebuje jej do czegoś innego, że ma ważniejszy, związany z nią cel. Nie wierzyła, że wyciągano ją z Ziemi tylko po to, by zabawić się na weselu.

Ale i tak okropnie się bała. Dokoła statku rozciągały się miliony kilometrów pustej przestrzeni. Nikt nie usłyszy jej wrzasków, wystarczy by książę kazał swojej załodze zatkać uszy watą – i Ko zginie w objęciach Artema albo w szponach Iwa.

Przy obiedzie syty, usmarowany miodem Wolfgang oświadczył, że ślub odbędzie się o szóstej trzydzięci, ceremonię przeprowadzi on sam, jako książę suwerennego państwa, co jest prawnie uzasadnione.

– Mam nadzieję, kruszyno, że nie będziesz się zachowywała tak głupio jak Clarence – powiedział ukazując pięćdziesiąt dwa lśniące zęby. – Jesteś nam potrzebna zdrowa i żywa.

Ponieważ wszyscy przy stole zaczęli usłużnie rechotać, Ko nałożyła sobie sałaty i udała że jest zajęta jedzeniem, chociaż, rzecz jasna, apetyt straciła. Żal jej było tej biednej Clarence i rozumiała, że w jakiś sposób los tej dziewczyny związany jest z jej losem. Ale jak się dowiedzieć szczegółów?

Po posiłku książę Wolfgang Du Wolf oświadczył, że ma zamiar pokazać gościowi swoje taksydermiczne muzeum. Wszyscy dworzanie zaczęli dopraszać się zaproszenia na tę wycieczkę. Książę wybrał jednak tylko najbliższych: oberszambelana, wylizaną aktorkę Klaudię i jej narzeczonego, Artema.

Ko widziała, że wycieczka urządzana jest specjalnie dla niej, dlatego starała prowadzić się uprzejmie i swobodnie, niczym nie okazując, jakie smutne i niespokojne myśli zaprzątają jej głowę.

Kiedy wstali od stołu, narzeczoney władczo objął ją za ramiona i przycisnął do siebie. Ko podporządkowała się i milczała. Niechby się to wszystko szybko skończyło... Lekarki nie było przy stole, pewnie jadła obiad w innym miejscu.

Zanim przeszli do muzeum doszło do zaskakującego incydentu. Wstając od stołu książę obrzucił go wzrokiem i zapytał groźnym tonem:

– Kto wziął srebrną łyżkę?

Zaczęła się krzątanina. Łyżki przeliczano, przekładano z miejsca na miejsce, a książę rozjuszał się coraz bardziej, krzycząc, że przez takich oto złodziei nie może do tej pory zapanować nad własnym globem, że zniszczy złodzieja własnoręcznie. Wszyscy się wystraszyli, szczególnie kiedy na rozkaz księcia do jadalni wbiegli siłacze Du Wolfa i, ustawivszy wszystkich gości twarzą do ściany, przeszukali ich.

Ko nigdy jeszcze nie była przeszukiwana, była raczej zaciekawiona niż wystraszona – jakby trafiła do jakiegoś idiotycznego teatru i przygląda się spektaklowi.

Siłacze napinając mięśnie ryczeli, wywracali kieszenie i zawartość torebek, kobietom rozpinali sukienki, a kiedy atleta posunął się poza granice bezczelności, Ko zwróciła się do narzeczonego:

– Artemie, może byś mnie obronił?

– Ciszej! – syknął przestraszony Artem. – Przecież widzisz, że sam jestem bez spodni!

Wtedy Ko postanowiła sama walczyć o swoje. I kiedy siłacz wsadził jej łapę pod sukienkę, przypomniała sobie jeden z niegłupich chwytów samoobrony – w końcu była prymuską w kółku walk chińskich i tajskich. A przypomniawszy sobie chwyt, Ko zastosowała go w praktyce, a siłacz, widocznie, nie znał tego chwytu. Odleciał więc z wrzaskiem na drugi koniec komnaty i rycząc wyszarpnął zza pasa blaster. Ko zanurkowała pod stół i usłyszała gniewny krzyk Wolfgang Du Wolfa:

– Zwariowałeś, chcesz strzelać w moim domu, w mojej jadalni?

– Boli mnie-e-e-e! – jęczał w odpowiedzi siłacz.

Rozległ się wystrzał i, wysunawszy się spod stołu, Ko zobaczyła, jak wolno opada na podłogę zabity ochroniarz, ten, który chciał ją zabić.

Siedząc pod obrusem Ko zawołała:

– Jeśli szukasz, książę, łyżki, to leży pod stołem u twoich stóp.

Książę zmarszczył się, wsunął blaster za pas i zajrzał pod stół. Wyprostował się z łyżką w dłoni.

– Diabli wiedzą co się dzieje – powiedział. – Nikomu nie można ufać. Nie potrafią znaleźć zwyczajnej łyżki. Migiem mi – wszyscy won stąd! I zabierzcie ze sobą trupa. Porozrzucali mi tu jakieś trupy...

Siłacze w milczeniu chwycili ciało swego kolegi i wynieśli z jadalni.

Książę przeprosił gości i od razu zapomniał o incydencie. Powiedział tylko do Ko:

– Pokażesz mi kiedyś ten chwyt. Jest bardzo skuteczny.

Z tymi słowy poszedł do wyjścia. Szambelan i aktorka – za nim. Wrona wylądowała mu na ramieniu i z ukosa zerknęła na dziewczynę. Narzeczonego popchnął Ko, żeby szła za nimi.

Ogólnie to stał się jakby mniej bezczelny. Może podziałała nań śmierć atlety?

Pomaszerowali długim korytarzem, zeszli o jeden poziom niżej, i tam, wyjąwszy z kieszeni niewielki złoty kluczyk, książę otworzył drzwi z tabliczką:

Taksydemiczne muzeum imienia księcia Wolfganga Du Wolfa.

Książę nie cierpiał z powodu nadmiaru skromności.

Wolfgang sam włączył światło, Ko weszła za nim do obszernej niskiej sali, eksponaty której naprawdę mogły rzucić na kolana dowolne muzeum kosmicznych kuriozów.

Na podstawkach, pod kloszami, zwieszając się z sufitu, stojąc na postumentach prezentowały się w muzeum setki różnych eksponatów, wykonanych naprawdę wspaniale, starannie i z profesjonalną zręcznością. Były tu zwierzęta i ptaki znane Ko z książek i filmów, niektóre były całkowicie nieznane, albo mogła tylko domyślać się, że ten oto włochaty stwór podobny do dużego centaury, w rzeczywistości jest kintorasem zwykłym, który wyginął na Kulopetrze mniej więcej dziesięć lat temu. Książę Wolfgang Du Wolf z dumą prowadził gości od gabloty do gabloty, a ci udawali, że są tu po raz pierwszy.

– Wszystko to zginęło z mojej ręki – oświadczył książę nadymając się z dumy. – Każdego zwierza powalam twarzą w twarz...

– Tego motylka też? – zapytała Ko wskazując cudownego motyla z metrowymi skrzydłami.

– Tego motyla schwytałem w lesie Bezgranicznym, ale żeby wytropić go i schwytać w siatkę, przeszedłem pieszo około czterystu mil, chorowałem na trzy śmiertelne gorączki, w dwóch potyczkach z tubylcami straciłem sześćdziesięciu ludzi i, prócz tego, wracając do domu, zmuszony byłem do ucieczki przed dwoma patrolowymi krążownikami Zarządu Ekologicznego, ponieważ ten motylek, jak na złość, był ostatni w całym Wszechświecie.

Dokoła wszyscy zaśmiali się usłużnie.

– Wstyd mi za pana – powiedziała Ko.

Książę Wolfgang dobrodusznie rozłożył ręce.

– Skąd miałem wiedzieć, że to ostatni? Zawsze mi się wydawało, że są jeszcze trzy czy cztery. A teraz, moje dziecko, pokażę ci żmiję, której jad może zabić stado słoni, a sploty zadusić niedźwiedzia.

Żmija rzeczywiście robiła wrażenie.

Ko patrzyła na nią i zastanawiała się, po co tak naprawdę przyprowadził ją tu książę. Przecież nie po to, by pochwalić się motylkiem czy żmiją – nie tak znowu znaczną w jego oczach postacią jest Ko, by urządzać dla niej cały ten spektakl. Ko, bądź gotowa na najgorsze – zaraz znowu będą cię straszili...

Wyczuła zbliżanie się tej chwili po zachowaniu obecnych. Nagle wszyscy umilkli. A sam książę roześmiał się cicho, był to dziwny śmiech, taki gardlany, jak gruchanie gołębia.

– Muszę przyznać się – oświadczył przestając się śmiać – że po moim taksydermicznym muzeum oprowadzam tylko nielicznych i wybranych. Na przykład, twojemu przyjacielowi Milodarowi wstęp wzbroniony. I to nie dlatego, że czuję się w jakiś sposób winny. Nic podobnego – jestem wszak uznanym przywódcą suwerennego państwa i według mojego prawa mogę wykonywać egzekucje i darować życie. Oto, na przykład...

Książę Wolfgang zrobił krok w bok – krok był odmierzony i dobrze obliczony – przed oczami Ko stanęła naga postać młodej dziewczyny, czarnowłosej, kędzierzawej, uśmiechniętej. Uniósłszy rękę dziewczyna przytrzymała koniuszkami palców krnąbrne kędziory, jakby nadleciał właśnie podmuch wiatru i zburzył je.

– Co to jest? – Ko zabrakło tchu w piersi.

– Ekspонат. Wypchany – powiedział książę i z zadowolenia aż zmrużył niebieskie oczka. – Najzwyklejsza kukła z popularnej i nie chronionej przez Czerwoną Księżę rasy Homo Sapiens. Mogę więc spać spokojnie. W odróżnieniu od motyla, upolowanie którego zarzuciłaś mi młoda damo, ta dziewczyna w żaden sposób nie zakłóci bilansu żywych sił w przyrodzie.

– Zabił ją pan? – Ko zaczęła się trząść ze strachu i żalu, do jej oczu napłynęły łzy.

– Musieliśmy ją ukarać! Sama jest sobie winna – nie chciała nam pomóc w tej sprawie, w której ty nam tak skutecznie pomagasz.

– Jak to ukarać! – zapytała wstrząśnięta Ko. – Zabić?

Ko nie chciała, nie mogła więcej patrzeć na tę postać, ale nie mogła też oderwać od niej oczu. Gruby oberszambelan, wybierający miejsce, z którego lepiej można było przyjrzeć się Clarence, odepchnął Ko, i ta nagle spotkała się spojrzeniem z dziewczyną. Oczy Clarence były niespodziewanie żywe, szeroko otwarte i przesłonięte długimi rzęsami. W spojrzeniu zamarło niezadane pytanie: „Dlaczego jestem tutaj? Co się stało?”

– Ach, jak dobrze ją pamiętam – zahuczał tłusty szambelan. – Grałem z nią w warcaby. Kiedy wygrywałem zawsze się obrażała. Jak dziecko.

– Bo to i było dziecko – odezwała się Klaudia. – Nie uwierzycie mi. Kiedyś przy obiedzie dużo się żartowało, opowiadaliśmy jakieś dowcipy, a ona słuchała, słuchała, a potem pyta się mnie: powiedz, Klaudio, skąd się biorą dzieci? No, nie miała więcej niż szesnaście lat.

– Bzdury – Artem uśmiechnął się tak bezczelnie i wstrętne, że Ko gotowa była go zabić – zaraz powie coś ohydneho! – Bzdury! Spałem z nią. Najpierw wrzeszczała, a potem przywykła.

– Zamilcz – przerwał mu nagle rumiany ksiązę, w zamyśleniu skubiący zębami duży piernik, okruchy sypały się na podłogę. – Łzesz, żeby mi zrobić przyjemność. A ja nie potrzebuję twojego kłamstwa. Dziewczyna była naiwna i czysta. Klaudia ma rację, że do końca życia nie wiedziała, co się dzieje. I ja ją kochałem. Po swojemu, nie stale, ale kochałem. Tak więc proszę bez wulgarności.

– Żartowałem – od razu przyznał się Artem. – Każdemu może się zdarzyć.

– Mnie nie – zauważył Wolfgang Du Wolf. – Kulturalnym ludziom to się nie zdarza.

Spojrzenie Ko trafiło na palce stóp dziewczyny. Takie małe paluszki, takie starannie obrobione paznokietki, a na dużym palcu niewielka biała blizna – kiedyś skaleczyła się, i teraz na zawsze... na wieki.

– Zabiliście ją – cicho powiedziała Ko.

– To nie jest takie proste! – gwałtownie odezwał się ksiązę. – Nie upraszczaj. Zawaliła całą operację. Dlatego musiała zniknąć. To było politycznie niezbędne.

– Co to za konieczność, która pozwala na zamordowanie dziewczyny... – Ko zupełnie zapomniała, że sama znajduje się w takim samym położeniu, jak Clarence. Ale ksiązę o tym pamiętał.

– Clarence z własnej głupoty – powiedział – pozwoliła sobie zdemaskować. Przyznała się, że jest samozwańcem. Nie wyobrażasz sobie, jakie środki i wysiłki zostały włożone w tę operację. I wszystko to psu pod ogon! – Ksiązę naprawdę się zdenerwował. – Dostała to, na co zasłużyła. Niech się cieszy, że trafiła do takiego dobrego muzeum. Mogła skończyć na śmietniku.

– Przyprowadził mnie pan tu, żeby zastraszyć? – zapytała Ko.

Ksiązę udał, że nie usłyszał jej pytania i perorował dalej, delikatnie i śpiewnie modulując dźwięki:

– Popatrz, jak udało mi się utrzymać świeżą barwę jej cery! Hitlerowscy oprawcy potrafili z ludzkiej skóry wyrabiać tylko abażury i portmonetki. Ale ja nigdy nie zniżałem się do takich użytkowych przedmiotów. Dla mnie taksydermia to sztuka wysoka. Straciłem dwa tygodnie niekończącej się, bezsennej pracy, by obrobić jej skórę i włosy metodą mauzoleum moskiewskiego. I jak ci się podoba wynik?

– Genialne! – wyrwał się szambelan.

– Tylko oczka musiałem zamówić na zewnątrz. Oczka zrobili mi z białego marmuru, a źrenice z akwamarynu. Może powiesz, że mi się nie udało, co?

Clarence patrzyła na Ko żywymi oczami, a ta ze strachu nie mogła się nawet rozplakać.

A otaczający ich – i Klaudia, której wcale nie było do śmiechu, i oberszambelan, który napatrzył się już w swoim życiu i do wszystkiego przywykł, nawet Artem klaskali w dłonie, zachwyceni, jakby znajdowali się na turnieju w Wimbledonie i oklaskiwali udane zagranie księcia Wolfganga.

– Proszę mnie stąd wypuścić! – krzyknęła Ko. – Nie mogę tu już wytrzymać!

Wrona poderwała się z ramienia księcia i ogłuszająco trzepocząc skrzydłami odleciała w mrok.

– Ach, jak mi smutno, jak smutno! – odezwał się Wolfgang Du Wolf. – Ale jestem przygotowany na takie zachowanie naszej narzeczonej. Jest bardzo zdenerwowana, bo jest zakochana w moim bratanku, płonie chęci połączenia się z nim pod jedną kołdrą. I – co najważniejsze – czeka na

spotkanie ze swoim ukochanym papciem, który porzucił ją wiele lat temu! Teraz rozchodzimy się po kajutach i przygotowujemy do ślubu, do wielkiego, szczerego i miłego święta! Za dwie godziny oczekuję wszystkich w głównej sali statku. Spóźnialscy poddani będą bezlitosnym batom. Skończyłem. A ty, Weroniko, obejrzyj się i przypatrz dobrze jeszcze raz Clarence. Nie wydaje ci się, że jesteście do siebie podobne?

W kajucie czekała na Ko ciemnoskóra mucha; wydawała się teraz jeszcze bardziej szczupła, krucha i smutna niż wcześniej.

– Jak tam pani rany? – zapytała patrząc na dziewczynę wypukłymi oczyma, podzielonymi, jak u ważki, na mnóstwo faset; światło lamp, odbijając się od nich, powodowało, że błyszczały mnóstwem kolorów.

Mucha przechwyciła spojrzenie Ko i zauważyła:

– Właśnie moje spojrzenie wydało mu się egzotyczne. A ja uwierzyłam w jego miłość i zostałam z nim, kiedy mój rój odleciał do ciepłych krajów. Teraz mam odciętą drogę powrotu.

– A czy byłaby pani szczęśliwa, pozostawszy wśród swoich? – zapytała Ko.

– Nie, w żadnym wypadku! – odparła mucha. – Wyrwałam się z prymitywnego świata owadów. Niech mi będzie gorzej, ale znajduję się obok tego, którego kocham i nienawidzę.

– Ciągle jeszcze pani kocha Wolfganga?

– Nienawidzę go, ale nie mogę pokonać swojej pierwszej miłości – przyznała mucha.

Mówiąc tak wyjęła z kieszonki na piersi notes i ostrym pazurkiem napisała:

„Komisarz przekazuje: Ziemia ma nadzieję, że spełnisz swój obowiązek”.

Podala notes Ko, a ta, chwyciwszy z półeczki pod lustrem szpilkę, wydrapała na pobielalej znowu kartce:

„Nic nikomu nie jestem winna”.

Napis widniał na kartce przez kilka sekund, a kiedy zbladł i zniknął, mucha napisała na ponownie czystej kartce: „Komisarz Milodar ma nadzieję, że pamięta pani o straszliwej śmierci niewinnego Artema, o smutku przyjaciółki Weroniki, a także o honorze Wyspy Dzieci”.

– To ostatnie to już przesada – powiedziała głośno Ko i mucha drgnęła przestraszona: jej oczy powiększyły się trzykrotnie, a koniuszki widocznych spod kitla skrzydeł zadygotały.

„Proszę nie zapominać, że jesteśmy podsłuchiwani – napisała mucha. – Komisarz aktywnie poszukuje pani rodziców. Proszę wychodzić za mąż, nie bać się niczego – komisarz w myślach spędzi noc obok waszego łoża małżeńskiego. W razie czego – dysponuje pani wizgiem! Narzeczony nie ośmieli się pani tknąć. Pomoże w tym pani lekarz”.

– Pani mi pomoże? – zapytała Ko.

– Na wszystko przyjdzie czas. Ale może pani na mnie polegać – skromnie odparła mucha.

„Kim była Clarence? Dlaczego została zabita?” – napisała Ko.

„Była cyrkową akrobatką. Chcieli wykorzystać ją w tym samym celu, co ciebie. Ale kiedy profesor Du Couvre odgadł ich plany, spiskowcy zaaranżowali nieszczęśliwy wypadek i zabili Clarence, żeby ich nie zdemaskowała”.

„Ale jak można przechowywać wypchanego człowieka w muzeum?”

„Ja nic o tym nie wiem. Nigdy nie słyszałam o muzeum – napisała w odpowiedzi mucha. – Przy pierwszej okazji proszę o tym zameldować szefowi”.

– Pani ranki zagoiły się – powiedziała na głos. – Nie będę już pani potrzebna.

– Ale ja się tak denerwuję – drżącym głosem powiedziała Ko. – Proszę dać mi jakiś środek od strachu.

– Dobrze, proszę – lekarka położyła paczkę tabletek na stoliku przy łóżku Ko. – Dwie tabletki przed snem.

I natychmiast napisała na kartce swojego notesu: „Wrzuć dwie tabletki do szklanki mleka swojego narzeczonego. Będzie spał jak mucha w zimie”.

Ko doceniła poczucie humoru lekarki, powiedziała szczerze:

– Nie ma pani pojęcia, jak jestem wdzięczna. Teraz wszystkie moje lęki mnie opuszczają.

Z cichym brzęczeniem mucha wyszła z pokoju. A może tylko wydawało się Ko, że lekarka brzęczy, ponieważ muchy zazwyczaj brzęczą poruszając się.

Wiadomo było, że suknia ślubna przygotowana została dla nieszczęsnej Clarence i była przesiąknięta jej krwią; Ko udała się więc na swój pierwszy ślub w tej sukni, w której pojawiła się na śniadaniu. Widocznie zapas sukien w jej rozmiarze był na „Sanssouci” ograniczony. Co prawda, wylizana Klaudia i dwie fotomodelki, od których zalatywało muszkatelem i wanilią, zdobyły dla siebie gdzieś wspaniałe toalety, ale Ko im nie zazdrościła, ponieważ, mimo swego młodego wieku, miała trzeźwe spojrzenie na świat, a spojrzenie to przekonało ją, że przewyższa pozostałe dziewczyny na pokładzie książęcego statku urodą, elegancją, wytwornością, klasą i innymi kobiecymi cechami, które natura serwuje skąpo i bardzo nierównomiernie. Dziewczyny udawały, że nie dostrzegają tego, a sam książę Wolfgang Du Wolf po raz kolejny wyznał swój zachwyt i powiedział do panny młodej:

– Jaka szkoda, że nie jesteś słodka. Ale to nic, po ślubie dołączymy cię do haremu.

Ko przemilczała jego słowa. Zbędne kłótnie z apodyktycznym tyranem nie były jej do niczego potrzebne.

W dużej sali pod kryształowym świecznikiem zebrała się cała populacja „Sanssouci”, nie licząc, rzecz jasna, załogi i ochrony. Wśród zaproszonych Ko dostrzegła kapitana Brassa i pomachała do niego ręką. Zsalutował jej, uśmiechnąwszy się od ucha do ucha.

– Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek wcześniej – oświadczył.

Stół został usunięty, pod nóżki tronu, na którym zasiadał książę, podłożono kilka grubych tomów w biblioteki szturmana, i dlatego książę znacznie przewyższał tłum zebranych dworzan.

Ko stała obok pana młodego, wbitego we frak, z muchą na szyi. Pachniał jakimiś słodkimi perfumami.

– Uważaj – powiedziała Ko, kiedy wziął ją pod rękę i zaczął prowadzić w kierunku tronu. – Bo się książę dorwie do ciebie.

– Nie rozumiem – odpowiedział szeptem pan młody.

– Zbyt słodko pachniesz. Możesz trafić do grona faworytów.

– Tego właśnie pragnę – cynicznie przyznał młodzieniec.

– To nie jest twój rodzony wuj?

– To jest taki sam mój wuj, jak twój rower – zagadkowo dość odparł pan młody. – Pracuję dla niego, i tyle.

– Jak im się udało przerobić ciebie na Artema z Wyspy Dzieci? Zrobili ci operację plastyczną?

– Co? O czym ty mówisz? Jaką operację?

I w tym momencie Ko zrozumiała, że odprężyła się przesadnie i fatalnie wygadała.

– Żartuję, nie słuchaj – powiedziała szybko. Ale oczy narzeczonego były zimne i złe. Nie uwierzył jej. Jakże można było tak się zapomnieć! Komisarz Milodar nie będzie jej chciał znać po tej wpadce.

Książę Wolfgang zaklaskał w pulchne dłonie.

– Moi słodcy, miodowi i wiśniowi! Proponuję byśmy szybko skończyli z tym ślubem i przeszli do uczty. Bo cóż jest przyjemniejszego na świecie, niż złamanie wszystkich chrześcijańskich przykazań. Chwała cudzołożnikom! Chwała obżartuchom!

Nie posunął się do tego, by powiedzieć – chwała zabójcom, mimo że był też obrzydliwym zabójcą. Ko przechwyciła jego wyrachowane, na sekundę zmętniałe spojrzenie. Spojrzenie było kleiste, jakby książę już w myślach oblał ją ciepłym syropem i zrobił z niej kolejny swój cukierek.

– Papiery, dawać tu papiery! – krzyknął. – Na co czekacie!

Oberszambelan podał władcy teczkę. Ten otworzył ją i oparł na obciążonych spodniami z łosiej skóry udach.

– Na życzenie państwa młodych, których uratowałem od więzienia na przeklętej Ziemi, zdecydowałem z mocy danej mi przez bogów i ludzi władzy podarować im szczęście. Dlatego pozwalam im wstąpić w związek małżeński na pokładzie statku flagowego „Sanssouci”. I proszę zauważyć, że ślub odbywa się w obecności licznych członków mojej świty i oficerów statku, tak więc będzie uznany w każdym urzędzie notarialnym Wszechświata i jeśli ktoś z was, państwo młodzi, rozczaruje się co do małżonka i odstąpi od danego tu słowa, to w najlepszym przypadku zginie marnie, pozostawiwszy cały swój majątek małżonkowi. Jasne?

Ko wzruszyła ramionami. Przemówienie całkowicie nie pasowało do chwili, ale też i nie słuchała go uważnie. W małej srebrnej torebeczce leżał flakonik z opłatkami przekazanymi przez Vanessę. Sama zaś lekarka wpełzła po suficie z sąsiedniej sali i zamarła przy nadprożu. Biały kitel zwisał jak stora.

– Mój poddany, mój przybrany bratanku, który czasowo przybrałeś na Ziemi miano Artema Ter-Akopjan, a w rzeczywistości zwać się według naszych dokumentów Arturem Du Grossi, czy zgadzasz się pojąć za żonę Weronikę Du Couvre?

– Zgadzam się – głośno, jak na paradzie odpowiedział pan młody.

Wziął Ko za rękę i przyciągnął ku sobie. Błysnęły flesze aparatów fotograficznych.

Fotografujcie, fotografujcie sobie, pomyślała Ko, im więcej będzie pamiątkowych zdjęć, tym łatwiej będzie mi udowodnić, że nie jestem Weroniką Du Couvre. Tak więc mój ślub będzie nieważny. Chociaż w jakiś tam sposób wyszłam za mąż wcześniej od wszystkich dziewczyn w naszej klasie. Co prawda, nie zamierzam sprawdzać, czym to pachnie tak naprawdę... Ale wiele z koleżanek pękłoby z zazdrości. Nie dość, że uciekłam z przeklętej wyspy Kuusi, od pani Aaltonen i jej grona nauczycielskiego, nie dość, że latam sobie na wspaniałym statku kosmicznym, znam prawdziwego tyrana, a mój pierwszy mąż jest jednym z przystojniejszych facetów, jakich przyszło mi widzieć nie tylko na wyspie, ale nawet w magazynach ilustrowanych.

– Mówże! – krzyknął książę.

– Co? – zdziwiła się Ko.

– Przecież pytałem, czy chcesz związać całe swe pozostałe życie z Arturem Du Grossi?

– Kogo pan pyta? – możliwie głupim tonem zapytała Ko.

– Ciebie pytam, idiotko, ciebie. Weronikę Du Couvre.

– Ja, Weronika Du Couvre – powiedziała Ko możliwie głośno i wyraźnie – zgadzam się oddać rękę i serce Artemowi Ter-Akopjanowi. Ale nie jestem pełnoletnia. I dlatego nie jestem pewna, czy ta ceremonia jest legalna.

Ko świetnie rozumiała, że te słowa nie podziałają na bandziorów. Ale nie mogła się powstrzymać, by nie podrażnić się z nimi.

– Moja ty słodka – rozczulił się książę Wolfgang. – Jakież ty masz szczęście! Moi prawnicy przygotowali dla ciebie odpowiedni dokument.

Wyciągnął rękę w bok i oberszambelan włożył w jego pulchną dłoń zwój żółtego papieru. Książę rozwinął go i, nie kryjąc uśmiechu, przeczytał:

„Zaświadczenie. Niniejszym zaświadcza się, że w chwili obecnej dziewica Weronika Du Couvre, urodzona na Marsie trzynastego października dwa tysiące sto siedemdziesiątego roku, to znaczy siedemnaście lat i trzy miesiące temu, od dziś uważana jest za pełnoletnią i ma prawo sypiania z ukochanym mężczyzną, poczynania dzieci, dokonywania aborcji i poronień, jeśli tylko będzie tego chciała. Podpisano: Książę Wolfgang Du Wolf, władca Srebusa. Medyczne zaświadczenie: Doktor Vanessa Du Insectida”

Książę rozejrzał się.

– A gdzie jest nasza kochana lekarka?

– Tu jestem – słabo odezwała się spod sufitu lekarka.

– Potwierdzasz, mój owadzie, prawdziwość tego dokumentu?

– Potwierdzam – powiedziała lekarka i zaczęła pełznąć po suficie do wyjścia.

– W takim razie, Weroniko, możesz robić dzisiejszej nocy z moim bratankiem, co ci się tylko zamarzy. Ale nie zamęcz go na śmierć, jeszcze nam się tu do czegoś przyda.

I książę zarechotał, a dołączyli do niego wszyscy obecni w sali pochlebcy. Dworzanie rechotali głośno i wesoło, starając się, by władca zauważył, jak świetnie zrozumieli jego doskonały dowcip, a fotomodelki i słodkie dziewczuszki uśmiechały się krzywo, obawiając, że jak nie dziś, to jutro, książę sprawi sobie nową słodziutką kochanicę – Weronikę Du Couvre.

Ko zabrała zaświadczenie o pełnoletniości i wykonała uprzejmy dyg przed księciem.

– A teraz – uczta! Słodka i wesoła, panie i panowie! – wrzasnął Wolfgang Du Wolf. – Bo inaczej pęknię z litości do siebie albo uschnę z głodu!

Drzwi otworzyły się szeroko, słudzy wtoczyli długie stoły na kółkach. Stoły ugiwały się od półmisków, sosjerek, garnków i talerzy – zaczęła się uczta na cześć nowożeńców: Weroniki Du Couvre z nie wiadomo kim. Przecież jeśli Artem nie jest Artemem, to niewykluczone, że i miano Artur Du Grossi też jest guzik warte.

W trakcie uczty weselnej książę Wolfgang, który sam pożarł tort wielkości koła samochodowego, pochylił się do ucha Ko, siedzącej po jego prawicy i wyszeptał, nie zważając na wypadające mu z ust na ramię dziewczyny kawałeczki kremowego tortu:

– Patrz, co zaraz zrobię. Ale milcz.

Nie przestając zażerać się tortem, rumiany książę wyjął z górnej kieszonki mały flakonik i, gdy siedzący po jego lewej ręce Artur Du Grossi odwrócił się, skuszony uśmiechem fotomodelki, wsypał z flakonika do pełnego kielicha pana młodego kilka ziarenek.

– Teraz – powiedział – twój ukochany zaśnie snem sprawiedliwego zaraz po tym, jak ułoży się w łóżku. Tak więc możesz spać spokojnie i nie używać tego swojego wizgu, który zakłóca spokój na statku.

– Dziękuję – powiedziała Ko, dotykając w torebce otrzymane od kobiety muchy pastylki.

Artur Du Grossi podniósł swój kielich, wpatrzony w fiołkowe oczy modelki, a ta zawołała do niego:

– Do dna, mój skarbie!

Pan młody z przyjemnością osuszył kielich, a słudzy natychmiast napełnili go po brzegi.

Wolfgang zajął się zażarciem tortem, a Ko zobaczyła, że po suficie znowu pełźnie kobieta lekarz w białym kitlu, niemal niewidoczna z dołu, szczególnie, że nikomu nie przychodziło do głowy patrzeć na sufit. Kiedy mucha znalazła się nad głową Artura, dokładnie wycelowała i wrzuciła do jego kielicha trzy tabletki. Wino zapieniło się.

Pan młody chwycił kielich i wypił zdrowie aktorki Klaudii, na policzkach której jeszcze było widać ślady miodu.

– Postanowiłam zadziałać prewencyjnie – wybrzęczała mucha podpełzając po suficie do Ko. – Twoja cześć zostanie zachowana.

Osuszywszy kielich, pan młody skrzywił się lekko – być może pastylki były gorzkie – i popatrzył na Ko.

– Proszę cię – bez wizgu dziś, dobrze? – poprosił czułe. Oczy miał mętne. – Tak pragnę posiąść ciebie...

– Nie uda ci się, bydlaku – rozległ się niski kobiecy głos. – Obiecałeś, że się ze mną ożenisz w ubiegłym roku.

Ko rozejrzała się zdziwiona, zobaczyła pulchną postawną dziewczynę w skromnej sukience kelnerki.

Kobieta chwyciła pusty kielich Artura i za jego plecami napełniła go ponownie, a następnie, nie stawiając na stole, wsypała do kielicha jakiś proszek.

– Będziesz spał przez całą noc poślubną – mściwie wyszeptała kelnerka.

Ko udawała, że nic nie widzi i nie słyszy. Ale gdy w czasie deseru pan młody płaczącym się językiem oświadczył, że chyba trochę przesadził, zaproponowała, że udadzą się na spoczynek.

– Idziemy – zgodził się pan młody.

Usiłował pocałować pannę młodą, ale spudłował i pocałował ramię księcia Wolfganga.

– Działaj – rzucił zadowolony władca. – Możesz spać spokojnie. Potrzebujesz pomocy?

– Jakby co, to usłyszysz, księżę wizg – odparła Ko.

Księżę roześmiał się wesoło i zabrał do dojadania tortu.

Ko pomogła małżonkowi wstać od stołu.

Odprawdzani frywolnymi żartami i pijanymi odgłosami, państwo młodzi opuścili salę.

Kiedy mijali kelnerkę ta przeszła Ko nienawistnym spojrzeniem.

– Nie obawiaj się – powiedziała Ko do zazdrośnicy – on już zasypia.

– Kto, pardon, ma możliwość zaśnięcia? – zapytał Artur Du Grossi. – Ja zaraz szybciotko pozbawię cię czci – i lulu, dobrze?

Wyszli na korytarz. Jeden ze służących szedł przodem, wskazując drogę do apartamentu nowożeńców. Otworzył drzwi i pomógł Ko doprowadzić małżonka do łóża.

– Dziękuję, jesteście wolni – odważnie oświadczyła Ko służącym, kiedy Artur dotarł do łóża.

I miała rację. Gdy tylko drzwi za służącym zamknęły się, młody małżonek wyciągnął się na łóżu i zachrapał tak okrutnie, że Ko zmuszona była, umywszy się, przeciągnąć go do łazienki i tam zamknąć. Dopiero potem udało jej się spokojnie zasnąć.

Co prawda, licho nie śpi, zablokowała więc drzwi do łazienki ciężkim fotelem i nie rozbierała się...

Ale do rana nikt jej nie niepokoił.

Artur Du Grossi spał również rano, kiedy Ko przyszła na śniadanie, przy którym była miła, uprzejma i w żaden sposób nie okazywała skrępowania czy zdenerwowana nocnymi przygodami. Spał w ciągu dnia, kiedy statek „Sanssouci” wylądował na Marsie, gdzie, według zapewnień księcia Wolfganga, Weronika miała się spotkać ze swoim ojcem.

Tak więc kolejną rozmowę wychowawczą z młodą żoną przeprowadził sam książę Wolfgang. Jadł przy tym konfitury i przypominał jej starożytną ilustrację do klasycznej opowiadanie o małym Karlssonie, który mieszkał na dachu i jadł konfitury. Tamten wycyganiał od przyjaciela słoiki z tym smakołykiem i pożerał je całymi tuzinami.

– Konfitury – oświadczył Du Wolfe – muszą być domowe. Człowiek musi wyczuwać każdą jagódkę, trzymaną wcześniej w kobiecych paluszkach – pięknych, słodkich paluszkach, umazanych sokiem. Każdy owocek był pieszczony, przed wrzuceniem do wrzącego syropu. Przy okazji, podziękuj mi, że uratowałem cię tej nocy.

– Dziękuję – krótko odpowiedziała Ko, nie wdając się w detale.

– Coś za długo śpi – domyślnie zauważył Wolfgang. – Może ty też mu coś dodałaś?

Ko wzruszyła ramionami.

Gabinet roboczy Wolfganga urządzony był na wzór starej piwnicy z półkami na dwóch ścianach. Na półkach stały słoiki, butelki, worki i pudełka z konfiturami, syropami, orzeszkami, cukierkami i innymi artykułami, całkowicie niezbędnymi do normalnego funkcjonowania księstwa.

Sam Wolfgang czerpał konfitury stołową łyżką, po czym pakował je do ust, cmokając i sapiąc. W tej chwili był bajeczną, dobroduszną, miłą osobą, gdyby nie fakt, że był jednocześnie okrutnym zabójcą.

– Nawet nie wiem – oświadczył oblizując łyżkę – jak się do ciebie zwracać. Per Weronika Du Couvre czy madame Du Grossi?

– Czy to ma znaczenie dla mojego taty?

– Być może, być może... Pamiętasz go?

– Raczej nie. Jak wiesz, książę, miałam nieco powyżej dwóch lat, kiedy znaleziono mnie w kontenerze śmietnika w Nowym Jorku. Płakałam i usiłowałam wydostać się z niego.

– Przestań natychmiast! Brakuje tylko, żeby każda dziewczucha psuła mi apetyt! Nie myśl, że pożeram słodycze dlatego, że jestem durniem. Żrę, bo mam nienormalny metabolizm. Mój organizm domaga się stałej dostawy cukru. Bez cukru mózg mi wysiada, jest głodny, a ja katastrofalnie głupieję. Kiedyś musiałem przeżyć tydzień bez cukru i zapomniałem ile jest dwa razy dwa. Ale jestem wystarczająco mądry, by przekształcić trywialną potrzebę w nieustające święto z odchyleniem erotycznym. Kiedyś wysmarowałem syropem malinowym pewną nieposłuszną kobietę, a potem położono ją przy gnieździe os. Popatrzyłabyś sobie, jak spuchła przed śmiercią!

Ko zwalczyła falę mdłości i, z trudem wzięwszy się w garść, poprosiła:

– Mam przed sobą spotkanie z ojcem. Chciałabym wiedzieć, jak udało ci się, książę, go odszukać?

– Chodzi o to, że tak naprawdę, to kocham swojego nieżyłowego bratanka. Artur to ladaco, a ja chcę zapewnić mu szczęście. Niech się bogato wżeni i usatkuje. Chcesz konfitur, mądralo?

– Nie, dziękuję.

– Nikt mi nie odmawia.

– Przecież nie po to zostałam wezwana, by jeść konfitury?

– Moje prawdziwe myśli są zagadką. Moje czyny są nielogiczne, moje decyzje prowadzą do tragedii. Naprawdę zakochałaś się w moim bratanku?

– Zaangażowałam się na Wyspie Dzieci. Teraz... nie wiem.

– Miło mi, że przynajmniej mnie nie oszukujesz. Wszyscy dokoła kłamią. Jedni dla jakichś korzyści, inni ze strachu. Czy on ci się wydaje inny?

– Właśnie. Jakiś całkowicie inny. Jakby mi go ktoś zamienił... Wasz Artur nie wie prostych rzeczy, jakie wiedział Artem. Jak można to wytłumaczyć?

Ko wyglądała jak wcielenie niewinności i ufności. Ale książę nie zamierzał odpowiedzieć jej tym samym.

– Nie wolno tak mówić o prawowitym małżonku – odpowiedział i z żalem odstawił słoik. Kaszlnął i natychmiast z głębin piwnicy wyłoniła się znana już Ko kelnerka, która niosła wielki kubek czarnej kawy. Zapach był bajeczny. Na Wyspie Dzieci kawa była bezkofeinową lurą, ponieważ pani Aaltonen uważała, że prawdziwa kawa zbyt podnieca dzieci. Ko zapragnęła, by i ją poczęstowano takim przyjemnym napojem, ale nikomu nie przyszło to do głowy. Szczególnie, że kelnerka patrzyła na nią wzrokiem kobry, która jeszcze nie wie jak skuteczniej wbić swoje zęby jadowe w przebiegającego obok skoczka.

– Prawowitego męża darował ci Bóg, czyli ja – powiedział Wolfgang siorbiąc kawę. – Jest jak los. Jedyne w czym ci mogę pomóc, to przytrzymać go na dystans, póki nie zobaczysz się z ojczulkiem.

– Dziękuję – powiedziała Ko. – Nie spodziewałam się takiej troski.

Książę w zamyśleniu podrapał się po wypukłym, okrytym liliowym szlafrokiem brzuchu.

– Będę z tobą szczery – powiedział. – Z dziećmi i dziewczynami szczerowość dziwnie często się opłaca. Podobasz mi się. Jak się zapatrujesz na to, by zostać moim słodkim dziewczątkiem?

– A co to oznacza? – Ko domyślała się, ale wołała udawać głupiątko.

– Jak zostaniesz, to się dowiesz – roześmiał się książę.

– Nie rozczarujesz się. Dużo już takich było i wszystkie były mi wdzięczne.

– A mój tatuś? Tatuś nie będzie zadowolony. – O mężu nawet nie wspominała, wiadomo było, że to pionek w łapkach księcia.

– Jesteś dorosłą, zamężną kobietą – powiedział książę. – Twój ojciec, człowiek rozsądny, musi wyrazić zgodę na twoje życie prywatne. Bo w innym przypadku... w innym przypadku podamy go do sądu! – Taki pomysł rozśmieszył księcia. – Profesor Du Couvre! Sądzi się z księciem Wolfgangiem Du Wolfem z powodu moralnego poziomu jego córki, madame Du Grossi. Wyobrażasz sobie?

– Mój tata jest profesorem?

– Profesorem, profesorem... I cieszy się słabym zdrowiem. Trzeba na niego chuchać i dmuchać. Im później się dowie, że jego córka wyszła za męża, tym lepiej dla jego zdrowia.

– Nie rozumiem, dlaczego mam go okłamywać.

– Z takiego oto powodu – zaczął wyjaśniać ksiązę – że twój ojciec jest podejrzliwym i nieufnym bydlakiem. Już raz niemal dostał ode mnie córkę, teraz dmucha na zimne. Uważa, że ja, ksiązę ze starego rodu, mogę być oszustem i kłamcą! Co za podłość!

Książę zdenerwował się i zaczął przemierzać pomieszczenie, założywszy za plecami pulchne różowe ręce.

– A co się stało? – zapytała Ko, domyślająca się, niestety, odpowiedzi.

– Pomyliliśmy się – zakrzyknął ksiązę. – Przecież każdy może się pomylić! Znaleźliśmy dziewczynę, miała na imię Clarence. Szczerze, powtarzam – szczerze, chcieliśmy dobrze, chcieliśmy sprezentować temu bydlakowi utraconą córkę!

Słowo „szczerze” wylatywało z książęcych ust jak zatruty pocisk. Jego pulchne wargi z trudem wymawiały to słowo. Każde dziecko zobaczyłoby, że w całym Wszechświecie nie znajdzie się człowiek dalszy od szczerości. Książę łął zawsze, kiedy musiał i kiedy nie musiał... Oczywiście, Ko nie mogła wiedzieć, że już w dzieciństwie, kiedy księcia wołano po prostu Karłuszą, zasłynął ze swej kłamliwości. Jego własna matka opowiadała, że kiedy nadeszła pora porodu i przygotowała się do tego wydarzenia, to po upłynięciu wszystkich terminów usłyszała cieniutki dziecinnie głosik: „Już się urodziłem, mamusiu!” Mamusia uwierzyła niewinnemu niemowlęciu i wstała z łóżka. I co się okazało? Okłamał ją! Jeszcze się nie urodził i cały miesiąc przebywał w łonie matki, gdzie było mu ciepło, syto i przytulnie, i można było spać ile dusza zapagnie. Od tej pory Karłusza, a potem ksiązę Wolfgang robił wszystko wyłącznie dla swojej przyjemności. W tym celu łął, zabijał i dręczył innych. Ale jemu takie życie bardzo odpowiadało.

– I co się stało? – Ko od razu przypominała sobie muzeum i dziewczynę z akwamarynowymi żrenicami.

– Dokumenty były nie do końca w porządku, profesorek miał jakieś wątpliwości i urządził tej durnej akrobatce takie przesłuchanie, że ta pękła i przyznała się, że nie jest żadną córką, a po prostu wykonuje moje zlecenie. Profesorek się wściekł! Chciał złożyć na mnie skargę na policji! Chciał wszcząć przeciwko nam z Arturem sprawę w sądzie... – Książę zamilkł, zrobił pauzę, przesłonił oczy ręką, zaszlochał i zakończył tak: – Musieliśmy zlikwidować dziewczynę... Nie mogliśmy sobie pozwolić na zdemaskowanie.

– Nie mogliście po prostu odlecieć? – zapytała Ko. – Po co ją zabijaliście?

– Była winna. Zawiodła mnie – odciął ksiązę. – Winni muszą być ukarani. Mam nadzieję, że przyswoiłaś tę naukę.

– Jeśli mój ojciec jest taki niedobry, to dlaczego szukacie jego córki?

– Przypadek – machną ręką ksiązę. – Czysty przypadek. Arturek spotkał ciebie, zakochał się, ożenił... Tak często bywa w życiu.

– I co – okazało się, że jestem córką profesora?

– Tym razem bez oszustwa. Wszystko czyste, mucha nie siada. Znaleźliśmy prawdziwe dokumenty. Możesz tańczyć i radować się! Znalazłaś swojego ojca!

Książę znowu rozczulił się.

– Jak to się wam udało? – zapytała Ko. – Ojciec wam nie uwierzy.

– Tym razem mam twoje mapy genetyczne. Otrzymaliśmy je na Wyspie Dzieci. Mamy tam swojego człowieka.

– Mapy genetyczne?

– Genetyki nie da się oszukać. Jeśli porównamy twoje mapy genetyczne i mapy twoich rodziców, to można z całkowitą pewnością powiedzieć, kto jest czyim synem, a kto czyją mamą. Ale i tak musisz się postarać i być miłą dziewczynką. Musimy się przyłożyć, by zgodził się na ponowne spotkanie z nami. Jeszcze ciebie nie uznał, i wiele zależy od tego, jak się będziesz zachowywała.

– Chciałabym, księżę, wierzyć w to wszystko! – wyrwało się Ko.

– No to wierz, wierz!

– Do czego jest wam potrzebny profesor Couvre? – zapytała Ko, mając świadomość, że nie należy zadawać tego pytania. – Jego pieniądze? Jego dom? Czy kryje się tu jakiś bardziej złożony i złowrogi spisek?

– Zamilcz!

– Dlaczego mam być zabawką w twoim ręku? Przecież wyrzucasz zabawki, kiedy się nimi znudzisz?

– Nie znoszę oporu! – ryknął Wolfgang Du Wolf i cisnął do połowy wypełnionym gorącą kawą kubkiem pod nogi Ko. Kubek pękł, gorący napój chlusnął na pantofelki i kostki dziewczyny. Zabolało, zapiekło i niemal ją zemdliło, ponieważ kawa była ulepkiem, gęstym jak cukrowy kisiel.

Ko poderwała się na równe nogi.

– Będziesz posłuszna?

– Nie – odparła i wyszła z pokoju.

Księżę nie od razu rzucił się za nią. Widocznie jej zachowanie całkowicie go zaskoczyło.

– Jak to? – krzyknął za nią. – Jak śmiesz? Wracaj!

Ale Ko była już na korytarzu.

Ciężkie tupanie i ryk niedźwiedzia z tyłu.

Ko wolała nie czekać na rozszarpanie. Pobieгла do swojej kajuty. Raczej nikt nie przyjdzie jej z pomocą, może liczyć tylko na siebie – mucha się nie liczy, byle cios złamie ją jak trzcinkę.

Ko zdążyła zatrzasać drzwi sekundę przed tym, jak dopadł ich Wolfgang Du Wolf. Zamknęła drzwi na staromodną, ale skuteczną zasuwkę, a gospodarz statku zaczął walić w nie nogami, pięściami, a może i głową.

Przez drzwi dochodziły głosy – widocznie zebrała się tam załoga statku i świta księcia. Chociaż może i nie cała... Ktoś w końcu sprowadzał statek na lądowisko.

– Uwaga – rozległ się głos z systemu pokładowej łączności. – Statek „Sanssouci” wykonuje manewr lądowania w kosmoporcie Marsville. Wszyscy pasażerowie proszeni są o zajęcie miejsc w kajutach i przypięcie się pasami do łóżek w celu uniknięcia kontuzji podczas gwałtownego hamowania.

Natychmiast walenie w drzwi ustało, krzyki ucichły – szturmujący na czele z księciem rozbiegli się po kajutach. Widocznie księżę nie odwołał lądowania z powodu potyczki z nieposłuszną dziewczyną.

Wkrótce statek zaczął gwałtownie hamować, i Ko, leżąca na łóżku, zamknęła oczy – źle znosiła lądowanie na archaicznych liniowcach, pozbawionych grawitacyjnych kompensatorów. Widocznie „Sanssouci” był nawet starszy niż się wydawał.

Nadeszło uderzenie. Statek znieruchomiał. Przylecieli. Witamy na Marsie.

– Witamy na Marsie – powiedział głośnik. – Pasażerowie oraz szanowni gentlemani i lady mogą odpiąć pasy i doprowadzić się do porządku. Oczekują na nas marsjańskie rozrywki i wesoły odpoczynek.

Może to i prawda, pomyślała Ko, ale mnie czekają tylko kolejne próby.

Kim jest tak naprawdę ojciec Weroniki? Nie domyśli się, że zamieniono mu córkę? A jeśli się domyśli i powie o tym Wolfgangowi, to ten nie będzie się z nią cackał. Może zachować się tak, że żaden Milodar nie zdąży przyjść z pomocą.

Ach, Mars, ten Mars!

Nie tak dawno temu byłeś pustynią i pisarze fantastyki poświęcali ci fatalne powieści, w których dokonywali zbrodni czerwonoskórzy, zagadkowi i złowrodzy mieszkańcy pozbawionych wody i powietrza piasków. Nie tak dawno temu Ziemię opanowało gorzkie rozczarowanie z powodu tego, że na Marsie nie znaleziono rozumnego, a nawet żadnego życia!

Jeszcze wczoraj pisarze i reżyserzy straszili tym domniemywanym życiem Ziemian, a dziś westchnienie rozczarowania przetoczyło się po naszym globie: nasz brat Mars nie miał ani wody, ani powietrza!

Ale niedługo musiał grać rolę porzuconego Kopciuszka Układu Słonecznego. Okazało się, że zmniejszona grawitacja Marsa bardzo korzystnie wpływa na emerytów, a klimat pod ogromnymi przeźroczystymi kopułami, wzniesionymi w drugiej połowie XXI wieku, można było regulować do optymalnego – w miarę tropikalnego, w miarę umiarkowanego. Niewielkie jeziora nagrzewały promienie odległego słońca, któremu pomagały sztuczne gwiazdy, jaśniejące w okolicy Fobosa.

Na Marsa na początku mogli sobie pozwolić zamożni emeryci, dlatego życie tam było spokojne i toczyło się gładko. Wkrótce dołączyli do nich ci z budowniczych i stwórców marsjańskiego raj, którzy nie chcieli wracać na burzliwą i ciągle jeszcze zanieczyszczoną Ziemię. Potem dołączyli do nich sadownicy i pszczelarze – w miarę jak były odkrywane i wykorzystywane podziemne marsjańskie morza. Mars stał się spichlerzem Układu Słonecznego. Spichlerzem dla tych, co chcieli i mogli sobie pozwolić na odżywianie ekologicznie sterylną żywnością.

Niektóre z marsjańskich kopuł przekazane były turystom i wycieczkowiczom z innych planet; w oczach porządnym mieszkańców Marsa były to siedliska rozpusty. W dobrym tonie było mówienie o nich nieżyczliwie i wyszukiwanie w nich większej nawet ilości negatywów, niż naprawdę ich miały. Ale te „źródła rozpusty” były tak naprawdę Marsowi potrzebne i pożyteczne: lot na Marsa i mieszkanie we wspianym hotelu na brzegu czystego błękitnego jeziora, gdzie na deser serwuje się truskawki z bitą śmietaną, kosztuje niemało, a te sumy poprawiają byt marsjańskich emerytów.

„Sanssouci” przyleciał na Marsa z wizytą nieoficjalną i wylądował nieopodal podziemnego wejścia pod kopułę „Paradise-Smoke”. Tam zamierzali przepuścić swoje pieniądze w grach hazardowych dworzanie Wolfganga. Innych pociągały ciepłe kąpiele w wodzie gazowanej, jeszcze innych wycieczki do niedawno wyhodowanej dżungli, w której wszystko było prawdziwe, nawet ukąszenia żmij.

Kiedy statek znieruchomiał na wydzielonym mu stanowisku, Ko wstała i podeszła do drzwi. Ktoś w nie zaskrobał.

– Uprzedzam – oświadczyła Ko – będę stawiała opór. Żywej mnie nie weźmiecie.

Do drzwi znowu ktoś zaskrobał. To nie było w stylu księcia.

Ko zaryzykowała i uchyliła drzwi. Nikogo za nimi nie było. Ko wyjrzała na zewnątrz i omal nie umarła ze strachu: coś delikatnie dotknęło jej głowy.

Ko usiadła na podłogę i dopiero wtedy zobaczyła, że z sufitu przepaszająco patrzy na nią ciemnoskóra mucha.

– Wybacz – dobiegł ją szept lekarki. – Proszono bym przekazał ci, żebyś nie robiła głupstw i nie sprzeciwiała się. Dziś wszystko się wyjaśni. Nasi wrogowie dogadali się co do spotkania z twoim ojcem.

– Z ojcem Wero... – Ko przerwała. Chyba jednak nie do końca wiadomo, co może lekarka wiedzieć, a czego nie.

– Podporządkuj się – szepnęła mucha i szybko zaczęła maszerować po suficie w stronę swego gabinetu.

Ko nie zdążyła zamknąć drzwi do kajuty, jak w korytarzu pojawił się jej małżonek. Wyglądał jakby dopiero co wstał, oczy miał mętne, ruchy niepewne.

– Cześć, żoneczko – powiedział ponurym głosem.

– Chyba przesadziłem wczoraj i nie mogłem ci pokazać, gdzie raki zimują. Ale nie przejmuj się. Dzisiaj to nadrobie.

Utwierdziwszy się tym sposobem na pozycji *macho* Artur dodał:

– Książę chce cię widzieć. Jest na ciebie zły, jak wilk na zająca. Chyba pójdziemy do papcia razem, we dwoje. Jak w najlepszej rodzinie. Ubierz jakąś prostą sukienkę, ale taką ze smakiem. Tam w szafie jest sporo po Clarence.

– Nie chcę sukien po Clarence.

– No to skończysz jak ona – miłym głosem odpowiedział mąż.

– Patrzę tak sobie na ciebie i zastanawiam się – powiedziała Ko. – Kim jest najbliższy kobiecie człowiek, droższy od matki i ojca, ważniejszy niż ojczyzna?

– No, kto to jest? – nie odgadł Artur Du Grossi.

– Mąż – odpowiedziała Ko. – Mąż jest tym najbliższym, najdroższym i najważniejszym człowiekiem. Wczoraj wysłałam za ciebie za mąż. Już nie wspomnę o tym, jak zachowywałeś się w nocy, uchłany jak wieprz. Ale dziś, zamiast cieszyć się z naszego spotkania, grozisz mi śmiercią!

– No nie... – Artur stracił kontenans – ja, w sumie, wiesz, nie mam nic przeciwko tobie... Ale służba nade wszystko...

– Jaka służba, mój kochany? – zapytała Ko. – Przecież ty masz służyć tylko naszej miłości.

– To jasne, oczywiście... W sumie – ubieraj się i przyjdź do wyjścia.

– Przyślij mi godną sukienkę.

– Skąd ja ci ją wezmę? – Mąż uznał, że jest to powód, żeby się rozzłościć. Za tarczą gniewu czuł się bezpiecznie.

– Na pokładzie jest pół tuzina pętających się bez żadnych zadań modniś – niech któraś pożycz mi sukienkę. Tylko żeby była skromna.

– Ale przecież one mnie nie posłuchają!

Ko zauważyła, że zza rogu wyszedł sam Wolfgang i zatrzymał się o dziesięć kroków od młodożeńców, dzięki temu słyszał koniec ich rozmowy. Za jego plecami stał szambelan i atleta.

– Weronika mówi sensownie – oświadczył książę. – Też pomyślałem, że korzystanie z sukienek Clarence, na wizytę u profesora Du Couvre jest ryzykowne. Mógł zapamiętać, że już była u niego jedna córka w takiej sukni. Przecież ich nie robimy ze sztancy, prawda?

Książę wyjął z kieszeni tabliczkę czekolady i zabrał się, szeleszcząc folią, do rozpakowywania jej.

– Powiedz, szambelanie moim słodkim dziewczynkom, żeby przyniosły tu migiem swoje skromne sukienki. Masz na konfiskatę trzy minuty. A ty – zwrócił się do Ko – na ubranie się i przygotowanie – masz kolejne pięć. Po tym czasie będziemy na ciebie czekali przy wejściu. Minuta zwłoki – okrutna kara, dwie minuty – śmierć! Rozumiesz?

Ko cofnęła się o krok i zamknęła za sobą drzwi. Zamknęła się pod ciasnym prysznicem i, kiedy ktoś zapukał do drzwi, krzyknęła:

– Proszę położyć wszystko na łóżku! Nikt więcej już jej nie przeszkadzał.

Kiedy wyszła spod prysznicza odkryła, że ochrona księcia wywiązała się z zadania znakomicie. Słodkie dziewczuszki siedzą teraz pewnie w swoich kajutach i przeklinają tę chwilę, kiedy na pokładzie pojawiła się ta awanturница – nie mają chyba w ogóle w czym wyjść na powierzchnię Marsa. Na łóżku Ko wznosiła się prawdziwa góra ubrań – sukienki, sukieneczki, spodnie, spódnice, bluzki, biustonosze i inne detale stroju zdjęte z pół tuzina aktorek i modelek, towarzyszących księciu w jego podróży.

Ko wcale nie odczuwała wyrzutów sumienia z powodu tego, że reszta dziewczyn siedzi porozbierana. Spokojnie wyszukała sukienkę, w której nieśmiała i niewinna dziewczyna mogła stanąć przed oczami swojego surowego ojca, o którym kompletnie nic nie wiedziała, nie wiedziała nawet, czy jest jej ojcem. Ale w końcu wybrała spódnicę dwumetrowej Karoliny van Spass, która na modelce wyglądała niemal na listek figowy, a dla Ko nadała się jako krótka, choć dość przyzwoita sportowa spódniczka. Z bluzką poszło łatwiej, a na pantofelki natrafiła niemal natychmiast.

Po pięciu minutach Ko mogła pokazać się poza swoją kajutą i oświadczyć zebranym na korytarzu półnagim dziewczynom:

– Możecie zabierać swoje szmatki, słodkie wy moje.

Zgrzytając zębami, ale bezgłośnie przełykając przekleństwa, ponieważ za ich plecami, bawiąc się pejcami, stali atleci, tylko czekając, że można będzie osmagać nimi kształtne pośladki, ślicznotki runęły do kajuty i zaczęły, piszcząc i drapiąc się nawzajem, dzielić skarby. Ko poszła w kierunku wyjścia, gdzie już czekał na nią nie tylko mąż, ale również książę Wolfgang. Książę był bardzo zadowolony z Ko, co natychmiast okazał w swoim hałaśliwym i kłamliwym stylu:

– Słodziutka ty moja, aż chce mi się samemu z tobą ożenić!

– Zdąży pan, książę – odezwał się Artur Du Grossi.

Wzrok księcia wyraźnie powiedział, że najbliższej nocy Artur znowu będzie spał jak suseł, zażywszy lekarstwo nasenne.

Poszli wąskim korytarzem do kosmoportu. Czekala tam mała orkiestra, jak zwykle w przypadku wizyty księcia oraz miejscowy urzędnik średniego poziomu, który powitał nieoczekiwanych gości w imieniu i z polecenia władz marsjańskich.

– Zwróć uwagę – zauważył książę specjalnie na użytek Ko, której nie pozwalał się oddalać od siebie dalej niż o krok – cokolwiek robię – nigdy nie popełniam przestępstw. Podejmuje się mnie w najlepszych domach świata, sąsiednie planety i państwa wysyłają orkiestry na powitania. I niech sobie za moimi plecami szepczą, co im się żywnie podoba, że jestem tyranem i nawet, być może, zabójcą. Nie jestem większym tyranem i zabójcą niż oni sami. My zostawiamy trupy w domu, w szafie... czy w muzeum. Gdzie obcy nie mają wstępu. My, władcy planet i państw, mamy swoje reguły gry – wy ich znać nie musicie.

– Dziękuję, księżę – odparła Ko, która w tej chwili czuła się znacznie starszą kobietą, może nawet dwudziestoletnią. Rozumiała wszystko i wiedziała, co ile kosztuje. – Dziękuję, że oświecił mnie pan i pozwolił bym do tej chwili chadzała po ziemi żywa. Widocznie jestem jeszcze do czegoś potrzebna.

– Będziesz mi jeszcze długo potrzebna – radośnie zawołał Wolfgang. – Nawet kiedy pozostałych wyślę na tamten świat, to ty ciągle będziesz moim kawałeczkiem cukru.

Znowu roześmiał się wesoło.

Minęli hol kosmoportu. Sala była ogromna, staromodna, nieliczni pasażerowie czy gapie przystawali, patrząc na barwny pochód.

– Kiedy w końcu coś mi wyjaśnicie? – zapytała Ko.

– Nic ci nie wyjaśnimy – odparł jej mąż. – Dowiesz się wszystkiego za pół godziny. Im więcej będziesz wiedziała wcześniej, tym bardziej będziesz zagrożona, ty i nasza sprawa. Najważniejsze żebyś sama trzymała język za zębami. Szczególnie w sprawie naszych stosunków. Jestem twoim przyjacielem, a nie mężem.

– Możemy jej co nieco powiedzieć – przerwał Arturowi księżę – tak, ze dwa słowa. Możesz wiedzieć, że kiedy miałaś dwa latka zostałaś porwana. Żądano za ciebie znacznego okupu. A kiedy nie został wypłacony, porzucono cię na śmietniku.

– A dlaczego nie było okupu?

– Wygląda, że nie byłaś warta takich pieniędzy – machnął ręką księżę, kierując się do największej limuzyny stojącej przed wejściem do kosmoportu.

Za nim maszerował szambelan i dwaj atleci.

Artur Di Grossi zatrzymał się nieopodal, nie śpieszył się z wsiadaniem do samochodu. Ko denerwowała się. Miała powód: za chwilę miał nastąpić decydujący moment jej podróży. Nadal nie wiedziała po co została wykradziona Weronika, nie wiedziała kto tak naprawdę zabił wuefistę.

Niewielki skromny samochód zatrzymał się przy nich. W samochodzie siedział mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, szczupły, o wąskiej twarzy, ze starannie rozczesanymi z przedziałkiem rzadkimi włosami i niewielkimi czarnymi wąsami nad górną wargą.

Mężczyzna nacisnął guzik na desce rozdzielczej i obie pary drzwi od strony małżonków Du Grossi otworzyły się.

– Zapraszam – powiedział mężczyzna. – Mam nadzieję, że podróż upłynęła wam przyjemnie?

– Wsiadaj. – Artur pomógł Ko wsiąść do samochodu.

– Rad jestem widzieć cię, Weroniko – powiedział mężczyzna z przedziałkiem – ale odłożę rodzinne objęcia na potem. Droga zajmie nam tylko kilka minut, tak więc możecie odpoczywać.

– Dziękuję, profesorze – powiedział Artur.

– Pan, jeśli dobrze pamiętam, już odwiedzał mnie w postaci narzeczonego Clarence. Jaką rolę odgrywa pan dzisiaj?

– Jestem przyjacielem Weroniki – wesoło oświadczył Artur, mocno przydeptując jednocześnie palce stóp żony. Ko zrozumiała aluzję.

– Fantastyczne zbiegi okoliczności – mruknął niezadowolony mężczyzna.

Zamilkł i zajął się prowadzeniem wozu. Lawirowali chwilę między innymi samochodami i pojazdami, wypełniającymi główną ulicę przykrytego kopułą miasta.

– Weroniko – powiedział Artur, którego nie dziwiło i nie raziło nawet takie chłodne powitanie – to twój ojciec, profesor Du Couvre.

– Domyśliłam się – chłodno odpowiedziała Ko. Wiedziała, że nie powinna okazać niezadowolenia z takiego powitania, ale jednocześnie cieszyła się, że profesor okazał się takim realistą i nie zamierza od razu rzucać się na szyję nowej córce.

– Jak się ma Clarence? – zapytał nieoczekiwanie profesor.

– Nie wiem – natychmiast odpowiedział Artur. – Wróciła na Ziemię. Nie widziałem jej więcej. Obawiam się, że nikt jej więcej nie widział. Było mi wstyd, że tak się dałem jej skołować.

Ko nadstawiła ucha.

– Co za podła natura! – wykrzyknął profesor. – Wstrząsnął mną cynizm tej małej oszustki!

– A o co chodzi? – zapytała Ko. Chwila była całkowicie ku temu sprzyjająca.

– Jak to, nie wiesz? – zdziwił się profesor. – Myślałem, że wszystko ci opowiedziano. W ubiegłym roku odwiedziła mnie pewna dziewczyna i oświadczyła, że jest moją zaginioną córką Weroniką.

– To znaczy mną – sprecyzowała Ko.

– Być może – spokojnie odparł profesor. – Więc ta bestia wymyśliła pewną łzawą historyjkę o tym, jak to tułała się po domach dziecka i obcych rodzinach, poszukując mnie i mamy. Niemal uwierzyłem jej, ale jednak postanowiłem przepytąć ją, tak rodzinnie. Przecież żadnymi dowodami poza jej słowami nie dysponowałem. Ale kiedy przycisnąłem ją mocniej, rozryczała się i przyznała się do oszustwa. Taka bezczelność...

Profesor nijak nie mógł się uspokoić. Artur musiał nawet przypomnieć mu, że siedzi za kierownicą i ryzykuje życiem gości. Ko było straszliwie żał nieszczęsnej Clarence. Gdybyż profesor wiedział, gdzie znajduje się w tej chwili...

– Wtedy dałem sobie słowo – odezwał się po chwili milczenia profesor – że jeśli zjawi się u mnie tak zwana córka, to najpierw dokładnie sprawdzę wszystkie dokumenty i wyniki badań. Dopiero potem będziemy rozmawiali o sprawie. Rozumiemy się, mam nadzieję?

– Nie jesteś przesadnie uprzejmy, tato – powiedziała Ko wchodząc w rolę Weroniki. Wiedziała, że teraz wiele od niej zależy. I jeśli ona z Milodarem zwyciężą, to przy okazji zemści się na księciu za Clarence. – Ja przecież o nic nie proszę. Chcę tylko wiedzieć. Mieszkam we wspaniałym domu dziecka. Otrzymuję tam wykształcenie. Ale kiedy Artur powiedział mi, że dobrzy ludzie znaleźli mojego ojca, to coś się zmieniło w moim sercu. Myślałam, że i ja będę szczęśliwa i przyniosę odrobinę szczęścia innemu człowiekowi.

Ko nie mogła powiedzieć, że ojciec Weroniki jej się spodobał, sądziła jednak, że lepszy jakikolwiek ojciec, niż żaden. Prawdziwy rodzic jest jak właściciel bezdomnego wcześniej psa. Oznacza, że masz własny kąt i miskę. A jeśli nawet czasem ktoś ci przyłoży, to trudno, raz jest lepiej, raz gorzej. Natomiast od tych, co mieszkają w domu dziecka, szczęście odwróciło się na długo. Tak więc Ko uważała, że jej obowiązkiem jest zdobycie przychylności obcego ojca, przewidując, że to może przydać się prawdziwej Weronice. No i lepiej by było, żeby tata nie przyglądał się jej zbyt uważnie, bo jeszcze wyczuje potem różnicę...

– Będę szczerze uradowany, jeśli okaże się, że jesteś moją córką – powiedział profesor. – Ale – jak na razie – nie mam na to żadnych dowodów.

– Czyżby serce ci nic nie mówiło, ojczu?

– Nie – odpowiedział ojciec. – Nic mi serce niepodpowiada. Ale nic dziwnego, wszak nie widziałem cię od czasu, kiedy miałaś dwa lata.

– Kto mnie porwał?

– Kochanie, nie pleć bzdur – przerwał jej mąż. – Gdybyśmy to wiedzieli, to po co byśmy szukali cię po całym Wszechświecie?

– Właśnie – oschle potwierdził profesor.

W tym czasie samochód profesora mijał różnorodnie stylistycznie budynki kasyn, muzeów, bibliotek i hoteli, potem wjechał do mieszkalnej dzielnicy, gdzie tuliły się do siebie wille i bungalowy emerytów, otoczone zadbanymi ogrodami owocowymi i kwiatowymi. Wielu emerytów dorabiało sobie, hodując ekologiczną marchew i szparagi.

Dom profesora, przy którym zatrzymał się samochód, wyróżniał się z otoczenia swoim ponurym wyglądem. Był to betonowy sześcian ze stalowymi kratami w wąskich oknach. Wejście znajdowało się na piętrze i prowadziły doń wąskie żelazne schody. Dookoła domu nie widać było żdźbła trawy – kamienne płyty tworzyły gładki szary plac, otoczony siatką i kolczastym drutem na szczycie.

– Oto moje skromne mieszkanie – powiedział profesor trzykrotnie naciskając klakson.

W odpowiedzi nad bramą rozjarzył się laserowy skaner, który obiegił samochód, przekazał dane do komputera, który rozpoznał w obiekcie samochód właściciela i polecił otworzyć bramę.

– Dlaczego tu nie ma kwiatów? – zapytała Ko, wysiadając z wozu.

– Nie znoszę roślinności – szczerze odpowiedział profesor Du Couvre. – Strasznie się pleni i wszędzie się wpycha. Ziemia powinna być równa i dobrze by było, gdyby była w miarę płaska.

– Słusznie – usłużnie uśmiechnął się Artur, którego wcale nie zdziwiło wyjaśnienie profesora.

– A lubi pan koty? – zapytała Ko.

– Nie znoszę wszystkiego, co żyje – odparł profesor. – I miałem nadzieję, że moja córka będzie podobna do mnie.

– Jeśli jestem pańską córką, to znaczy, że nie jestem do pana podobna – odparowała Ko.

– Jeszcze jedno rozczarowanie – odpowiedział gospodarz pierwszy wchodząc na schody. – Nie pierwsze i nie ostatnie w moim życiu. Nauczyłem się doń filozoficznie podchodzić.

Nadlęciał poryw wiatru, rozwiał rzadkie, siwe włosy profesora. Plecy uczonego były szczupłe i przygarbione, jak mogilny wzgórek.

Profesor zatrzymał się przed stalowymi drzwiami prowadzącymi do jego domu.

– To ja – powiedział do drzwi.

Drzwi nie zareagowały na głos.

– Otwórz się! – zażądał profesor. Na drzwiach zapłonęła czerwona lampka, ale nie otworzyły się.

– Niech diabli wezmą całą tę technikę! – krzyknął profesor, ale natychmiast opanował się, wyjął z kieszeni grzebień i starannie odtworzył uczesanie. I natychmiast, jakby zlitowawszy się nad nim, drzwi stanęły otworem.

– Nareszcie poznały – oświadczył gospodarz. Pierwszy przekroczył próg i zapalił światło, ponieważ okna przepuszczały go za mało, po czym zaprosił gości do skromnie umeblowanego pokoju, na środku którego stał goły stół, dokoła niego – krzesła, cztery czy pięć sztuk.

– Nie częstuję was – powiedział profesor. – W każdym razie dopóki nie wyjaśnimy sobie naszych stosunków. Tak więc, przejdźmy do rzeczy. Proszę siadać i opowiadać. Pierwsza niech się wypowie tak zwana córka.

– Ale ja nic nie wiem, tato – odparła Ko. – Niech mówi Artur.

– Przyjdzie panu wysłuchać romantycznej opowieści – zapowiedział Artur.

Położył na stole przed sobą cienką błękitną teczkę.

– Ale krótko – zastrzegł profesor. – Jestem bardzo zajęty. Mam dziś jeszcze w planie badanie mawrykijskich dinozaurów, na dodatek muszę podyktować kilka listów. Tak więc proszę serwować te swoje romantyczne bzdury. W dwóch słowach.

– Po fatalnym przypadku niepowodzenia z Clarence... – zaczął Artur.

Profesor skrzywił się.

– Proszę, tylko nie o Clarence. Nawet wspomnienie jest mi wstrętne.

– Kontynuowaliśmy poszukiwania...

– Stop! – wtrąciła się Ko. – Proszę opowiedzieć od początku. Gdzie się urodziłam i gdzie zniknęłam.

– Chcesz powiedzieć, że nikt ci niczego nie opowiedział? – zdziwił się profesor.

– Nic.

– Idioci! – rozżłościł się profesor. – Dlaczego to ukrywaliście?

– Nie chcieliśmy jakoś specjalnie przygotowywać dziewczyny – powiedział Artur. – Lepiej, żeby wszystko odbyło się spontanicznie. Ponieważ tym razem nie mamy najmniejszych wątpliwości.

– Proszę milczeć!

Profesor uderzył pięścią w stół, na co ze stołu wyłoniła się szklanka z gazowaną wodą. Profesor łyknął, nie proponując gościom i zaczął mówić:

– Piętnaście lat temu, kiedy żyła jeszcze moja żona, pewni niegodziwcy ukradli naszą dwuletnią córkę Weronikę. Kidnaperzy zażądali za jej zwrot miliona kredytów. Takiej sumy, rzecz jasna, nie mieliśmy – skąd miał wziąć taką kwotę zwyczajny profesor i gospodyni domowa? Tak więc zwróciliśmy się o pomoc do policji. Niestety, mamy tu nie policjantów, a klinicznych debili. Ci durnie w decydującym momencie spłoszyli porywaczy, i ci zniknęli wraz z naszym dzieckiem. Moja żona wkrótce zachorowała i zmarła, jej organizm był wycieńczony cierpieniem. Ja postarzałem się o dwadzieścia lat. Ale córki nigdy nie odnaleziono. Nie raz dawałem ogłoszenia do prasy, zwracałem się do Interpolu, do prywatnych detektywów... Bezskutecznie. Nasza córka nie odnalazła się. Zostałem bezdzietnym wdowcem... I nagle... nagle w ubiegłym roku otrzymałem list od księcia Wolfganga Du Wolfa, który poinformował mnie, że postawił sobie za cel walkę ze złem i niesprawiedliwością, i działając w tym duchu dowiedział się gdzieś, że moja córka została porwana. I że ma nadzieję zwrócić mi moje dziecko. Ja, muszę przyznać, ucieszyłem się, ponieważ czuję się w domu samotnie. Źle jest spędzać ostatnie lata życia bez rodziny.

Pewnie, pomyślała Ko. Jak samotny rycerz w zamku – któż przyjdzie w odwiedziny?

– Zgodziłem się, żeby pokazali mi Clarence, bo tak, według zapewnień księcia, nazwano moją córkę w przytułku. No więc przyjechali...

– To była pomyłka – wtrącił się Artur. – Fatalny błąd. To była niewłaściwa dziewczyna. Wszystko się z tą Clarence zgadzało, z wyjątkiem najważniejszej rzeczy – Artur z żalem rozłożył ręce.

– To była oszustka! A pan uczestniczył w tym kancie! – Profesor dźgnął chudym palcem w bok Artura.

– Dla nas to też była niespodzianka! – niezbyt przekonująco odezwał się Artur. – Postanowiliśmy odkupić swoją winę, profesorze i wznowiliśmy poszukiwania. I oto pańska córka przed panem.

– Najpierw sprawdzimy to sobie – mruknął profesor takim głosem, że Ko zaczęła podejrzewać, że wcale nie jest zadowolony z odnalezienia zaginionej córki.

– Proszę oto pańskie dane – raźnie rzucił Artur. – Jesteśmy gotowi pokazać panu genetyczną mapę

Weroniki.

– Ale proszę uważać, by nie podsunąć mi znowu jakiejś kanciary, bo już się nigdy w życiu z wami nie spotkam. Rzekłem!

– Nie boimy się zdemaskowania. Poza dokumentami mamy żywych świadków.

Artur starannie zsunął spinacz i podał profesorowi poźółkłą kartkę.

Ko zamarło serce. A jeśli prawdziwa Weronika też nie ma nic wspólnego z profesorem? Czy ją też zabijają? Nie, domyśliła się, zabijają nie Weronikę, a dziewczynę o imieniu Ko. Weronika jest w tej chwili bezpieczna.

Profesor Du Couvre położył kartkę z danymi obok otwartej książki, także wypełnionej liczbami. Pochyliwszy piegowatą głowę badał ją długo, pewnie z dziesięć minut. Ko zdążyła trzy razy pożegnać się z życiem, kiedy, odsunawszy od siebie papiery z miną, jakby chciał skończyć rozmowę z gośćmi, powiedział:

– Dziwne. Dane krwi zgadzają się.

– Wiedziałem – powiedział Artur, mrużąc oczy niczym syty kocur.

– Dziwne, bardzo dziwne... Proszę pokazać mi sprawozdanie o cechach szczególnych dziecka w chwili przyjęcia do domu dziecka.

– Proszę – powiedział Artur nie kryjąc zadowolenia.

Podał profesorowi jeszcze jedną, wcześniej już wyjętą z teczki kartkę.

Profesor wyjął ze sterty papierów inną i zaczął je porównywać. Wyniki porównania zadziwiły go. Popatrzył na Ko.

– Dziwne – powiedział w końcu. – Podróbka waszych papierów jest wykluczona, bo nie mogliście wiedzieć o nich: sejfu nikt nie otwierał. Nie otwieraliście?

– Nikt nie wiedział, gdzie pan przechowuje swoje skarby – zapewnił go Artur.

Ko rozumiała, że Artur jest bardzo pewien swego. Była przekonana, że Weronika naprawdę odnalazła swojego ojca. Komuś udało się na Wyspie Dzieci odkryć prawdziwą tożsamość dziewczyny, a następnie wykraść ją. Teraz więc wszystko stało się dla Ko jasne, po co wszczęto całą tę aferę: zabójstwo Artema, podmiana narzeczonego i ucieczka Weroniki z wyspy. Wszystko to było związane z kradzieżą dokumentów z archiwum Wyspy Dzieci – przecież te kartki w teczce Artura Du Grossi na pewno były skradzione właśnie stamtąd. Porywacze mieli na wyspie współnika. Teraz został drobiazg – wyjaśnić jaką korzyść z tego wszystkiego odniesie książę Wolfgang Du Wolf, który na pewno za tym wszystkim stoi? Nawet więcej – już w ubiegłym roku usiłował podsunąć profesorowi córkę Clarence i dał plamy, nie uwzględnivszy, że profesor może zdemaskować podróbkę. W ciągu następnego roku książę dobrze zorganizował poszukiwania prawdziwej córki, i udało mu się.

– Cóż – powiedział w końcu profesor, odkładając papiery na bok i z ciekawością, ale i bez jakichś szczególnie ciepłych uczuć przyglądając się odzyskanej córce.

– Powinnaś być choć trochę podobna do matki, którą doprowadziłaś do śmierci swoim zniknięciem – powiedział po chwili.

– Czy ja jestem temu winna?

Profesor nie słuchał jej. Wstał gwałtownie – krzesło na cienkich nóżkach wywróciło się i uderzyło oparciem o betonową podłogę.

– Proszę zostawić mi wszystkie papiery – zażądał. – Muszę je zbadać w wolnej chwili. Teraz proszę sobie iść.

– Kto? – zdziwił się Artur. – Kto ma iść?

– Oczywiście, że pan, idioto – rzucił rozdrażniony profesor. – Po co pan mi tu?

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się pan Du Grossi, atleta i przystojniak, krewniak księcia Wolfganga Du Wolfa, choć w to ostatnie jego młoda żona wątpiła. – O ile nie jestem już panu potrzebny...

Ko omal nie chwyciła męża za marynarkę – może i niegodziwiec, i kłamca, ale jednak jakiś tam znajomy. Profesor zaś, zimny, jak parówka wyjęta z lodówki, przypominał uczesane owada, oczywiście bezskrzydłego, w przeciwnym przypadku takie porównanie byłoby obrażą dla sympatycznej ciemnoskórej muchy Vanessy.

– No to idę, Weroniko – powiedział promieniejący małżonek. – Zadzwoń do ciebie później. Ty też o mnie nie zapominaj, wiesz, że zatrzymałem się w hotelu „Continental”. Pokój numer sześć.

To był ich wspólny pokój, Ko pamiętała o tym.

– Dobranoc, profesorze. – Artur był greczny i ułożony, niczym wczorajszy absolwent Oxfordu.

– Zaraz-zaraz! – zatrzymał go profesor. – Zapomniał pan o ważnym drobiazgu.

– Ja? Zapomniałem?

– Oczywiście. Powiedział pan, że macie żywego świadka.

– Tak!

– No to dlaczego pan sądzi, że zadowolę się papierkami, które można sfalszować?

– Ale w jaki sposób? Przecież były w pańskim sejfie?

– Nie istnieje taki sejf, którego nie dałoby się otworzyć!

– No dobrze – westchnął Artur. Ko odniosła wrażenie, że jest to westchnienie teatralne, przećwiczone. I domyśliła się, że Artur oczekiwał tego żądania i nawet miał na nie nadzieję.

– Kiedy będzie tu świadek? – zapytał profesor wstrętym głosem starego rozkapryszonego dziecka.

– To zależy od pana, profesorze – odparł Artur.

– Nie rozumiem!

– Szanowny panie Du Couvre – powiedział Artur. – Ja i księżę Du Wolfe życzymy ludziom dobrze. Ale nie jesteśmy aż tak bogaci, by szastać milionami na cele dobroczynne. Wie pan ile kosztuje bilet na czarterowy rejs z Ziemi na Marsa?

– Nie mam pojęcia!

– Czteryście tysięcy. Jeśli da nam pan tę kwotę, to otrzyma swego świadka.

– Czteryście tysięcy? – powtórzył profesor podejrzliwie.

– Proszę zadzwonić do kasy kosmoportu.

– A nie da się taniej? – poddał się profesor.

– Można. Rejs turystyczny będzie kosztował trzysta dwadzieścia tysięcy i potrwa tydzień.

– Zwariowaliście! Jaki znowu tydzień!

– To już pan musi zdecydować.

– Proszę poczekać. – Profesor pochylił się nad stołem, wysunął szufladę, wyjął z niej książeczkę czekową i minutę chyba zastanawiał się, wyraźnie walczył ze sobą. Artur puścił oko do Ko. A ta pomyślała, że świadek najprawdopodobniej przyleciał z nimi na „Sanssouci” i ukrywa się w jednej z setek kajut. Na pewno nie chcieli go pokazać Weronice. W takim razie oszuści Wolfgang Du Wolf i Artur już teraz mieli w kieszeni niezłą sumkę.

Profesor wypisał czek i oznajmił sucho:

- Poproszę, żeby przyleciał pierwszym możliwym rejsem.
- Jutro po obiedzie świadek będzie na miejscu. Firma to gwarantuje.

Artur był wesoły i zadowolony z siebie. Widocznie wydarzenia rozgrywały się według napisanego przez dwu kanciarzy scenariusza.

Profesor odprowadził Artura do wyjścia. Ko musiała siedzieć sama dobre trzy minuty; kręciła w tym czasie głową, zaglądała w ciemne kąty pomieszczenia, mając nadzieję, że w którymś znajdzie hologram komisarza. Czyżby i tu nie zamierzał przyjść jej z pomocą? Ale w kątach nie było niczego poza pajęczyną. Pewnie Milodar nie był w stanie przeniknąć tu, albo, co gorsza, stracił trop swego agenta.

Wrócił profesor i zaczął od progu:

- Jeszcze nie jesteś moją córką, a już mnie rujnujesz.
- A kto pana prosił, żeby wzywać świadka? – odgryzła się Ko. – Trzeba było uwierzyć i zaoszczędzić czterysta tysięcy.
- Czasem lepiej stracić milion i zachować przez to miliard, niż skusić się na dziesiątkę i pożegnać się z fortuną – pragmatycznie zauważył ojciec Weroniki. – Jesteś jeszcze za młoda i głupia, żeby podejmować takie decyzje.

Ko miała ochotę od razu przyznać się, że jest już zamężną kobietą, a co za tym idzie, wcale nie za młodą, ale powstrzymała się, ponieważ wiedziała, że takie przyznanie całkowicie zniszczy zaufanie profesora do niej i do Artura. Nie pomoże już wtedy żaden świadek.

Ko rozumiała Artura – profesor jest podejrzliwy i może pomyśleć, że jej mąż usiłuje wcisnąć się jakoś w rodzinę Du Couvre. A ten nie chce mieć nadwyżek w postaci nowych krewnych. W końcu nawet własnej córki, jak na razie, nie spotkało specjalnie gorące przyjęcie.

– Nie podobają mi się ci ludzie – oświadczył profesor siadając przy stole i rozkładając papiery – z teczek Artura i ze swojego archiwum. – Poprzednim razem Clarence przyprowadził różowy siwy grubas, ufryzowany jak postarzały Neron. Pożarł mój półroczny zapas cukru. Jakaś patologia. A ja nie wierzę w filantropię, zazwyczaj filantropi są najbardziej chciwymi ludźmi na świecie. Niczego nie robią za darmo. Za wydanego franka żądają tysiąca dolarów od losu, boga, wieczności i ludzkości. A ponieważ ludzkość jest im najbliższa, to właśnie ją najczęściej łupią.

- Czy oni przyznali się dlaczego pomagają w tym wypadku?
- Ten książę Du Wolfe jest przewodniczącym Galaktycznej Rady Pomocy Utraconym Członkom Rodzin. Nie powiedział ci tego?
- Może i mówił, ale zapomniałam.
- Awanturnik, typowy awanturnik. I ta dziewczyna, co to była z nim – mimo że dość przekonująco grała rolę mojej córki i nawet szlochała, prosząc żebym ją uznał... Pozostało mi po niej bardzo niemiłe wspomnienie.

Gdybyś wiedział, tatusiu, jak ukarał ją filantrop Du Wolfe, pomyślała Ko. Ekspozat w taksydermicznym muzeum.

- Ale ty mi też wyglądasz na awanturnicę – oświadczył profesor. – Dlaczego siedziałaś tyle lat w domu dziecka i nikomu nie powiedziałaś, że masz ojca?
- Dziwne rozumowanie – odpowiedziała Ko. – Miałam dwa latka, kiedy mnie porwano. Nawet nie pamiętam, jak mnie ukradziono...
- Chodźmy do mojego gabinetu – zaproponował ojciec, zadowolony z porównania dokumentów. – Poczęstuję cię herbatą.

Gabinet był niewielkim pokoikiem, z oknami chronionymi przez kraty. Na podłodze leżał wytarty dywan, a przy wyiębłym kominku stały dwa fotele. Między nimi – stolik z automatycznym ekspresem do kawy.

– Mam nadzieję – wyskrzypiał ojciec – że w kombajnie jest kawa. Dzisiaj rano tak się denerwowałem tym spotkaniem z tobą, że wypilem potrójną porcję.

Włączył urządzenie.

Okazało się, że przepowiedział słusznie – natychmiast pojawił się ostrzegawczy napis: „Brak kawy w zasobniku”.

Profesor ze złością szturchnął urządzenie, Ko odnotowała, że cały ekspres jest pocięty – widocznie nie po raz pierwszy był tak karany.

– Może w kuchni jest kawa? – zapytała. – Mogę przynieść.

– Przynieś – nieoczekiwanie zgodził się profesor. – Drugie drzwi po prawej. Tam powinna być puszka.

I profesor znowu zaczął rozkładać na stoliku przed kominkiem pasjans z dokumentów.

Ko bez trudu odnalazła kuchnię. Na widok dziewczyny karaluchy i pająki niechętnie ustąpiły eksponowane miejsca. Każdy jej krok wzbijał w powietrze małe obłoczki kurzu.

Puszka z kawą była zamknięta i do połowy wypełniały ją ziarna kawy. Ko miała szczęście. Włączyła młynek, a sama zajęła się myszkowaniem. Korytarzem dotarła do przymkniętych drzwi, to była sypialnia profesora. Znajdowała się w niej wygnieciona kanapa, przykryta niezbyt świeżym prześcieradłem, przed kanapą na dywanie leżały sterty jakichś albumów i informatorów.

Jeśli kiedyś Weronika będzie żyła w tym domu, pomyślała Ko, niełatwo jej będzie zaprowadzić tu jakiś porządek. A ponieważ Weronika na Wyspie Dzieci słynęła z punktualności i niesłuchanego zamiłowania do porządku, co prawda nieco osłabionego po zakochaniu się w Artemie, to profesorowi też nie będzie łatwo. Weronika postawi na swoim.

Ko wróciła do gabinetu. Dopiero teraz zauważyła, że wzdłuż ścian ciągną się regały z książkami i albumami.

– Długo cię nie było – powiedział profesor. – Myszkowałaś sobie, co?

– Zajrzałam do sypialni – przyznała się Ko. – Straszny tam bałagan. W kuchni, zresztą też.

– Sądzę, że nie powinno to ciebie obchodzić. Chodzi o to, że sprzątanie pomieszczenia wymaga uczestnictwa w tym procesie przynajmniej jednego zupełnie obcego człowieka. Natomiast ja, prowadząc specyficzne badania, nikogo nie wpuszczam do siebie do domu. Zgodziłem się na poszukiwania ciebie tylko dlatego, że miałem nadzieję: a nuż wyrosła mi cicha i spokojna, robotna i nieciekawaska córka, której sprawi przyjemność zajmowanie się gospodarstwem i która będzie nieładna, najlepiej kulawa i jednooka, żeby nikt się na nią nie skusił.

– Ale dlaczego życzy mi pan tak źle? – zdziwiła się Ko.

– Żebyś nie wyszła za męża, nie przyprowadziła tu chciwego męża, nie narodziła dzieci, nie zniszczyła całego mojego świata... I oto teraz widzę, że moje obawy nie były płonne. Jesteś nie tylko obrzydliwie ładna, ale obok ciebie już wije się ten ohydny Du Grossi, który wpatruje się w ciebie jak w pomidor, nic tylko chce pożreć.

Tym niemniej profesor pochłoniął trzy filiżanki kawy. Parzył sobie nią usta, parsknął, śpieszył się jakby odjeżdżał mu za chwilę pociąg. Po kawie Ko odniosła tacę do kuchni.

Tym razem jej pojawienie się wywołało prawdziwą panikę wśród jej dotychczasowych gospodarzy – owadów. Zrozumiały, że istota ludzka może zaprowadzić tu swoje porządku i przyjdzie

im wycofać się. A może nawet zginąć.

Póki Ko zmywała naczynia, pryskając gorącą wodą na szczególnie bezczelne karaluchy, profesor kontynuował w gabinecie swój gderliwy monolog, jakby nie zauważył jej nieobecności.

Kiedy Ko wróciła, profesorowi nieco polepszył się humor, zaczął wypytywać ją o to, jak spędziła ostatnie lata i czym jest Wyspa Dzieci. Ko uczciwie opowiedziała o domu dziecka i im dłużej opowiadała, tym bardziej zaniepokojony był profesor.

– Rozumiem z tego – powiedział w końcu – że dokumenty wychowanków przechowywane były w sejfie gabinetu dyrektorki. Widziałaś ten sejf i sądzisz, że zwyczajny człowiek otworzyć go nie mógł. Powstaje zatem problem: kim jest ten niezwykle człowiek, który jednak go otworzył i wydobyl z niego twoją mapę genetyczną?

– Czy to nie wszystko jedno? – machnęła niedbale ręką Ko. – Najważniejsze, że jesteśmy razem.

– A komu to potrzebne? – zapytał profesor.

– Co ma pan... co masz na myśli, ojcze?

– Nie nazywaj mnie ojcem... na razie. Chcę najpierw wyjaśnić, jakim cudem takie tajne dokumenty znalazły się w łapach księcia i twojego przyjaciela Artura. Jestem zaniepokojony... To jest spis, oczywiście, że spis!

– Może lepiej sobie pójdę? – zapytała Ko. – Jakoś przeżyłam większą część swojego życia bez rodziców i, chyba, obejść się bez nich i w przyszłości.

– Stój. Musisz zrozumieć, że jeśli naprawdę jesteś moją córką, to wywołuje to cały szereg problemów. Ale muszę być tego pewien na sto procent. Bo może dokumenty są sfałszowane?

– Musieliby najpierw ukraść je tobie, ojcze – odezwała się Ko – następnie skopiować, potem zwrócić na miejsce, a kopie przekazać razem ze mną.

– Bzdury, bzdury! Nie pleć bzdur! To jest niemożliwe! I to właśnie mnie najbardziej denerwuje. Jestem pewien, że dokumenty są oryginalne, i sądząc z badań i ich wyników – jesteś moją córką. Ale jak te dokumenty trafiły do ich łap? Dlaczego zaczęli szukać ciebie na wyspie?

– Bo to jedyne miejsce, gdzie zbierane są znajdy z innych planet – powiedziała Ko. – Jeśli ktoś chce znaleźć nieziemską sierotkę, to przede wszystkim musi przyjechać na naszą wyspę.

Prostota tego argumentu powaliła profesora.

– No dobrze – powiedział po chwili. – W końcu, ludzie wcale nie muszą wiedzieć, że jesteś ładna. Nie będziesz po prostu wychodziła z domu i świetnie będzie się nam żyło we dwoje.

– Jeszcze czego! – obruszyła się Ko. – To znaczy, że z więzienia na wyspie trafię do więzienia na Marsie? Wolę odejść.

– Nie, nie, poczekaj, coś wymyślimy – zaniepokoił się profesor.

– Tato – powiedziała Ko – nikt mi nie powiedział, czym ty się zajmujesz. Tyle tu książek, czy to jakieś tajne badania?

– Naprawdę nie wiesz czym się zajmuję?

– Naprawdę.

– Zresztą, może to i prawda. Nie reklamuję swoich zajęć. Moją specjalizacją jest ichtiologia, jestem jednym z większych autorytetów w dziedzinie chorób ryb w Dolnej Saksonii. Ale moim prawdziwym powołaniem jest organizacja międzynarodowych konferencji i zjazdów. Byłem wiceprezesem szesnastu różnych towarzystw i związków, związanych z moją specjalizacją. Moje nazwisko było znane w Montevideo równie dobrze jak w Pekinie. A ponieważ nie lubię czegokolwiek wyrzucać, to mój dom wypełniały stare koperty po listach moich kolegów i wszelakich

organizacji. Moja młoda żona uważała, że te listy są siedliskiem kurzu, że nasze dziecko, to znaczy ty, urodzi się z wadą, jak ryba w zatrutym zbiorniku wodnym. Nie chciałem tego, ale też nie mogłem po prostu wyrzucić tych wszystkich cudownych kopert. Najpierw odkleiłem z nich znaczki pocztowe. Dziecko, co prawda nie urodziło się wtedy, mama zrobiła skrobankę. Do twojego pojawienia się było jeszcze kilka dobrych lat... A ja już byłem opętany przez znaczki. Znaczki milczą, łakną ładu i porządku, tak mocno symbolizują porządek, że stopniowo porzuciłem swoje działania na niwie ichtiologicznej i całkowicie poświęciłem się filatelistyce.

– Ale skąd miałaś na to pieniądze? – przerwała mu Ko.

– Jestem zręcznym kolekcjonerem. Równie utalentowanym w tej dziedzinie, jak w organizowaniu kongresów ichtiologicznych. Lubię porządek, i porządek lubi mnie. Przecież zwyczajni ludzie krzątają się, szukają coraz to nowszego dobra dla siebie, zmieniają się, łakną wróble na dachu... A ja po prostu nie popełniałem żadnych błędów, w odróżnieniu od otaczających mnie kolekcjonerów. Tak więc po dziesięciu latach byłem już jednym z bardziej znanych filatelistów na Ziemi. W chwili twojego przyścia na świat, byłem już królem Wszechświata. W filatelistycznym, rzecz jasna, sensie tego słowa... Przeszedłem wtedy na emeryturę i przeprowadziłem się na Marsa. Już nie miałem za bardzo do czego dążyć – wszystkie najrzadsze znaczki były w mojej kolekcji. Błękitny Mauritius? Mam błękitnego Mauritiusa. Amerykańscy konfederaci? Mam wszystkich konfederatów, nawet tych felernych. Angielski czarny pens – pierwszy znaczek w świecie, mam go czysty w bloku, a mam też na liście, jakie wysłał mister Bell, wynalazca znaczka pocztowego, do królowej Anglii z gratulacjami z okazji tego wydarzenia. Mam wszystko, co warto mieć!

Profesor zarumienił się, jego policzki płonęły, malinowo świeciły uszy, nawet przedziałek na głowie zaczerwienił się. Ko zrozumiała, że ma do czynienia z prawdziwym, a więc najniebezpieczniejszym gatunkiem kolekcjonera.

Niewielkie doświadczenie życiowe Ko zawierało też spotkania z kolekcjonerami, najniebezpieczniejszym i wulkanicznie wzburzoną odmianą rodzaju ludzkiego, dla którego przestępstwa, które wstrząsnęłyby wyobraźnią najgorszego zbrojnego, są zwykłymi słabościami. Choroba, prowadząca do przemiany zwyczajnego i dobrego człowieka w bestię kolekcjonerską, nie została zdiagnozowana przez medyków i dlatego jej następstwa nie są uwzględniane, a straty szacowane. Prawdziwy kolekcjoner tylko powierzchownie przypomina człowieka, i tylko pozornie zachowuje się jak człowiek. W rzeczywistości jest to nikczemny i podły niewolnik swojej kolekcji, która każe mu kłamać, zabijać i palić przytulki. Na szczęście, los wyposaża kolekcjonerów w słabo rozwiniętą wyobraźnię, ich marzenia są nieśmiałe i bardziej związane z obawą utraty kolekcji niż z odważnymi planami przejęcia dorobku rywala. Kolekcjoner to najczęściej monstrum zachowawcze. Ale chroniąc swoje gniazdo, podobnie jak wilczyca, jest gotów rozerwać na strzępy lwa. To Otello, któremu prawdziwy Otello do pięt nie dorasta, ponieważ dla uratowania swojej kolekcji przed podejrzanym Jagonem Otello kolekcjoner jest gotów wydusić wszystkie kobiety Wenecji.

Na szczęście przypadłość kolekcjonowania znacznie częściej powala mężczyzn niż kobiety, ponieważ te z natury swej są znacznie bardziej konsekwentne i uparte. Jeśli więc kolekcjonowanie u mężczyzn jest niemal nieuleczalne, to w przypadku kobiet jest ono nieuleczalne z definicji i całkowicie.

Ko miała w klasie dwóch czy trzech kolegów, którzy zbierali znaczki, jeden zbierał monety, a jeszcze inny – muszelki. Ale najnamienitszym i jedynym prawdziwym, śmiertelnie chorym kolekcjonerem był niejaki Bazyl, zbieracz ptasich jaj.

Dlaczego akurat ptasich jaj?

A dlaczego inni kolekcjonerzy marnują połowę żywota na poszukiwanie starych piór, pudełek po zapałkach czy odkurzaczy? Los nie wybiera, nagradzając cię rzadką chorobą. Przez całe życie bolały człowieka zęby, a umiera z powodu wrzodu na pięcie. A inny, z opuchniętą piętą, zejdzie na fluksję. Fatum sięga po nas jak wilk po owcę w stadzie.

Bazyl zbierał ptasie jaja. Zebrał sześćdziesiąt osiem egzemplarzy. Korespondował z innymi kolekcjonerami. Zamierzał pojechać do Brazylii i tam, w selwie, zbierać jaja. I nagle okazało się, że zbieranie ptasich jaj jest kategorycznie zakazane przez Ministerstwo Ekologii. Kolekcjonerzy zaczęli być represjonowani, niektórzy skończyli ze sobą, inni mimo wszystko przekazali jaja do muzeów i przestawili się na zbieranie marmurowych kulek. Ale Bazyl nie poddawał się tak łatwo. Dowiedziawszy się, że w jego kierunku zmierza ekologiczna komisja, celem konfiskaty jego kolekcji, ukrył ją w piwnicy zamku. Jednakże jego najlepszy przyjaciel i kolega z ławki, zdradził, rzecz jasna, Bazyla członkom komisji, kiedy ci pojawili się na wyspie. Komisja w towarzystwie zdenerwowanej pani Aaltonen skierowała się do piwnicy. Bazyl zabarykadował się tam i oświadczył, że nie podda się do ostatniego jaja. I póki członkowie komisji z pomocą dozorczy i ogrodnika wyłamywali drzwi, zjadł wszystkie sześćdziesiąt osiem jaj, przy tym niektóre ze skorupkami. Kiedy komisja wdarła się do piwnicy, Bazyl leżał nieprzytomny. Przewieziono go na oddział reanimacji, a potem już na wyspę nie wrócił. Opowiadano, że zwariował i znajduje się w specjalnej lecznicy.

Do takiego gatunku ludzi, dla których przedmiot bezsensownego zbieractwa jest w pewnym sensie ważniejszy od życia, należał profesor Du Couvre, ojciec Weroniki. I, co ciekawe, nie ukrywał przed odnalezioną córką specyfiki swojej natury.

– Oczywiście, mój zbiór, doskonały sam w sobie, daleki jest jednocześnie od doskonałości absolutnej, jak każde dzieło sztuki – kontynuował zwierzenia profesor. – Kolekcja obrazów Ermitażu czy Luwru też nigdy nie doścignie ideału. W tym celu należałoby połączyć co najmniej tysiąc największych światowych kolekcji. A to, niestety, nie jest możliwe. Ale nawet mój skromny zbiór przyciągnął wkrótce uwagę elementów przestępczych. Uważałem, że nikomu nie wyrządzam zła, oddając się szlachetnemu zajęciu. Ale nie! Jak hieny do padliny ciągnęli do mnie szubrawcy różnego autoramentu. Trzykrotnie usiłowano mnie okraść i dwukrotnie zabić. Musiałem emigrować z Ziemi, by ukryć się na bezpiecznym Marsie. Ale i tu na mnie polowano. W końcu doszło do tego, że usiłowano mnie wykurzyć z willi, którą kupiłem za emeryturę i oszczędności. Musiałem więc wybudować to betonowe schronienie.

– Trzeba było powiadomić policję! – poradziła Ko.

– Głuptas jesteś! Policja jest bezsilna wobec międzyplanetarnej mafii. Ona wszystkich ma w kieszeni.

– Intergpol też?

– Oczywiście. Przede wszystkim.

Ko wydawało się, że usłyszała jakieś skrzypnięcie. Odwróciła się.

– Co się stało? – nerwowo poderwał się profesor. – Słyszałaś coś?

– Nie, wydawało mi się.

– Jeśli coś usłyszysz, natychmiast mnie powiadom! Z wiekiem mój słuch się pogorszył. Potrzebuję twoich młodych oczu i uszu. O ile nie są to oczy zdrajczyń. Jesteś naprawdę moją córką?

– Tato, przecież widziałeś wszystkie badania!

– Badania-śmadania! – krzyknął profesor. – Potrzebuję świadka, wystarczy mi jeden. Chcę

wiedzieć, jakim sposobem rąbnęli te dokumenty!

– Tato, lepiej opowiedz mi o swoich przygodach. W końcu ja też nie jestem pewna, czy chcę mieć takiego ojca.

Profesor nieco się zdziwił, pomilczał chwilę i powiedział, ale znacznie ciszej:

– Rodziców się nie wybiera.

– Dobrych się nie wybiera – nie zgodziła się z nim Ko. – A takich, co tracą dzieci można zmienić.

– Zrób jeszcze kawy – zażądał profesor.

Ko posłusznie wyszła do kuchni i zajęła się parzeniem kawy. Usiłowała wyrzeć przez okno, ale było za wysoko umieszczone. Musiała wejść na taboret, żeby wsunąć głowę między pręty krat. Z okna widoczna była mała kamienna pustynia – pewnie jedyne pozbawione zieleni miejsce pod solidną marsjańską kopułą. Ale za płotem Ko zobaczyła znajomą postać. Stał tam Artur, w rękę trzymał telefon, a to oznaczało, że jest w kontakcie z księciem. Czekają. Dać im znak? Pomachać serwetką, niczym księżniczka zamknięta w zamku? Nie, przekonała samą siebie. Nie mam żadnych zobowiązań wobec nich i nie będę im pomagać. Przecież niewykluczone, że wymyślili jakieś świństwo w stosunku do Du Couvre?

Kiedy Ko wróciła z pełnym dzbanuszką kawy profesor, jak się wydawało, całkiem o niej zapomniał. Papiery dotyczące jej wyników odsunął na brzeg stołu, a przed sobą położył otwarty album ze znaczkami.

– Przyniosłam kawę – powiedziała Ko.

– Co? – zdziwił się profesor. – Co ty tu robisz, dziewczynko?

Ale zaraz się opamiętał, wziął w garść i nawet się uśmiechnął. Samymi wargami, raczej wyszedł mu grymas niż uśmiech.

– Starzeję się – powiedział – coraz bardziej. Ale wybac, nagle przyszedł mi do głowy pomysł – czy nie ma aby w zeppelinach z trzydziestego roku ząbkowania grzebieniowego?

– I co? – zapytała Ko nalewając kawę do filiżanek.

– Jutro sprawdzę – powiedział profesor. – Dziś mam gości. Co by nie mówić, kawę, jak widzę, potrafisz parzyć.

– Opowiedz mi jeszcze o waszym życiu, tato – poprosiła Ko. – Jak doszło do mojego zaginięcia?

– Żeby złodzieje nie mogli mnie obrabować zmieniłem swój dom w twierdzę. Ale pewnego dnia oni podłożyli bombę pod drzwi wejściowe. Ładunek uszkodził kopułę i omal nie udusił całej populacji naszego miasta. Na szczęście – obeszło się bez policji – społeczność naszej dzielnicy schwytała złodziei i natychmiast ich powiesiła na placu miejskim.

– Niemożliwe!

– Pisali o tym nawet w gazetach – opowiedział profesor. – Egzekucję pokazywano w telewizji. Oczywiście, potem zaczęły się straszne awantury, krewni i przyjaciele powieszonych przysięgali, że to byli niewinni młodzi ludzie, którzy przyjechali do nas na Marsa na wycieczkę. Odbył się proces, ale udowodniliśmy podczas jego trwania, że nie przekroczyliśmy granic obrony koniecznej. Gdybyśmy ich nie powstrzymali w odpowiednim czasie, z kopuły uciekłoby całe powietrze. Mars to nie Ziemia – tu nie wolno podkładać bomb. Po tym incydencie zmuszony byłem przenieść wszystkie swoje cenne okazy do sejfu bankowego. Nikt już się do nich nie dobierze. Ale dla mnie to nieszczęście!

– Dlaczego, ojczu?

– Dlatego, że dla prawdziwego kolekcjonera największym szczęściem jest rozkoszowanie się

swoją kolekcją. Mówi się, że Tamerlan, zebrawszy harem składający się z trzystu skonfiskowanych i wziętych do niewoli piękności, co wieczór ustawiał swoje żony w szeregu i długo wybierał tę, z którą miał spędzić noc. To był prawdziwy kolekcjoner, mój starożytny kolega!

- Historia ma do niego pretensje nie tylko o to – przypomniała Ko.
- Historia nigdy nie doceniała kolekcjonerów. Nie mam nadziei na godne w niej miejsce.
- A co było dalej?

Profesor zamyślił się. Jakoś nie pałał żądzą opowiadania o przeszłości.

– Może chodźmy, pokażę ci twój pokój? Tam spała twoja nieboszczka matka.

– Dobrze, ale proszę dokończyć opowieści o tym, jak się zgubiłam.

– Nie zgubiłaś się. Zostałaś porwana. To długa opowieść.

– Czy śpieszymy się gdzieś?

– Miałaś ciężki dzień – powiedział profesor. – Czas spać.

– No to w dwóch słowach.

– Jesteś niemile namolną dziewczuchą.

– Od dawna żyję bez rodziców – powiedziała Ko. – Charakter dziecka, pozbawionego rodzicielskiej czułości, nieuchronnie twarzenie.

Profesor popatrzył uważnie na córkę, westchnął głęboko i zaczął mówić:

– Ukryłem cymelia swojej kolekcji w szwajcarskim banku. Nie położy na nich łapy żaden poszukiwacz skarbów. Ale bandyci usiłowali pójść inną drogą.

– A co ja mam do tego? – zdziwiła się Ko.

– To, że banda porwała ciebie.

– Po co?

– Powiedziano mi, że oddadzą cię, kiedy przekażę im kolekcję.

– A jeśli nie przekażesz?

– To cię zabiją.

– No i co się stało?

– Powiadomiłem, oczywiście, policję. Policja przeszukała cały Mars. Ale na Marsie już ciebie nie było. Wywieziono cię.

– A potem?

– Twoja matka umarła ze zmartwienia. Tak, nie będę ukrywał przed tobą całego okrucieństwa życia – stałaś się przyczyną śmierci swojej matki. A przecież mówiłem jej – zrób skrobankę, nie możemy mieć dwóch skarbów! Ale ona obiecała, że urodzi mi syna, następcę, prawdziwego kolekcjonera.

– A urodziła mnie?

– Niestety, oszukała mnie. Urodziła ciebie.

– I pan mnie nie kochał.

– Odnosiłem się do ciebie lojalnie.

– I kiedy mnie porwano decyzja pana był natychmiastowa?

– Och, nie tak od razu! Moja decyzja kosztowała mnie bezsenność.

– A kiedy zdecydował pan, że nie jestem warta kolekcji, moja mama zmarła? – rzuciła Ko, wykazując się przenikliwością dziwną w tak młodym wieku.

– Twoja mama zmarła, ponieważ nie uchroniła cię przed porwaniem – zaoponował profesor.

– Przewidziała pańską decyzję, ojcze?

– Postaw siebie na moim miejscu – odpowiedział profesor uchylając się od spojrzenia jej w oczy. – Myślałem, że nic strasznego się nie stanie. To był szantaż! Miałem nadzieję, że policja z honorem wybrnie z sytuacji i szybko cię odnajdzie.

– Tato, powiedziałaś mi pięć minut temu, że cała policja jest przekupiona przez mafię i że jej nie ufasz.

– No tak, w pewnych sprawach nie ufam, a w innych ufam. Nie można tak prymitywnie uogólniać!

– Mama przewidziała wszystko, prawda?

– Powiedziała mi: już więcej nie zobaczę swojej córki. Wyszła z domu, a następnego dnia znaleziono ją poza kopułą, w przestrzeni bez powietrza. Umarła. Widocznie przypadkowo otworzyła komorę przejściową, z której korzystają remontowcy i wyszła...

– Przypadkowo?

– Znajdowała się w stresie, szukała ciebie. Poczowała się do winy. Powtarzam: zabiłaś swoją matkę.

– Jak? Bo dałam się porwać?

– Bo się przydarzyłaś!

– Może należało poświęcić kolekcję?

– Co ty mówisz! Żebym ja, taki dumny i uczciwy, poddał się takiemu bezczelnemu szantażowi bandytów? Na pewno nie. Mam swoje zasady!

– A najważniejsza z tych zasad to zachować kolekcję?

– Taka kolekcja, jak moja, nie należy już tylko do mnie – to skarb całej ludzkości. Nie mogłem unieszczęśliwić ludzkości!

– Pewnie jest wiele warta?

– Oczywiście, że jest wiele warta! – Profesor aż się obruszył. – W innym przypadku nie byłaby najlepszą.

– Dokonałaś znakomitej kolekcjonerskiej wymiany, tato – powiedziała Ko.

– Jakiej? – nie zrozumiał profesor.

– Wymieniłaś mamę i mnie na znaczek z wyspy Mauritius.

– Tam jest nie tylko Mauritius! Tam są takie okazy... – Profesor umilkł, ponieważ zrozumiał, że palnął coś głupiego.

– Niestety, wcale już nie jestem pewna, że chcę być pańską córką – powiedziała Ko.

– A ja wcale nie jestem pewien, że potrzebuję takiej córki. I muszę powiedzieć – moja córka nigdy by nie odzywała się tak niegrzecznie do swojego ojca.

– Chcę odejść.

– Odejdiesz, kiedy ja na to pozwolę – powiedział profesor.

– Nie, odchodzę!

– Teraz wszystkie wyjścia są zamknięte. Automat. Nawet ja nie mogę przed świtem otworzyć drzwi.

Ko rozumiała, że profesor nie żartuje. Podporządkowała się i zdecydowała, że wytrzyma do jutra, a potem, czy chce tego Milodar czy nie chce, porzuci tego szalonego egoistę.

Profesor zaprowadził Ko do ulokowanego za kuchnią pokoju, kolejnego betonowego pudła, z okienkiem pod sufitem, ponurej komory oświetlonej słabiotką żarówką.

W pokoju stało zapadnięte na środku łóżko, przykryte kocem tak zakurzonym, że kiedy Ko uderzyła weń dłonią, kurz wzbił się gęsto.

Profesor stał w progu i kaszłał.

– Nie ma tu innego pokoju? – zapytała Ko.

– Nie! – odciął profesor. – W innych pokojach są znaczki dublety, warianty i znaczki z pierwszych dni emisji.

Ko nagle zobaczyła, że w kącie, niemal zasłonięte drzwiami stoi dziecinne łóżeczko – jej własne dziecinne łóżeczko... W tym momencie uświadomiła sobie, że to przecież nie jej. To łóżko Weroniki. Nie wolno aż tak wchodzić w rolę...

Profesor życzył Ko dobrej nocy.

Ko podniosła z łóżeczka Weroniki lalkę. Postanowiła, że zawiezie ją przyjaciółce.

Potem wyniosła koc i poduszkę i wytrzepała je na korytarzu. Profesor wysunął się z gabinetu i zaczął coś krzyczeć, ale Ko nie zwracała na niego uwagi.

Na szczęście na Marsie panuje tropikalny klimat. Ko położyła się na kocu i starała się zasnąć. Przez okno widziała skrawek poszatkowanego kratą nieba. Na tle nieba pojawiło się coś ciemnego. To ciemne zasłoniło sobą cały błękit i wyszeptało:

– Ko, trzymaj się! Od ciebie teraz wszystko zależy.

Ko poznała głos ciemnoskórej muchy Vanessy.

Ucieszyło ją, że ktoś o niej pamięta.

– A gdzie jest komisarz? – zapytała.

– Nie może przeniknąć do ciebie. Dom wykonano z betonu hologramoodpornego. Ale pamięta o tobie. I życzy ci powodzenia.

– A co w moim przypadku znaczy powodzenie?

– Nie powiedział – odparła mucha i zniknęła.

Odleciała. Za oknem znowu pojawiły się jasne gwiazdy na niebieskim tle.

Rano profesor oczekiwał dowodów na to, że Weronika jest jego córką. Tym razem miał to być żywy świadek. Profesor kręcił się przy telefonie w oczekiwaniu na rozmowę z Arturem.

W końcu Du Grossi zadzwonił.

– Dzień dobry, profesorze, piękny ranek – powiedział. – Dzisiaj, jak się umawialiśmy – po obiedzie.

– Nie można wcześniej?

– Statki mają ograniczoną prędkość.

Profesor cisnął słuchawkę na widełki i oddalił się do swego gabinetu.

Ko męczyła bezczynność. Poprosiła profesora, by pokazał jej jakieś cenne znaczki, ale ten był nieugięty: ani jednego znaczka, wartego więcej niż sto tysięcy ecu, w domu nie ma. Oczywiście, jeśli dziewczynka chce pobawić się ruchomymi znaczkami Kassiopei, jadalnymi znaczkami wysp Czarnej Mgławicy, zmieniającymi na życzenie rysunek znaczkami Sriepiendopskiej Federacji czy, w końcu, całkowicie białymi znaczkami tajemniczej, jeszcze nie odkrytej planety Frakas – jej wola. Wszystkie te znaczki przechowywane są w domu i nie wzbudzają najmniejszego zainteresowania klasycznych filatelistów, w odróżnieniu od ludzi naiwnych i nie znających się na rzeczy. Jasne, że w innej sytuacji Ko z przyjemnością obejrzałaby znaczki, którymi nigdy wcześniej się nie interesowała, ale dziś jakoś nie miała ochoty upierać się przy swoim życzeniu.

– No to pooglądam album rodzinny – powiedziała. – Przecież zupełnie nie pamiętam swojej mamy.

– Ach – machnął ręką profesor – twoja mama była człowiekiem nie rzucającym się w oczy, powiedziałbym nawet – nudnym. Nawet nie udało jej się urodzić mi następcy.

– Trzeba było ożenić się drugi raz – zaproponowała bez cienia sympatii do profesora Ko.

Ten, nie wyczuwając kpiny odpowiedział:

– Zbyt duże ryzyko. Jeśli mogła mnie tak zawieść zwyczajna kobieta, która wyszła za mnie, kiedy leczyłem ryby i nie myślałem o znaczkach, to teraz na pewno podsunęłoby mi jakąś pazerną amatorkę mojego majątku. Podobną do ciebie.

Ko nie miała ochoty na sprzeczkę. Wtedy profesor westchnął, niezadowolony oderwał się od swoich albumów i przyniósł inny, niewielki, należący do mamy Weroniki. Było tam jej zdjęcie w mundurku gimnazjalistki – poważna, czarnowłosa dziewczyna z warkoczem, ułożonym w kształcie wieńca na głowie, bardzo podobna do Weroniki i trochę do Ko. Potem Ko znalazła zdjęcie ślubne, na którym profesor był bardzo podobny do siebie dzisiejszego, nawet przedziałek był taki sam. A mama Weroniki uśmiechała się nieśmiało, jakby spełniło się jej marzenie...

– Jak miała na imię moja mama?

– Miała głupie imię – Klara – powiedział profesor.

A oto i sama Weronika. Klara trzyma ją na ręku – uśmiechają się jednakowo. Tu Weronika leży na brzuszku, zadzierając ku górze niemal łysą jeszcze główkę...

Zadzwoił tłusty oberszambelan. Przekazał w imieniu księcia, że świadek przybył na Marsa i jest gotów do spotkania.

– Tak szybko to być nie może – na głos rozważał profesor. – To oznacza, że ten facet był przygotowany wcześniej. Jak oni chcą bym im ufał, skoro okłamują mnie na każdym kroku?

– Sądzę, że już poznali pański charakter – odpowiedziała Ko. – Wiedzą, jaki pan jest nieufny. Zaprosili więc świadka wcześniej.

„Po co ja ich bronię? Może dlatego, że nie lubię profesora? Wszyscy są dobrzy, każdy ciągnie kołderkę w swoją stronę, aż materiał trzeszczy. I papcio profesor ze swoimi znaczkami, i księżę z cukrowymi panienkami, i przystojniak Artur, któremu do szczęścia wcale Ko nie jest potrzebna... Ale kim jest świadek?”

– Gdzie się spotkamy? – Profesor wpatrywał się w ekran, na którym widniała ufryzowana głowa szambelana, człowieka leciwego i otyłego – księżę wybrał na pośrednika kogoś solidnego już na pierwszy rzut oka.

– Zgadzam się porozmawiać ze świadkiem w sali głównej poczty – oświadczył w końcu profesor – Dzisiaj i tak odbywa się stemplowanie pierwszej emisji serii, poświęconej otwarciu marsjańskiego ogrodu zoologicznego. O drugiej odbiorę swoje koperty, a potem możemy rozmawiać.

– Tam w sali? – zdziwił się szambelan.

– A czy to miejsce gorsze od innych?

– Ale tam pana pewnie wszyscy znają.

– Tym bardziej nie będziecie mogli zastosować tam żadnej swojej podłości.

– Nawet nie zamierzaliśmy, wasza wysokość – rzucił szambelan z miną człowieka, który nigdy i nigdzie z podłości rezygnować nie zamierzał.

Profesor Du Couvre pakował do wielkiej starej teczki klasery i zeszyty z naklejonymi znaczkami, pouczając Ko, jakby zamierzał zrobić z niej filatelistę:

– Może cię dziwi – mówił – że pakując się na tak ważne spotkanie biorę ze sobą teczkę wypełnioną miernymi dublami.

Przynajmniej przyznał, że spotkanie jest i dla niego ważne.

– Dla prawdziwego kolekcjonera nie istnieją drobiazgi. Przyznam ci się szczerze, że znacznie większą przyjemność sprawia mi przypadkowa wymiana jakiegoś na pierwszy rzut oka niepozornego znaczka na niewiele wart obrazek księżycowej poczty flyerowej, niż kupienie po katalogowej cenie czterobloku bezząbkowego polarfrachtu. Może mnie nie rozumiesz, ale i nie musisz. Najważniejsza rzecz to taka, że stale muszę być przygotowany! Móc w każdej chwili wyjąć z tej bojowej wysłużonej teczki potrzebny komuś kawałek papieru czy plastyku i wydrzeć za to dwa razy więcej pieniędzy. Właśnie dlatego stałem się słynnym i wielkim kolekcjonerem. Zajmując stolicę państwa nie zapominaj o tysiącach otaczających ją wsi i osad.

Ko pogodziła się z dziwactwami profesora – gorzej będzie miała Weronika. Ale przecież nikt nie zmusi jej do przeniesienia się do ojca i spędzenia swojego życia w marsjańskim zaścianku. A może w jej sercu obudzą się uczucia rodzinne, które pozwolą nie zauważać pewnych cech jego charakteru?

Szybko, bez krzątania, jak chirurg, pakujący sakwojaż na wyjazd do miejsca wypadku, profesor wypełnił teczkę Maserami, katalogami i, już skierowawszy się do wyjścia, nagle oświadczył:

– W każdym razie, jeśli okaże się, że jesteś falsyfikatem i przyjdzie mi cię zwrócić Wolfgangowi, to zostaną sobie na poczcie i nie zmarnuję czasu.

Ko drgnęła. Okazało się, że dwulicowy profesor wiedział albo domyślał się, na jaki los skazał Clarence, zdemaskowawszy ją i odmówiwszy uznania za córkę. Oczywiście, Ko nie znała osobiście Clarence, widziała ją tylko w muzeum, ale była przekonana, że Clarence była ofiarą nie tylko księcia, ale i profesora. Obaj mieli w nosie samą Clarence, Ko czy Weronikę. Ale Weronika przynajmniej jest bezpieczna! Jakie to niesprawiedliwe: Weronika jest córką profesora, a za oszustwo może zapłacić Ko. To jest cecha możnych tego świata – to oni zaspokajają swoje kaprysy kosztem prostego ludu. Przecież generałowie siedzą w schronach, podczas gdy żołnierze w deszczu i błocie maszerują ku swej śmierci.

Po drodze do urzędu pocztowego, przewidując pomyślne interesy w gronie kolekcjonerów, profesor stał się miłszy i nawet powiedział:

– Nie wykluczam, że rzeczywiście masz świadka. Nawet z mojego punktu widzenia – godnego zaufania. Nie wykluczam. Wtedy staniesz się moją córką. I pierwszą pomocnicą. Już dawno należało zrobić porządek w szafach w piwnicy – tam są tysiące albumów. Przecież kupowałem czasem całe kolekcje dla jednego czy dwóch znaczków. Co nieco potem sprzedawałem, żeby zwróciły się zakupy,

ale reszta wala się w piwnicy. Może się jednak na coś przydasz...

Ko zjeżyła się. Najmniej podobał jej się los klasyfikatora zakurzonych stert klaserów. Może lepiej przyznać się już teraz, że jest tylko przyjaciółką prawdziwej córki? To by było miłe, ale nie ma gwarancji, że Milodar zdąży uratować Ko przed gniewem Wolfganga. Nie ma takiej gwarancji.

Kiedy podjechali pod skromny, zagłębiony w marsjańskiej czerwonej glinie budynek urzędu pocztowego i zostawili samochód na parkingu, profesor obdarzył Ko zaufaniem i zaszczytem niesienia za nim ogromnej teczki.

Przy wejściu do urzędu tłoczyli się leciwi tylko i zwyczajnie już starzy Marsjanie z klaserami, czekając na rozpoczęcie stemplowania. Wielu witało profesora. Ale Ko miała wrażenie, że powitania te nie były specjalnie ciepłe.

Wnętrze urzędu tworzyła wysoka sklepiona sala, dookoła której znajdowały się okienka urzędników. Przy niektórych stały kilkuosobowe kolejki.

– Mamy kwadrans do rozpoczęcia stemplowania – powiedział profesor. – Gdzie jest twój świadek?

– Wiem tyle samo co i ty, tato – odparła Ko.

W tym momencie zza kolumny, krokiem rzymskiego senatora wyłonił się pan Artur Du Grossi, mąż Ko, a co za tym idzie – *incognito* zięć profesora Du Couvre.

– Ach, już pan jest! – rzucił rozczarowany profesor. Ko zrozumiała skąd się wzięło to rozczarowanie – jego spojrzenie już wychwyciło grupkę skromnie ubranych ludzi, którzy zgrupowali się wokół ławki, na której dorodny staruszek z dwoma długimi srebrnymi warkoczami rozłożył album ze znaczkami.

– Świadek czeka! – uroczyście zaintonował Artur i natychmiast odwrócił się do Ko, którą jakby dopiero teraz zauważył. Puściwszy do niej oko, tak, by nie zauważył profesor, zapytał oficjalnym tonem: – Jak się spało, Weroniko?

– Bez pana samotne są noce – bezczelnie rzuciła Ko, Artur zarumienił się, a profesor skrzywił.

– Nie cierpię takich żartów! – oświadczył.

Ko omal nie powiedziała, że to nie był żart, ale Artur gwałtownie pociągnął profesora ku grubej kolumnie, podpierającej sufit sali. Ko musiała pomaszerować za nimi, wlokąc teczkę, ciężką, jakby wypakowaną cegłami.

Tak więc z powodu teczki Ko nieco spóźniła się i podniosła oczy w chwili, kiedy profesor już witał się z panią Aaltonen, dyrektorką Wyspy Dzieci, oporą pedagogiki i wiernego pomocnika komisarza Milodara. Tak więc w pierwszej chwili Ko odczuła ulgę, że świadkiem jest swój człowiek i dopiero kiedy napotkała wzrok pani Aaltonen i zobaczyła w jej oczach prawdziwą panikę, zaniepokoiła się: czy aby wszystko przebiega zgodnie z planem komisarza?

– Dzień dobry – powiedziała nieśmiałym głosem Ko, tak jak powinna witać dyrektorkę domu dziecka jego pensjonariuszka.

– Ach – powiedziała dyrektorka. – To wy tu...

– Co się dzieje? – gwałtownie wtrącił się profesor. – Co jest? Czuję jakiś szwindel!

– Proszę pozwolić sobie przedstawić – wpadł mu w słowo Artur, najwyraźniej nie dostrzegający prawdziwej wymowy tej sceny – dyrektorkę domu dziecka na wyspie Kuusi, dobrze mówię?

– Dobrze...

– Doktor nauk pedagogicznych pani Rosa Aaltonen.

– Ou – powiedział profesor z pewną taką manierą, z „podwywaniem”, charakterystycznym dla

rozmów ludzi na wysokim poziomie. Z jakiegoś powodu zaklasyfikował panią Aaltonen do tego właśnie przedziału. Może wywarły na nim wrażenie gabaryty madame, jej podobieństwo do ogromnego pingwina, spotęgowane przez poważny czarny kostium i biały przodzik pani Aaltonen. – Przyleciała pani z Ziemi?

– Właśnie – powiedziała Aaltonen, a jej spojrzenie nerwowo miało się między profesorem, Ko i Arturem. Czasem jej spojrzenie mętniało, jakby starała się wsłuchać w swój głos wewnętrzny. Co prawda, jej głos wewnętrzny znajdował się, jak wkrótce zobaczyła Ko, dokładnie dziesięć metrów za Aaltonen i pochodził od dwu siłaczy księcia, którzy nawet nie usiłowali udawać, że są filatelistami.

– No to poproszę o pani paszport, dyplom i legitymację – wszystkie dokumenty, jakie raczyła pani wziąć ze sobą. – Profesor pokonał już pierwszą, pełną szacunku reakcję i jego zrzędlivość znów wzięła górę na innych odczuciami. – Chciałbym się przekonać, że jest pani sobą.

– O tak – powiedziała starsza kobieta i otworzywszy ogromną staromodną torebkę, zaczęła w niej grzebać. W tym momencie Ko zrozumiała, że pani Aaltonen, nie zdemaskowawszy jej w pierwszym momencie, tym bardziej nie zdemaskuje teraz. Może, mimo wszystko madame jest agentem komisarza?

– Ojczy – powiedziała Ko dotykając rękawa profesora. – To naprawdę jest nasza dyrektorka. Jest bardzo surowa, ale cieszy się naszym szacunkiem.

– Milcz! – profesor wyszarpnął rękaw z palców Ko i wyrwał Aaltonen jej galaktyczny paszport.

– Wierzę – powiedział rzuciwszy okiem na pierwszą stronę, po czym zwrócił dokument. Potem zerknął tęsknie przez ramię na rosnący tłum zbieraczy, ciągnących do okienka z okolicznościowym datownikiem. Profesor niepokoił się, że mogą zaznać przyjemności stemplowania bez niego – lata kolekcjonowania pozbawiły go już kryteriów oceny co jest dobre, a co złe, co ważne, a co jest drobiazgiem. Był niewolnikiem swojej kolekcji, a ta była cenna i ludzie stawali się dlań tylko zabawkami w walce o nią i jej wzbogacanie.

– Proszę mówić! – polecił profesor. – Kim jest ta dziewczyna?

– To jest – pani Aaltonen przełknęła ślinę. Jej wielka grdyka poruszyła się. Ko zmartwiała. A może dyrektorka nie jest agentem Milodara? Wtedy za kilka sekund rozlegną się tu strzały – atleci rozwałą falsyfikat. – To jest Weronika... – powiedziawszy to, dyrektorka nabrała odwagi i powtórzyła już pewnie: – Weronika!

– Skąd pani zna jej imię?

– Nadajemy dzieciom imiona... czasem z woli szczęśliwego trafu, z przypadku. Ale w przypadku Weroniki mieliśmy pewność co do jej imienia.

– Dlaczego? – profesor wczepił się w dyrektorkę spojrzeniem.

– Na szyi dziewczynki był złoty medalion. Znajdował się w niej stary pocztowy znaczek z napisem „Weronika”. Udało nam się wyjaśnić, że tak się nazywała mała angielska kolonia w na morzu Karaibskim, obok wyspy Trynidad. Znaczek datowany był 1886 rokiem...

– Czerwony? Trzypensówka? – Głos kolekcjonera zadrżał.

Zasłonił twarz dłońmi. Zaczął płakać.

Wokół wszyscy milczeli. Niezręcznie było patrzeć, jak dygocą wąskie ramiona tego króla znaczków pocztowych.

– Przepraszam... – Profesor otarł oczy rękawem, pociągnął nosem i zapytał: – A co się stało z tym medalionem?

– O! – zakrzyknęła pani Aaltonen. – Weronika uciekła z domu dziecka tak szybko, że zostawiła swoje ubranie i medalion.

– Czy pani go przywiozła? – zapytała Ko.

– Przepraszam, Ko... Weroniko! Myślałam, że pomogę ci odnaleźć swojego tatę.

Dyrektorka otworzyła swoją torebkę i długo, straszliwie długo grzebała się w niej, aż w końcu wyciągnęła papierową kopertę. Wydobyla z niej grubymi paluchami płaski cienki owal na cieniutkim łańcuszku.

– To ten! – krzyknął profesor. Wyrwał medalion z palców dyrektorki i otworzył go. Na dłoń wypadł mu znaczek, profesor wstrzymał oddech i wpił się weń spojrzeniem.

W końcu, przypomniawszy sobie, że nie jest tu sam, powiedział:

– To jest bardzo rzadki znaczek. Nie można było go podrobić, ponieważ pamiętam położenie stempla. Przez wszystkie te lata bardzo cierpiałem z powodu jego utraty ze swojej kolekcji. Dziękuję pani, madame, że zwróciła mi pani ten rarytas...

– Ma pan na myśli znaczek? – Dyrektorką wstrząsnęło duchowe zboczenie profesora. – Znaczek czy córkę?

– Z córką wszystko się wyjaśniło – machnął ręką profesor. – Przy okazji, to pani wyjęła z sejfu domu dziecka tajne mapy genetyczne?

– Tak – przyznała się dyrektorka, głos zdradzał, że jest załamana.

– Dużo pani za to zapłacili?

– Przysięgam, że ani grosza...

– Nieważne. Nawet jeśli to prawda, to zapłacono pani może nie pieniędzmi, ale milczeniem. Na świecie istnieje tylko własny interes i szantaż.

– Jak panu nie wstyd...

– Nie jestem lepszy od pani, madame Aaltonen. Ale ja, przynajmniej, nie udaję, że ludzie są mi drożsi od znaczków. Znaczek jest doskonałym tworem przyrody. Człowiek zaś jest skupiskiem błędów. Dlaczego mam zatem lubić bardziej ludzi niż znaczki? Dlaczego?

Pani Aaltonen milczała. Z trudem powstrzymywała się od łez.

– Teraz, ojcze, jesteś usatysfakcjonowany? – zapytała Ko.

– Teraz jestem usatysfakcjonowany, córeczko moja – odpowiedział profesor.

Wyjął z górnej kieszeni swojej marynarki, takiej wytartej, z błyszczącymi łokciami, małą plastikową kopertę i włożył do niej znaczek. Jego palce drżały. Potem schował kopertę, a medalion własnoręcznie zawiesił na szyi Ko.

– Noś – powiedział. – Wszystko się zgadza. Jesteś moją utraconą i zwróconą córką.

Jego oczy błyszczały. To było coś niezwykłego – widzieć błyszczące oczy tego papierowego szczura. Podniósł się na palce i ucałował policzek Ko.

– Co za szczęście! – krzyknął. – Dziękuję pani, madame Aaltonen, nie mam już wątpliwości. Wszyscy jesteście wolni. A ty, córeczko, poczekaj tu na mnie. Pilnuj teczki.

I z wielką ulgą, jakby wyrzuciwszy z głowy rozmówców i sam problem poszukiwania córki, runął w tłum filatelistów, którzy szturmowali okienko, gdzie można było otrzymać okolicznościowy datownik. Stamtąd niczym pojedyncze wystrzały dobiegał huk stempla.

Ko została sam na sam z Arturem i dyrektorką.

– Dziękuję – powiedziała – że pani przyleciała.

– Nie denerwuj się – odpowiedziała dyrektorka, mrugając białymi rzęsami. – Nie denerwuj się,

Weroniko. Wszystko będzie dobrze.

– Teraz, dziewczęta – zwrócił się do dyrektorki i jej uczniocy Artur – przed wami stoi zadanie – należy szybko odwieźć tego szurka do Rady, niech przyklepie ojcostwo, jak należy.

– Przecież to jego sprawa – zdziwiła się Ko. – Jak mam mu to powiedzieć?

– A co ty sobie myślisz, że „Sanssouci” może tu parkować wiecznie? – zapytał młody małżonek.

– Czy to ma coś ze sobą wspólnego?

– Jak będziesz za dużo wiedziała, to się szybko zestarzejesz – wysyczał Artur, zauważając, że profesor wraca do nich.

Odskoczył i odgrodził się stołem od profesora. Ten zauważył manewr, ale ustosunkował się do niego filozoficznie.

– A ten cwaniak ciągle się tu jeszcze kręci! Wiem, że ma nadzieję urwać kawałek z tego, co zedra ze mnie za rozmowę z panią, madame Aaltonen. Proszę się nie poddawać i targować jak diabli, bo inaczej nic dla pani nie zostanie. Przecież wiem, że oni nic nie robią za darmo. Jutro otrzymam od nich rachunek za odnalezienie mojej córki.

I z nieoczekiwaną dla niego czułością pogłaskał Ko po rękę. Zresztą, zaraz pomyślała, to nie czułość, tylko radość z powodu znaczącego uzupełnienia jego kolekcji.

– Jak się pani podoba moja córka? – zapytał dyrektorkę.

Ale ta nie myślała o Ko. Zajmował ją zupełnie inny problem.

– Pan powiedział, że przyleciałam tu – zawołała – w celu otrzymania określonej kwoty pieniędzy! Tak więc, nie ma pan racji!

Zza kolumny wysunął się tłusty szambelan i zawołał ją:

– Pani Aaltonen, pani Aaltonen, czekamy na panią!

– Oho – roześmiał się profesor. – Już się zaczęli krzątać, wystraszyli się, że ich pieniążki uciekną. – I zwracając się do kolumny, zza której wysuwała się fizys Artura, oświadczył: – Pani Aaltonen jedzie ze mną do merostwa. Słyszycie, kanciarze? Jest mi potrzebna do poświadczenia pewnego aktu notarialnego. Jedziemy!

Nikt nie odezwał się spoza kolumny. Tylko dwaj atleci księcia, stojący nieopodal, poruszali mięśniami, jak na pokazie. Potem, jakby podporządkowując się jakiemuś rozkazowi, pognali do wyjścia.

Zaniepokoiło to Ko. I, mimo że obiecywała sobie nie wtrącać się do stosunków wszystkich tych obcych jej ludzi, powiedziała cicho do profesora, gdy maszerowali przez salę:

– Ostrożnie, tato. Śledzą nas atleci księcia Wolfganga.

– A czegoś ty od niego oczekiwała? – odpowiedział pytaniem profesor. – Oczywiście, że nie spuszcza z nas oka. Żebyśmy im nie ukradli pani Aaltonen.

Odwrócił się do dyrektorki i wziął ją pod mocarną rękę. Był o głowę niższy i trzykrotnie chudszy, ale był też tak pewny siebie, że różnica w gabarytach była niemal niewidoczna.

– Madame Aaltonen – powiedział – czuję do pani prawdziwą sympatię. Niezależnie od pobudek, jakimi się pani kierowała przylatując tu, spełniła pani szlachetny uczynek – odtworzyła pani rodzinę. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by otrzymała pani należne jej wynagrodzenie i wróciła na Ziemię.

– Problem nie leży w pieniądzech... problem wcale nie w pieniądzech! – Głos pani Aaltonen drżał i rwał się.

– Dobrze, dobrze, niech się pani tak nie denerwuje. Pieniądze nikomu jeszcze nie zaszkodziły.

Przecież ważne są nie pieniądze, a pani szlachetny, uczciwy czyn.

Twarz pani Aaltonen stała się malinowa. Ko wystraszyła się, że policzki dyrektorki pękną pod ciśnieniem krwi.

A profesor niczego nie zauważał.

Otworzył drzwi samochodu i zaprosił panią Aaltonen do wnętrza. Potem sprawdził, czy Ko nie zgubiła drogocennej teczki i dopiero wtedy zajął miejsce za kierownicą.

– Mam nadzieję – powiedział pewnie prowadząc wóz – że może mi pani podarować jeszcze pół godziny swojego czasu, na dodatek bezpłatnie.

– Och, oczywiście! – zapewniła go dyrektorka.

– Cała operacja, w trakcie której będzie pani świadkiem nie zajmie wiele czasu. Skończymy z zagadkową przeszłością i otworzymy dla siebie przyszłość.

Samochód przyhamował przy budynku merostwa. Gmach przypominał bardzo pocztę, gdyby nie tabliczka na ścianie, można by było pomylić oba budynki. Na Marsie nie zapanowała jeszcze era własnych architektów i mód – budowano tak, jakby głównym zleceniodawcą była niezawodność.

Profesor poprowadził swoje towarzyszki na piętro i, wskazawszy twarde krzesła na korytarzu, kazał na siebie poczekać. Po raz pierwszy dyrektorka i uciekiniarka zostały same.

Ko obawiała się, że mogą być podsłuchiwane, czekała jednocześnie na pierwsze słowa dyrektorki. Ta jednak milczała. Ko już otworzyła usta, by zapytać, dlaczego nigdzie nie widać komisarza Milodara – wszak chyba kieruje całą tą operacją?

Ale nie zdążyła otworzyć ust.

– Ko, co ty tutaj robisz? – głośny szept dyrektorki zaskoczył ją. – Niemal zwariowałam przez ciebie.

– A kogo pani chciała tu zobaczyć?

– Jak to kogo? Oczywiście, że Weronikę. Przyleciałam, żeby ją rozpoznać. A kiedy zobaczyłam ciebie to dosłownie wpadłam w szok. Omal ciebie nie zdradziłam. Mogłam cię wsypać!

– Czyżby komisarz nie zdążył pani powiedzieć?

– A dlaczego komisarz miał mi coś mówić?

Ko zdziwiła się.

– Więc pani nie przyleciała tu na polecenie komisarza?

– Och nie! – Olbrzymie łzy oderwały się od białych rzęs dyrektorki i popłynęły po rumianych policzkach.

– O nie, ja tu jestem z powodu mojej przestępczej przeszłości! Jestem *rikollinen*. Jestem przestępcą, i tak winna wobec ciebie...

– Ale co? Co? Nic nie rozumiem.

Przez całe swe życie Ko przywykła do tego, że dyrektorka była najwyższym autorytetem, bogiem, kierującym sprawami wyspiarskiego świata. Upadek bóstwa był trudny do zrozumienia i akceptacji.

Pochlipując i smarkając w koronkową chusteczkę dyrektorka przyznała się Ko, że w młodości była „słodką dziewczuszką” – to znaczy wpadła w łapy Wolfganga Du Wolfa, który wówczas nie był ani Wolfgangiem, ani Du Wolfem, a był znany bardziej jako międzyplanetarny szuler karciany Karłusza, śliski jak węgorz typ, za którym ciągnęły się niczym ogony dziesiątki niedokończonych, z braku dowodów albo kruczków proceduralnych, spraw karnych. Był młody, przystojny, diabelnie bezczelny i śmiertelnie niebezpieczny dla romantycznie nastrojonych dziewczuszek, do których zaliczała się również młoda studentka Sztokholmskiego Konserwatorium w klasie harfy, Rosa

Aaltonen. Dziewczyna straciła głowę, rzuciła uczelnię i znalazła się w przejściowym haremie Karłuszy, który to harem nosił nazwę „plutonu słodkich dziewczynek”. Już wtedy organizm Karłuszy ani sekundy nie mógł wytrzymać bez cukru, dlatego życie w haremie miało wśród tortów, cukierków i likierów. Z konieczności więc truciznę, jeśli się ją komuś dawało, to dawało w ciastku, igły – wsypywano do konfitur, a tłuczone szkło – do miodu.

– Naszym marzeniem był... był kawałek śledzia albo ciemnego chleba. Gdyby nie władza, jaką miał nad nami Karłusza, rozbiegłybyśmy się na cztery świata strony, choćby dlatego, żeby zapomnieć o cukrze.

– Dlatego w naszym domu dziecka nie serwuje się słodczy i nie sładzi kompotu? – domyśliła się Ko.

– Dlatego – krótko odpowiedziała Aaltonen.

– A co było dalej?

– Mnie się powiodło bardziej niż innym. Nie zdążyłam zostać całkowitą niewolnicą – wpadł na czymś brudnym i musiał w tajemnicy uciekać z Ziemi, porzuciwszy kolejny harem „słodkich dziewczuszek”. Po kilku miesiącach tułaczki mogłam wrócić do domu i zostać nauczycielką. Moje życie wypełnione było ucziwą pracą, ale... książę pojawił się znowu w moim życiu.

– Był na naszej wyspie?

– Tak. Przyleciał do mnie we własnej osobie, wiedział, że nikt poza nim niczego by u mnie nie wskórał. Ale on powiedział mi, że wystarczy kilka jego słów i moja kariera na zawsze legnie w gruzach, że pozbawi mnie pracy, że cały świat się dowie... Wyobrażasz sobie – dyrektorka sierocińca w przeszłości była „słodką dziewczuszką” tego drania Du Wolfa! Lepiej już by mi było skończyć ze sobą.

– Proszę się uspokoić – usiłowała pocieszyć dyrektorkę Ko. – Nie powinna się pani tak denerwować.

– Więc zgodziłam się na przestępstwo... Poszłam na układ z tym zabójcą! Dałam mu dossier Weroniki Du Couvre. A on przysiągł mi, że nie wyrządzi jej żadnej krzywdy... Potem okazało się, że zło i książę są nierozłączni. Zginął Artem, zniknęła Weronika... Potem po prostu kazał mi lecieć ze sobą na Marsa i potwierdzić prawdziwość Weroniki... Możesz sobie wyobrazić, jakie było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłam ciebie... przerobioną na brunetkę.

– Proszę się nie martwić o Weronikę. Ja i komisarz ukryliśmy ją – odpowiedziała Ko, czując się starszą i nawet mądrzejszą od dyrektorki. To przekonanie brało się stąd, że ona, Ko, stała po stronie dobra i wiedziała, że jest ono silniejsze, dlatego też miała moralne prawo osądzać tych, co nie utrzymali się na tej szlachetnej drodze. I minie dużo czasu, zanim Ko zrozumie, że nikt człowiekowi nie dawał żadnego prawa sądenia cudzej słabości.

– Komisarz?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć...

– Myślisz, że komisarz zna całą tę sprawę?

– Kontroluje każdy nasz krok – zapewniła ją Ko.

– Być nie może! – Przeważenie zdeformowało rysy dobrej twarzy dyrektorki.

Ko popatrzyła do góry i zobaczyła, że po suficie biegnie ciemnoskóra mucha z „Sanssouci”. Mucha przycisnęła łapkę do warg, by Ko przypadkiem nie zdradziła jej obecności, a dziewczyna, czując, że przyjaciele są obok, poczuła się pewniejsza i spokojniejsza.

Chciała zadać dyrektorce kolejne pytanie, ale z gabinetu wyjrzał profesor Du Couvre.

– Szybciej! – zawołał. – Za moment zacznie się tu przerwa obiadowa. Przecież nie będziemy tu przyjeżdżali jeszcze raz.

Aaltonen i Ko wpadły do gabinetu, gdzie przy komputerach siedziało mnóstwo urzędników i urzędniczek, Ko zdziwiła się, z jaką łatwością profesor odszukał odpowiednie biurko i potrzebny mu komputer, gdzie panienska o nader surowym wyglądzie oświadczyła:

– Przez was straciłam dwie minuty swojej przerwy obiadowej.

– Wynagrodzimy to – zapewnił ją profesor.

– Jesteśmy chronieni przed korupcją – odparła dziewczuszka i wskazała sufit, na którym nad każdym komputerem płonęło zielone światełko kamery telewizyjnej. I niemal w tym samym czasie urzędniczka jęknęła i prawie zemdląła, widząc jak po suficie biegnie mucha lekarka. Mucha rzuciła się do tyłu i zniknęła z pola widzenia dziewczyny.

– Wydawało się to pani – powiedziała Ko.

– Tak pani sądzi? – zapytała urzędniczka.

– Szybciej, szybciej – rozeźlił się profesor, który nie dojrzał Vanessy. – Sama pani siebie pozbawia przerwy.

– Wszystkie dokumenty są gotowe.

Dziewczyna podała profesorowi plik papierów.

– To jest zaświadczenie z załączeniem wyników badań i świadectwa o tym, że Weronika Du Couvre jest pańską jedyną córką i spadkobierczynią. A to jest testament, w którym zapisuje pan cały majątek córce. Proszę podpisać szybko. Najpierw świadkowie. Pierwszy świadek – ja sama.

Podpisała się.

– Drugi – pani... Aaltonen? Proszę podpisać.

Pani Aaltonen złożyła podpis. Następnie dokumenty podpisali Ko i jej ojciec. Kierownik biura notarialnego szybko parafował zaświadczenie i testament.

– Gratuluję – powiedziała dziewczyna i pobiegła na obiad.

Sala z komputerami opustoszała.

Profesor złożył dokumenty i ukrył je w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Czy to właściwy sposób postępowania z dokumentami? – zapytała dyrektorka, milcząca do tej chwili z powodu poczucia winy.

– Nic się nie stanie – zlekceważył jej słowa profesor.

– Jeszcze nie wybieram się na tamten świat, a kopie są w komputerze. Nikt nie odbierze nam z córką naszej kolekcji.

– O nieszczęście! – jęknęła szeptem dyrektorka, a Ko nagle zrozumiała, skąd się wzięła jej rozpacz. Przecież to w znacznym stopniu z jej winy doszło do tego koszmarnego oszustwa, podłoże którego do tej chwili nie docierało do Ko. A teraz – teraz profesorowi może przydarzyć się nieszczęście, a wtedy Ko będzie jego spadkobierczynią. Chociaż formalnie Ko – nie, ponieważ najprostsze badanie genetyczne wykaże, że nie jest córką profesora. Sytuacja była zwyczajnie nadzwyczajnie zagmatwana i dyrektorka usiłowała wprowadzić Ko we wszystkie jej implikacje, póki szli do wyjścia. Ko kiwała głową i zgadzała się, ale zachowywała milczenie.

Przy wejściu do merostwa stał ogromny czarny samochód księcia z otwartymi szeroko drzwiami. Obok niego stali dwaj atleci i szambelan z pulchną twarzą. Nieco z boku cierpliwie czekał Artur Du Grossi.

– Pani z nami, pani dyrektor! – zawołał szambelan robiąc krok na spotkanie świadka.

– Proszę poczekać, jeszcze się nie rozliczyliśmy – usiłował wtrącić się profesor.

Ale dyrektorka nawet nie pożegnawszy się z nim i Ko, posłusznie pomaszerowała do czarnej limuzyny.

– Dziwne – powiedział profesor. – Dziwna kobieta. Niepokoi mnie jej los.

Nagle dyrektorka obejrzała się. Na jej twarzy widniał grymas rozpacz.

– Strzeż profesora – szepnęła do Ko – grozi mu niebezpiecz...

– Co ona powiedziała? – zapytał profesor.

– Martwi się o pana.

– Bzdury! – oświadczył profesor. – Jedziemy do domu. Gdzie teczka?

– Zostawiłam w samochodzie – powiedziała Ko. – Jest strasznie ciężka.

– Zwariowałaś chyba! – wrzasnął profesor rzucając się do swojego samochodu.

Otworzył drzwi, teczka leżała na fotelu. Profesor otworzył ją i zaczął grzebać w jej wnętrzu, przeliczać klasery.

Całkowicie zapomniał o dyrektorce. A Ko patrzyła na gwałtownie ruszający samochód księcia. Wydawało jej się, że widzi w oknie białą plamę twarzy dyrektorki. Wysoko na niebie, tuż pod kopułą, leciała nad samochodem wielka ciemnoskóra mucha w białym kitlu.

Ko niepokoił los dyrektorki. Przewidywała, że zaczną ją wypytywać, może nawet torturami wyciągną z niej całą prawdę o zamianie córek...

Póki jej tytułarny ojciec segregował koperty ostemplowane dzisiaj na pocztę, Ko przygotowała kawę. Wydawało się, że profesor całkowicie zapomniał o podpisywaniu takich ważnych dokumentów. Ale Ko nie mogła tego zapomnieć. Profesor, dobry czy zły, stał się ofiarą oszustwa z wielu stron. Oszukiwał go książę, Ko, Milodar. To się na pewno wyda. Nieważne kiedy i jak się wyda – gniew wszystkich zainteresowanych spadnie na Ko. Bo ona oszukiwała wszystkich. I nie ma tu jej obrońcy – Milodara.

Posegregowawszy koperty profesor zajął się czytaniem listów od kolegów i tak to trwało do południa. Ko zaproponowała, że przejdzie się do sklepu, żeby kupić coś na obiad. Mimo napięcia, z jakim oczekiwała podejrzanych odgłosów – stuknięcia, skrzypnięcia, dzwonka, miała ochotę zająć się czymś pożytecznym, na przykład poczęstować profesora smacznym obiadem. Przyznał się wcześniej, że od kilku dobrych lat odżywia się wyłącznie przekąskami i nawet nie włącza kuchenki. Ale profesor nie chciał wypuścić jej z domu. Okazało się, że on też wyczuwa niebezpieczeństwo.

– Poczekaj – powiedział – niech to szemrane towarzystwo odleci z Marsa.

Tak więc, żeby nie tracić czasu, Ko wymyła w całym domu podłogi, odkurzyła sypialnię profesora, posprzątała w kuchni i spiżarni, zmęczyła się jak na maratońskim biegu i – niestety – całkowicie zniszczyła ubranie, skonfiskowane słodkim dziewczuszkom.

Stary kolekcjoner nie był taki roztargniony, jak się wydawało. Zobaczywszy córkę pod koniec sprzątnięcia, zaprowadził ją na górę, do pokoju matki. Otworzył drzwi, ale sam nie wchodził do środka.

– Weź sobie jakąś sukienkę – powiedział. – Klara była wysoka.

Pociągnął nosem i szybko zbiegł po schodach.

Do pokoju żony profesora nikt nie wchodził od wielu lat. Na szczęście drzwi były szczelne, okno było zamknięte i kurz nie przeniknął do wnętrza, mimo że usiłował. Ale przez piętnaście lat cienka jego warstewka mimo wszystko zebrała się. I na starannie pościelonym łóżku, i na biurku, i na tremie... Ko przejechała palcem po wielkim lustrze, palec zostawił połyskujący głębią ślad.

Ko otworzyła szafę. Wisiało w niej kilka sukienek, spódnic, spodni – niewielki wybór jak na żonę bogatego mężczyzny. Wszystko było w ciemnych kolorach, bez żadnych ozdób.

Ko wybrała granatową sukienkę z wysokim, przypominającym mundurową stójkę, kołnierzykiem. W szufladzie komody pod lustrem znalazła igły i nici, dopasowała więc sukienkę do swojej figury.

Potem przymierzyła ją. Nie ulegało wątpliwości, że leży na niej znakomicie, mogłaby się w niej pokazać w dowolnym skromnym towarzystwie, a tym bardziej w towarzystwie ojca.

Zeszła do jego gabinetu.

I nagle rozległ się dzwonek od bramy.

– Otworzę, tato! – krzyknęła Ko i pobiegła do drzwi. Przez chwilę bawiła ją dziwna myśl: że naprawdę odzyskała swojego ojca i teraz będzie mieszkała z nim i nawet razem będą zbierali znaczki. Dlaczego, właściwie, nie mieliby zbierać znaczków...

I w takim niezwykłym i zafałszowanym nieco stanie ducha Ko podbiegła do drzwi.

Za nimi stał Artur Du Grossi.

– O matko! – jęknęła Ko. – A ty tu po co?

– Przyszedłem złożyć gratulacje z powodu odtworzenia rodzinnego stanu – rzucił Artur.

Artur był odświętnie i wspaniale ubrany: na złocisty frak narzucił atłasową pelerynę, z haftem przedstawiającym wilcze głowy – herb klanu Du Wolfów. Do czego ani Wolfgang, ani jego zauszniczy nie mieli prawa. W rękach Artur trzymał bukiet kwiatów.

– Może lepiej nie? – zapytała z prośbą w głosie Ko.

– Tak – odparł Artur.

Odsunął Ko pod ścianę. Z gabinetu profesora dochodził klekot archaicznej maszyny do pisania. Artur poprawił uczesanie i długimi krokami skierował się do gabinetu. Ko pobiegła za nim.

Artur podszedł do profesora, który podniósł się z krzesła zaskoczony widokiem tak szykownego gościa.

– Proszę przyjąć gratulacje – powiedział – z powodu *reunion* naszej rodziny.

– Jak pan powiedział? *Reunion*? Mówi pan po francusku?

– Trochę, profesorze.

– W takim razie dziękuję za bukiet, za gratulacje i pozwoli pan, że mu powiem: *orevoir*.

– Jak pan powiedział?

– Powiedziałem po francusku. Do widzenia.

– O nie – uśmiechnął się Artur i, lekkim ruchem odpiąwszy atłasową pelerynę, cisnął ją na oparcie krzesła. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, papciu.

– A co właściwie ma pan na myśli? – Profesor cofnął się przytłoczony gabarytami i mocą gościa.

– A to, że jestem pana zięciem.

– Proszę to wyjaśnić! – zawołał profesor.

– Co tu wyjaśniać. Jestem mężem waszej córki. Może przejdziemy na ty, papciu?

– Proszę natychmiast przestać świntuszyć tu i opuścić mój dom! – pisnął profesor.

– Spokojnie. Usiądźmy... Weroniko, przynieś nam wina!

– Weroniko, nigdzie nie odchodź! – rozkazał profesor. – Ty mi powiedz, co to wszystko znaczy!

– Nie trzeba do tego mieszać mojej kochanej malutkiej żoneczki – odezwał się natychmiast Artur.

– Jeśli jest pan piśmienny, to proszę sobie to przeczytać.

Artur podał profesorowi arkusz papieru, a Ko zrozumiała, że to kopia ich aktu ślubu.

– To niemożliwe! – profesor zamierzał podrzeć kartkę, ale Artur powstrzymał go:

– Proszę się nie starać, profesorze, przecież może pan sobie wyobrazić ile mamy kopii?

– Weroniko, córko, powiedz, czy to prawda?

– Tak, to jest prawdziwy dokument, ale mam nadzieję, że nie ma on mocy... Chociażby dlatego, że jestem niepełnoletnia.

– Na naszej planecie nie istnieje coś takiego jak pełnoletniość! – replikował Artur. – Dokument został sporządzony w zgodzie ze wszystkimi regułami. Tak więc proszę o przydzielenie mi pokoiku na strychu tego domu.

I roześmiał się wesoło, demonstrując wspaniałą zdrową zuchwę, w każdy zęb który wstawiony był brylancik, by uśmiech był jeszcze promienniejszy.

– Zresztą, pokoik nie jest mi potrzebny, mam nadzieję, że kupi nam pan z młodą żoneczką jakąś ładną willę, najlepiej z basenem.

Ko musiała w duchu przyznać, że Artur był draniem i wspaniałym facetem. Gdyby trafił na człowieka z lepiej rozwiniętą sferą emocjonalną, to podziałałby na niego po prostu ogłuszająco. Ale profesor, który swego czasu z zimną krwią odmówił porywaczom okupu za swoją jedyną córkę, który stracił żonę tylko dlatego, że kolekcja była dlań ważniejsza od wszystkich ludzi razem i oddzielnie wziętych, nie zamierzał poddawać się naciskowi Artura.

Opanował się, zwrócił Arturowi akt ślubu i oświadczył zimnym tonem:

– Proszę opuścić mój dom. Proszę zabrać ze sobą tak zwaną moją córkę. Nie zamierzam trzymać w domu przedmiotu, mogącego posłużyć za narzędzie szantażu.

A więc uważają za przedmiot i narzędzie... A zresztą, czy nie ma racji? Oczywiście, że księżę wykorzystuje ją jako narzędzie, jako wytrych do skrzyń pana profesora. Ale martw się, Ko. Przecież właśnie z tym przestępstwem walczymy. Wraz z zaginionym komisarzem Milodarem.

– Wypędza pan z domu własnego zięcia? No to już przesada! – teatralnie obruszył się Artur.

– Ty też odejdz. – Profesor patrzył na Ko zimnymi, pozbawionymi wprawdzie nienawiści, ale tak zimnymi i obojętnymi oczyma, że Ko od razu wiedziała: księżę przegrał – nie dostanie żadnej doli z kolekcji profesora.

– A jeśli będziecie się sprzeciwiać – kontynuował profesor – to zawołam policję. Proszę pamiętać, że mój zamek znajduje się pod ochroną. Każda próba zaszkodzenia mi jest skazana na niepowodzenie.

– Głupstwa pan gada, profesorze! – gwałtownie odpowiedział Artur biorąc do ręki swoją wilczą pelerynę i narzucając ją na ramiona. – Kto by chciał napadać na pana? Cały świat wie, że swoje skarby ukrywa pan w sejfach banku. Co osiągnę zabijając pana, poza tym, że narażam się na niebezpieczeństwo schwytania.

– I powieszenia! – triumfalnie dodał profesor.

– Zamiast tego proponuję panu przyjaźń. I pokój. I ochronę. Będę żył nieopodal, będę chronił pana, dostarczał rozrywek...

– Obejdę się!

– Będziemy mieli z Weroniką dzieci... Będzie pan spacerował z wnuczętami. Czyżby nie chciał pan, by mocne hałaśliwe maluchy ganiały po tych mrocznych korytarzach?

Wypowiadając te słowa popełnił Artur fatalny błąd. Nie wiadomo kto wymyślił ten monolog, on sam, czy jacyś mądrali psycholodzy z „Sanssouci”, ale widok małych mocnych wnucząt, cwałujących po korytarzach domu i drących na strzepy cenne znaczki wydał się profesorowi tak potworny, że błyskawicznie stał się jednym wielkim kłębem energii i rzucił się na Ko i jej męża z takim impetem, że po minucie oboje znajdowali się na ulicy, a zza drzwi dobiegały ich krzyki:

– Wnuczęta! Bandyci! Ukraść... zniszczyć... prędzej śmierć!

Artur stał przed drzwiami, mięśnie na policzkach napinały się i poruszały.

– Chcesz śmierci? – rzucił szeptem. – To się doczekasz.

– Jutro idę do adwokata! – profesor uchylił okienko w drzwiach i wysunął przezeń grozący palec.

– Dezawuuję ojcostwo. Nie mam córki! Każdy sąd mnie zrozumie!

Prask! – zatrzasnęło się okienko.

Dom milczał.

– Można się było tego spodziewać! – powiedział Artur. – Ale księżę i tak będzie niezadowolony.

Planował, że profesor pokrzyczy, pokrzyczy, a potem uspokoi się i zostawi mnie w domu.

– Nie, to nie miało szans powodzenia – powiedziała Ko. – Kompletnie nie znacie profesora.

– A ty może znasz go lepiej?

– Tak, byłam trochę obok niego. Krótko, to fakt. Ale wiem, że on jest pozbawiony ludzkich uczuć.

A jeśli nawet gdzieś je ma... gdzieś głęboko ukryte... to należy je otwierać długo i cierpliwie, przy pomocy dobra.

– Na dobro nie mamy czasu. Musimy działać.

– Jak działać?

– Zdecyduje księżę.

Wsiadli do czarnej limuzyny. Z tyłu siedział milczący goryl, podobny do żeliwnej szafy. Artur połączył się przez radio ze statkiem. Na małym monitorze pojawił się wizerunek księcia. Jego jasne włosy były roztrzepane. Jadł lody, a jasne smużki spływały po podbródku.

– Przegonił nas – zameldował Artur.

– Weronikę też?

– Domyśliłeś się, księżę?

– To logiczne. Jak tylko zobaczył twój bezczelny pysk i usłyszał, że zamierzasz na wieki osiedlić się w jego domu, musiał wystraszyć się o swoją kolekcję.

– Powiedziałem mu o wnuczętach.

– Nie ucieszyło go to?

– Wręcz przeciwnie. Wściekł się. Właśnie po tym wygonił Weronikę.

– To naturalne – roześmiał się księżę. – Oczywiście – jest teraz najbardziej niebezpieczna, jako ludzkie urządzenie, z którego pojawiają się dzieci.

Wolfgang przez chwilę śmiał się serdecznie, dookoła słychać było śmiech innych ludzi – widocznie księżę delectował się lodami w większym towarzystwie.

– Jakie są rozkazy? – zapytał Artur.

– Jakie mogą być rozkazy? – odezwał się księżę mrugając do Artura. – Żadnych. Wypoczywaj, mój kochany. Poczekamy aż profesor zmieni swój felerny punkt widzenia. Poczekamy... cierpliwie.

– Tak jest – odpowiedział Artur uśmiechając się również.

Dla Ko nie ulegało wątpliwości, że obaj lżą w żywe oczy. Coś już zaplanowali, jakieś kolejne świństwo. Ale jakie?

– Księżę – ciągnął Artur. – Co mam zrobić z Weroniką? Przecież ona została pozbawiona domu! Czy możemy wynająć pokój w hotelu? Chciałbym, w końcu, zrealizować swoje małżeńskie obowiązki!

– Zdążysz jeszcze – odpowiedział Wolfgang Du Wolf. – Zrealizujesz. Wszyscy je zrealizujemy. Ja też kocham twoją żoneczkę, jest taka słodziutka... A nadeszła pora wymienić moje słodkie dziewczynki, czas na zmianę! Kocham młodzież!

– Dobrze, księżę – zgodził się natychmiast Artur. Jakby nie spodziewał się innej odpowiedzi. – To gdzie mam ją ulokować? Na statku?

– W żadnym wypadku! Dziewczyna musi być na widoku, dokoła muszą znajdować się pewni, nieprzekupni, niepodważalni świadkowie. Co proponujesz?

– A gdybyśmy zameldowali ją w hotelu z dyrektorką Aaltonen? I tak czeka na jutrzejszy rejs na

Ziemię – zapytał Artur, ciągnąc wyreżyserowaną grę.

– Świetny, pomysł. Tylko zapytaj o pozwolenie czcigodną damę. Czy ona zgodzi się na pewne niewygody?

– Oczywiście, książę.

– I poproś ją, by nie spuszczała oka z twojej żony.

– Tak jest, książę.

– Dla pewności każę zamieszkać w tym hotelu naszej lekarce Vanessie. Niech przebywa z kobietami. Może potrzebna będzie pomoc medyczna.

– I nie zaszkodzi dodatkowe oko – dokończył za księcia Artur.

– A ty szybko wracaj do mnie. Zagramy w szachy. Kupiłem tu wspaniałe szachy, wyobrazasz sobie – białe z landrynek, czarne – z czekolady. Jakimi chcesz grać?

– Co to za różnica, i tak mi żadnych nie zostawisz, książę – uśmiechnął się Artur.

Książę rozłączył się śmiejąc serdecznie, a Artur powiedział z obrzydzeniem:

– Nie znoszę słodyczy. Nawet herbatę piję bez cukru.

– Świetnie cię rozumiem – zgodziła się jego młoda żona.

– Słyszałaś, że mam cię zawieźć do hotelu? Dyrektorka zamieszkała w apartamencie. Dwupokojowym. Przenocujesz ze swój ukochaną nauczycielką.

Ko chciała sprzeciwić się, powiedzieć, że już nie zalicza Aaltonen do grona swoich ulubionych pedagogów, ale samochód pędził po ulicach marsjańskiego miasta i dziewczyna zdecydowała, że nie będzie się niczym dzielić ze swoim mężem.

– Może powinniśmy wszyscy odlecieć? – zapytała.

– Dlaczego? Jeszcze powalczymy sobie w sądzie – odpowiedział Artur. – Jesteś jego prawną córką, a ja – prawnym zięciem. Niech spróbuje udowodnić coś przeciwnego.

– Bardzo chcielibyście odebrać mu część jego bogactwa, prawda?

– Oczywiście, po co byśmy wszczynali całą tę aferę!

W hotelu, w komfortowym schronieniu bogatych turystów, dyrektorka zajmowała obszerny apartament na trzecim piętrze. Kiedy zadzwonili do jej drzwi, otworzyła niemal od razu – okazało się, że książę uprzedził ją o gościu i dyrektorka wcale nie miała nic przeciwko wtargnięciu Ko. Nawet więcej – wydawała się zadowolona z towarzystwa.

Artur dodał jeszcze, że jeśli książę naprawdę zdecyduje się przysłać tu lekarkę, to ta zadzwoni najpierw do pani Aaltonen.

– Siedźcie tu – polecił Artur wychodząc – i nie wysuwajcie nosa z pokoju. Do miasta nie wychodźcie, mogą się do was przyczepić ciemne typki – a potem będzie za późno na ratunek.

– Nie wybieramy się nigdzie – odpowiedziała dyrektorka.

Madame Aaltonen była blada, miała podkrążone oczy i wyglądała na sto lat starzej niż zazwyczaj.

– No i dobrze – pouczającym tonem rzucił Artur.

– Musimy mieć niepodważalne alibi. Tak więc nie musicie się ukrywać w apartamencie – możecie tu zamówić kolację, napoje chłodzące, poprosić o szachy, domino i gry komputerowe, możecie się skarżyć na szwankujące oświetlenie, dzwonić do domu i nawet tłuc naczynia...

– Jeszcze czego! – oburzyła się dyrektorka.

– Żartuję – odpowiedział Artur.

Ko nie zdążyła uchylić się – pocałował ją w policzek.

Drzwi się za nim zamknęły.

Zostały same.

– Boże mój, tak się o ciebie bałam! – powiedziała dyrektorka siadając na kanapie i wskazując Ko miejsce obok siebie. – Ci ludzie są gotowi na wszystko.

– A ja martwię się o profesora. Bardzo mi się nie podobała rozmowa Artura z księciem. Sądzę, że coś wymyślili – powiedziała Ko. – Jak mogę odszukać Milodara?

– Jakże niemiło jest mi się przyznawać – powiedziała dyrektorka – ale myślę, że komisarz śledzi przebieg wydarzeń, ale nie chce, by ktokolwiek się tego domyślił. Obawiam się, że wie już również o mojej roli w tej historii.

Dyrektorka przyłożyła do koniuszka nosa koronkową chusteczkę i siąknęła.

– Myślę, że nie będzie się bardzo gniewał – starała się pocieszyć panią Aaltonen jej uczennica. – Przecież była pani szantażowana. Nie chciała pani dla szkoły skandalu.

– No właśnie, dla *koulu*, dla mojej Wyspy Dzieci! Nie wyobrażasz sobie, jaki wybuchłby skandal, gdyby się wydało, że dyrektorką na wyspie jest była słodka dziewczynka księcia Du Wolfa! Ale ja i tak nie wrócę na wyspę.

– Dlaczego?

– Odejdę na emeryturę i ukryję się gdzieś. Ponieważ nie mam moralnego prawa pracować z dziećmi. To będzie moja pokuta.

Ko nie sprzeczała się z dyrektorką. Może, jeśli ona sama tak odczuwa swój winę, lepiej będzie odejść na emeryturę. Ale – mimo że wcześniej pomnikowa dyrektorka wprawiała ją w onieśmienie – było jej żal tej kobiety. Okazała się po prostu słabym człowiekiem i ciężar zaszłości po prostu ją zmiażdżył.

Ko wystukała numer restauracji i poprosiła o włączenie na monitorze menu.

– Jak możesz myśleć o jedzeniu? – powiedziała z wyrzutem dyrektorka. – Nie mogłabym przełknąć ani kęsa.

– A ja – przeciwnie – głosem doświadczonej życiowo wędrowniczki odpowiedziała sierotka. – Muszę się pokrzepić. Nie wiem, co nas czeka w najbliższym czasie. Ja dzisiaj wypiałam tylko dwie filiżanki kawy.

– Och nie! – pani Aaltonen i ułożyła głowę na rękach.

Kiedy tace z jedzeniem pojawiły się w pokoju, Ko odniosła je na taras, gdzie było nieco chłodniej. Wiał tam lekki sztuczny wiaterek i panował przytulny półmrok letniego wieczoru, tworzonego według czasu ziemskiego, kiedy kopuła, stając się ciemnymi okularami miasta, przepuszczała tylko światło jasnych gwiazd.

Pani Aaltonen wyszła na taras, by towarzyszyć swojej wychowanicy, ale kiedy ta zaczęła z apetytem młodego stworzenia pochłaniać kotlet pochrupując frytkami, dyrektorka nie wytrzymała – nic co ludzkie nie było jej obce – włożyła do ust plasterki pomidora, potem listek sałaty, w końcu

chwyciła w dłoń nóż i widelec. Ko chciała uśmiechem dodać jej otuchy, ale powstrzymała się, i udała że jest całkowicie zajęta jedzeniem.

Łagodny wieczór, muzyka, dochodząca z pobliskiego parku, wyhodowanego przez Marsjan mimo pesymistycznych przewidywań ziemskich specjalistów, ukoła stan nerwów dyrektorki. Zaczęła rozmawiać normalnym tonem, odzyskując intonacje właściwe damie.

– Zapewne – oświadczyła – najbardziej nieoczekiwaną i nieprawdopodobną dla mnie próbą jest spotkanie z tobą. Przecież leciałam tu, pocieszając się, że zaraz zobaczę Weronikę i pomogę jej połączyć się z ojcem. Rozumiałam, że na księcia należy uważać i jeśli prosi o coś, to ma na myśli tylko własne korzyści. Ale łudziłam się, że ważniejsze jest scalenie rodziny, a potem przyjdzie czas na zastanawianie się, co zrobić z Wolfem.

Dyrektorka odcięła połowę kotleta i w zamyśleniu przeżuwała go. Przeżuwszy, kontynuowała:

– Kiedy zamiast Weroniki zobaczyłam ciebie, udającą Weronikę, przeżyłam wstrząs. Miałam sekundę na zorientowanie się, co oznacza ta maskarada.

– Szybko się pani zorientowała – pochwaliła ją Ko.

– Przed moimi oczami pojawił się wizerunek komisarza Milodara i domyśliłam się, że ta podmiana to dzieło jego rąk. Nawet domyśliłam się, dlaczego tak postąpił.

– Dlaczego?

– Dlatego, że Weronika były zakochana w Artemie, dlatego, że ona już rozgryzła podmianę, była w panice... Przecież znam ją, to jest miłe, słabe stworzenie – nie nadawała się zupełnie na pomocnicę Milodara.

– A ja?

– Ty się nadajesz. Ty masz w sobie żyłkę awanturnicy. Szukasz przygód. Jesteś trudnym dzieckiem. A Weronika – to dziecko przyjemne w wychowywaniu, mądre i posłuszne. Przyznaj – Weronika zauważyła podmianę ukochanego?

– Podmieniłam ją w ostatniej chwili, była już bliska hysterii...

– A gdzie jest teraz? Ach, zresztą, co ja mówię – jasne, że Milodar ukrył ją gdzieś. Obawia się, że na wyspie ma jakichś wrogów.

– I ma rację...

– Jeśli myślisz, że to ja jestem jego wrogiem, to się bardzo mylisz. Chylę czoła przed jego zdolnościami. I przysięgam, że byłabym i nadal wiernym jego pomocnikiem, gdyby nie przyleciał ten przeklęty książę i nie przypomniał mi o haniebnej karcie mojej biografii. Przywiózł taśmy... taśmy, gdzie ja, naga, wysmarowana wiśniowymi konfiturami, tańczę przed pijanymi dworzanami i marynarzami... A potem on robi... nie, za wcześnie, byś wiedziała co się robi z naiwnymi dziewczętami.

– Jak za wcześnie, to za wcześnie – filozoficznie zgodziła się Ko, przekonana w duchu, że jej wykształcenie, co prawda tylko teoretyczne, w tej materii znacznie przewyższa doświadczenie dyrektorki. Właśnie ta swoista naiwność tej kobiety, doprowadziła ją swego czasu do upadku. Ale przecież nie będzie opowiadała tej leciwej już damie na czym polega kobieca mądrość i kobieca naiwność.

– W życiu każdej kobiety – dyrektorka zajęła się lodami, rozkosz rozplynęła się po jej różowym obliczu – następuje taka chwila, kiedy staje się niebezpieczna nie tylko dla otoczenia, ale przede wszystkim dla samej siebie. Ta chwila wiąże się z paniką. Właśnie z paniką, moje dziecko. Pewnego pięknego dnia podchodzisz do lustra i dostrzegasz w kącikach oczu zmarszczki, albo widzisz

pierwszy siwy włos. Wtedy jak lawina wali się na ciebie świadomość, że twoje życie jest urządzone zupełnie nie tak, jak powinno, że praca tylko cię niszczy, że twój mąż jest ciębie niegodzien, że życie toczy się zbyt szybko i jeśli nie chwycisz się poręczy ostatniego wagonu, to pociąg odjedzie na zawsze. I wtedy jesteś gotowa wybiec na ulicę i rzucić się w objęcia pierwszego lepszego niegodziwca, który wyróżnia się tylko tym, że nie jest podobny do uczciwych ludzi, którzy cię otaczali. Powiedz mi, Ko, co mogło zmusić mnie, prymuskę, najlepszą studentkę konserwatorium, ubóstwiającą harfę, jednej nocy zniszczyć cudowny i drogi instrument, uciec z akademika i ocknąć się dopiero w podejrzanym hoteliku? W objęciach pachnącego likierem i karmelkami białowłosego przystojniaka, by spędzić z nim kilka miesięcy w jakichś spelunach na Ziemi i innych planetach, zapominając o wszystkim – o rodzicach, o obowiązku przed ludzkością, o Bogu... Teraz ze strachem i jakimś dziwnym zachwytem wspominam te noce Walpurgii – jakby to wszystko przydarzyło się nie mnie! O nie, inna dziewczyna pędziła na *lautta* po wzburzonej rzece. Dlatego wydaje mi się, że taki wybuch jest najniebezpieczniejszy dla dziewczuszek o naturze posłusznej, spokojnej, opanowanej ...

– Dla prymusek – podpowiedziała Ko.

– I dla takich jak ty, ponieważ zawsze znajdowałaś sedno w cudzych błędach.

Dyrektorka zamyśliła się.

Z nieba wolno spłynęła mucha w białym kitlu i usiadła na poręczy tarasu, w pewnej odległości od pani Aaltonen, żeby nie przestraszyć jej swoim pojawieniem się.

– Dobry wieczór! – przywitała ją Ko.

– Ach! – zawołała dyrektorka, ale Ko była przygotowana na taką reakcję i natychmiast zapytała muchę:

– Kawy czy herbaty?

– Nic, dziękuję, już piłam herbatę – odpowiedziała ciemnoskóra mucha.

– Nie znacie się panie – powiedziała Ko. – Vanessa jest naszym lekarzem. Jest dla mnie bardzo dobra. A to pani Aaltonen, dyrektorka mojego sierocińca.

– Wszystko wiem o przełożonej twojego sierocińca – odpowiedziała mucha.

Ko wyczuła osąd w jej słabiutkim brzęczącym głosie.

– No i dobrze – powiedziała Ko. – A co nowego u naszego przyjaciela komisarza?

– Komisarz jest zajęty pilnymi sprawami w Centrum Galaktycznym i nie może przylecieć.

– No to niech przyśle tu swój hologram – zaproponowała Ko.

– Niestety, na takich dystansach hologramy są niestabilne. Komisarz będzie miał czas jutro rano i natychmiast pośpieszy tutaj. Musicie więc wytrzymać do rana. Dacie radę?

– Postaramy się – powiedziała Ko i zerknęła na dyrektorkę.

– Obawiam się, że mało będzie ze mnie pożytku – powiedziała ta.

– Ale szkoda mogła być – rzuciła bezlitośnie mucha.

Dyrektorka zasepiła się. Madame Aaltonen gotowa była sama siebie oskarżać i nawet wykonać wyrok. Pozwoliłaby na to komisarzowi, ale nie ciemnoskórej musze.

– Będę możliwie blisko ciebie, Weroniko – powiedziała mucha.

– Nie Weroniko – poprawiła ją naburmuszona dyrektorka. – Czyżby do tej pory pani nie zrozumiała, że to dziewczę ma na imię Ko?

– Nie rozumiałam – odpowiedziała mucha. – Może dlatego, że nie wiem czy są tu urządzenia podsłuchowe.

I wzbiwszy się w powietrze zniknęła w ciepłym mroku.

– No, raczej nie – mruknęła skonfundowana dyrektorka.

Zrozumiała, że popełniła błąd, ale tak już przywykła do popełniania ich, że do tego ostatniego nie chciała się przyznać.

– Coś zimno się robi – rzuciła, choć wieczorne powietrze przypominało ciepłe mleko. – Może wracajmy do pokoju...

Ko usłuchała.

Telefon zadzwonił właśnie w chwili, kiedy znalazły się w pokoju.

Dyrektorka jęknęła i szepnęła:

– Nie podnoś!

Jakby telefon czymś mógł zagrozić. Ale Ko była już przy telefonie. Włączyła go. Na ekranie pojawiła się twarz profesora Du Couvre.

– Chwała bogu! – powiedziała dyrektorka z ulgą. Widocznie była pewna, że ujrzy na monitorze kogoś innego.

– No, chwała bogu – powiedział profesor. – Już myślałem, że nigdy cię nie ujrzę, że ukryli cię, wywieźli z Marsa albo nawet, zabili.

Niezwykłe było widzieć tak podnieconego, zdenerwowanego profesora i słyszeć tak nerwowe słowa.

– Wszystko w porządku, żyjesz? – zapytał.

– Tak, dziękuję ojciec – odpowiedziała Ko ponownie grając rolę Weroniki. – A jak twoje sprawy?

– Moje? Sprawy? Boję się, czuję się samotny, ogarnęły mnie koszmarne przeczucia, Weroniko. Jesteś pewna, że nic ci nie grozi?

– Nie obawiaj się o mnie.

– Nie miałem racji wyganiając cię. Myślę, że oni użyli jakiegoś oszustwa, by wydać cię za tego... Artura. Powiedz mi, że tak było. Jutro adwokaci Marsa rozliczą się z tym podlecem, według prawa Marsa jesteś niepełnoletnia. Jesteś teraz w hotelu?

– Tak, w pokoju pani Aaltonen.

– Uciekaj od niej! Ona jest w zмовie z księciem i jego zuchami.

– Proszę się nie niepokoić, profesorze... znaczy tato. Ona nie jest taka zła. Chciała tylko potwierdzić prawdę, że masz córkę.

– Wiem dokładnie, że służy księciu.

Dyrektorka weszła w pole widzenia obiektywu aparatu.

– Ma pan prawo tak mówić, profesorze – powiedziała. – Ale przysięgam, że uczynię wszystko, by... Weronika była bezpieczna.

– Weroniko! Ja nikomu nie wierzę – przerwał jej profesor. – Nie wierzę i tobie. Ale chcę cię uratować. Jedyne miejsce na Marsie, gdzie będziesz bezpieczna, to mój dom. Nie da mu rady nawet bomba atomowa. Proszę cię, błagam – uciekaj do mnie. Póki jeszcze ci bandyci nie zorientowali się. Nie znamy przecież głębi ich szatańskich zamysłów. Jeśli dotrą do ciebie i dyrektorki, to nie będę mógł niczym ci pomóc...

Profesor zakaszłał. Czekał na odpowiedź, a Ko była w rozterce – kompletnie nie wiedziała, co powinna teraz zrobić. Profesor kontynuował:

– Jest mi źle samemu, dopiero dziś zrozumiałem całą głębię i pustkę mojej samotności. Weroniko, przyjdź do mnie, dziel ze mną ten dom... Jutro zrobimy wszystko co należy. Ale dziś

powinniśmy być razem, powinniśmy trzymać się razem.

– Jedź do niego – powiedziała dyrektorka. – Ja też będę spokojniejsza.

A ciemnoskóra mucha, siedząca na poręczy tarasu, poparła ją:

– Idź do niego. To jest najpewniejsze miejsce na ukrycie się, póki nie przybędzie Milodar. Ale nikomu nie ufajcie, nie otwierajcie. A ja przylecę o świcie.

– Przyjadę po ciebie – powiedział profesor.

– W żadnym wypadku! – sprzeciwiła się Ko. – Sama dotrę. Jeszcze nie jest tak późno. To spacerek na dziesięć minut.

– No to wynajmij flyer. Są na hotelowym parkingu.

– Odprowadzę cię – zaproponowała dyrektorka.

– Dziękuję – odezwał się profesor. – W takim razie posłuchajcie mnie uważnie. Na ubranie się i wynajęcie flyera potrzebujecie dziesięciu minut. I jeszcze pięć, by dostać się do pojazdu. Pięć minut daję wam na lot do mojego domu. Czyli za dwadzieścia minut flyer powinien być pod moją bramą. Otworzę drzwi, jeśli was poznam. Muszę jednak wiedzieć, jak będziecie ubrane. Chcę was poznać natychmiast po wyjściu z flyera.

– Jestem ciągle w tej sukience pana żony, ojczy – powiedziała Ko. – To znaczy mojej mamy.

Dyrektorka pokiwała z wyrzutem głową – jej pedagogiczna natura sprzeciwiła się takim beczelnym kłamstwom. Poza takimi, które w razie konieczności, ulatywały z jej ust.

– Jaki to kolor? – zapytał profesor. – Nie mam tak dużego ekranu, by mieć pewność co do rysów twarzy. Ale suknię powinienem poznać.

– Patrz, suknia jest granatowa – Ko podsunęła pod ekran rękę, by profesor mógł w videofonie dobrze przyjrzeć się rękawowi.

– Granatowy atlas – powiedział profesor. – Srebrny haft na kołnierzu. Teraz widziałem, zanotowałem i zapamiętałem. Takie zestawienie kolorów jest na sześciocentowym znaczku Surinamu, poświęconemu trzecim amerykańskim regatom. Tak?

– Może – zgodziła się Ko.

– A jak będzie ubrana twoja dyrektorka?

– Jestem na czarno – krótko skwitowała pytanie pani Aaltonen. W jej głosie słyhać było pewne rozżalenie, jakby profesor zwątpił w jej moralne podstawy stylu ubierania się. – Skromny biały kołnierzyk. Niewielki czarny kapelusik, nisko nasunięty na czoło.

Ko pomyślała, że dyrektorka przesadnie dokładnie opisuje siebie – to śmieszne, jak dorośli ludzie czasem poważnie odnoszą się do takich drobiazgów.

– Czarny pens – krótko odpowiedział profesor.

I nagle Ko, jakby naprawdę była spadkobiercą Du Couvre, przypomniała sobie, że pierwszym znaczkiem pocztowym był wymyślony przez Anglików tak zwany „czarny pens”.

– Czarny pens – powtórzyła dyrektorka kompletnie nie rozumiejąc, co profesor ma na myśli.

– Kategoriecznie proszę nie zmieniać ubrania! – polecił profesor. – Jest ciemno, oświetlenie ulicy nie jest najlepsze, nie możemy się pomylić. Bo nasi wrogowie nie śpią.

Ko uśmiechnęła się.

– Jestem śmiertelnie poważny – odpowiedział widząc uśmiech profesor, ale nagle nie wytrzymał i też się uśmiechnął. – Włączam odliczanie – zakończył. – Za dwadzieścia minut przy bramie do mojej twierdzy.

Rozłączył się, kobiety zaczęły przygotowywać się do wyjścia. Czarny kapelusik dyrektorki gdzieś

się zapodziały i minęło dobre pięć minut, zanim został znaleziony w łazience, gdzie, najwidoczniej, zostawiła ją właścicielka pokoju, wróciwszy zdenerwowana z rozmowy z Ko.

Vanessa życzyła im powodzenia i powiedziała, że przeleci nad zamkiem profesora za kwadrans, żeby sprawdzić, czy spotkanie z profesorem odbyło się bez przeszkód.

Bezszelestnie wzbila się w powietrze i, błysnąwszy niczym latarniami, witrażowymi skrzydłami, zniknęła między gwiazdami.

– No, jest pani gotowa? – zapytała z pewnym zniecierpliwieniem Ko, widząc, jak pani Aaltonen miota się po apartamencie szukając dla odmiany torebki. Torebka w końcu znalazła się, w wyniku czego madame podeszła do lustra, by poprawić kapelusz.

Oczywiście, Ko mogłaby zażartować, że dyrektorka liczy na wyjście za mąż, że nie tylko wychowawice stają na ślubnych kobiercach, ale nie odważyła się i dobrze się stało, ponieważ dyrektorka była bliska hysterii.

Właściwie, to dziwne było, że wizyta u profesora, dość dramatycznie organizowana i w dramatycznych okolicznościach, aż tak wyprowadzi ją z równowagi.

– Idziemy – ponagliła ją Ko. – Czas się kończy. Jeszcze musimy wynająć flyer.

Ale los jakby uparł się, by rzucać im kłody pod nogi.

Kiedy Ko pchnęła drzwi z pokoju, okazało się, że są zamknięte. Ko popychała te drzwi, potem zaczęła w nie pukać – powstawało wrażenie, że ktoś je zamknął!

Pani Aaltonen pierwsza domyśliła się, że należy zadzwonić na dół, do administratora. Ten oświadczył, że natychmiast wysła na górę dyżurnego i poprosił panie, by się nie niepokoiły. Minęły jeszcze ze trzy minuty, zanim pojawił się dyżurny. Zaczął wywoływać je przez drzwi, pytać, czy drzwi się zatrzasnęły. Ko odpowiedziała, że tak, to ich drzwi. Wtedy zapytał uprzejmie, czy życzą sobie otworzyć owe drzwi.

– Życzymy i to natychmiast! – krzyknęła pani Aaltonen.

W tej samej chwili rozległ się szczepek zamka i drzwi stanęły otworem. Na progu stał bezczelny boy, tak uprzejmy, że aż się prosił o wymierzenie kilku klapsów, do czego przyznała się dyrektorka.

– Zaciął się rygielek – powiedział. – Trzeba było podnieść drzwi... o tak. I otworzyłyby się. Że też się panie nie domyśliły?

Nie słuchały więcej boya i pobiegły do windy.

Windy pędziły w te i z powrotem, jakby jakiś urwis śmigał na nich z dwudziestego na szóste podziemne, nie zamierzając zatrzymać się na trzecim. Musiały biec po schodach – ale najpierw należało schody znaleźć; były za rogiem korytarza i wyprowadziły Ko i Aaltonen do zakończonej murem piwnicy.

Pobiegły piętro wyżej i, w końcu, wypadły na szeroki podjazd dla gości.

Na tym podjeździe dyrektorka wyrznęła w jakąś młodzieżową grupę, straciła równowagę i, potknąwszy się na stopniu, złamała obcas. Póki stała i gapiła się na obcas, jak Hamlet na czerep Yoricka, młode towarzystwo, pewnie turyści z jakiegoś peryferyjnego zakątka Wszechświata, zaczęło ciągnąć Ko ze sobą, obiecując niezwykłą kolację w restauracji. Kiedy dyrektorka zrozumiała, że Ko jest porwana przez grupę jakichś nicponi, rzuciła się jej na pomoc, a obcas, choć niewielki, ale ostry, posłużył jej za sztylet.

W końcu udało im się wyrwać do holu, ale nie od razu odkryły gdzie jest recepcja.

– Co się stało? – zapytał zaskoczony ich wyglądem recepcjonista. – Żle się panie czują? Potrzebujecie pomocy?

– Chcemy wynająć dwumiejscowy flyer – oświadczyła dyrektorka.

– A czy panie są gośćmi naszego hotelu? – zapytał recepcjonista, patrząc jak dyrektorka wybija na blacie nerwowy rytm zakrwawionym obcasem.

– Mieszkam w pokoju numer sześćdziesiąt, dopiero co rozmawiałam z panem i wysłał pan boya, żeby wypuścił mnie z pokoju...

– Proszę o wybaczenie – szeroko uśmiechnął się recepcjonista. – Musiała pani rozmawiać z działem awarii i problemów. Proszę przejść na tamtą stronę sali, za kolumną znajduje się tamten dział.

– Potrzebujemy dwumiejscowego flyera!

– Nie mogę przekazać paniom flyera – uprzejmie odparł recepcjonista. – Pani stan nerwowy każe mi sądzić, że znajduje się pani w stanie upojenia alkoholowego. Jeśli będzie pani tak uprzejma i uda się ze mną do pokoju pielęgniarki, która natychmiast zmierzy pani ciśnienie i wykona testy na stan nerwowy i narkologiczny to...

– Uciekajmy! – wrzasnęła Ko. – Znajdziemy jakiś flyer na ulicy.

– Nie radziłbym! – krzyknął za nimi recepcjonista. Ale Ko już biegła do wyjścia, dyrektorka kulała za nią, wymachując obcasem i torebeczką.

– Stać! – gonił ich głos recepcjonisty.

Kobiety już niemal dotarły do obrotowych drzwi; Ko pomyślała, że zaraz pewnie nie wceluje w te przekłete drzwi i zakręci się w nich, ale nagle zamiast drzwi miała przed sobą pomarańczową kulę, która rosła wypełniając hol hukami i błyskami.

Ko i dyrektorka zostały odrzucone falą uderzeniową, jak i wszyscy obecni w holu, poleciały jak sterta jesiennych liści pod drzwi restauracji.

Kiedy huk i błysk wybuchu ustały, ogłuszona, potłuczona Ko wstała i zaczęła szukać dyrektorki w stercie jęczących, krzyczących i ryczących ludzi.

Odnalazła ją po czarnej rozdartej sukni i żółtym zaczesanym do tyłu włosom.

– Żyje pani?

– Muszę się umyć i nałożyć *side* na skreconą stopę. Odprowadzisz mnie do pokoju?

– Przepraszam panią, madame Aaltonen – powiedziała Ko. – Niestety, muszę pędzić do profesora. Jest bardzo zdenerwowany i czeka na nas.

– Czekał przez cały wieczór – dyrektorka z trudem wyplątała się z gęstwiny obcych nóg i rąk i z pomocą Ko wyszła na wolne miejsce. – Poczekaj jeszcze trochę.

– Proszę zostać, znaleźć pielęgniarkę – krzyknęła Ko. – Czy coś pani złamała?

– Skąd mam wiedzieć? – obruszyła się dyrektorka, przekrzykując rosnący hałas. – Dopóki nie poddam się badaniu...

Ko zobaczyła, że dyrektorka świetnie trzyma się na nogach, w jednym ręku trzyma torebeczkę, w drugiej – obcas – kończyny, znaczy się, całe.

– Zadzwoń! – krzyknęła Ko i pobiegła do wyjścia.

– Dokąd? – zawołała za nią dyrektorka. – Zabraniam ci!

A może w tym hałasie i krzykach Ko tylko się wydawało, że pani Aaltonen coś krzyczała.

Najtrudniej było wydostać się z hotelu. Ktoś, kto podłożył bombę w obrotowych drzwiach, nie pożałował materiału wybuchowego, wejście do hotelu stało się szczeliną, z której sterczały splątane, skrecone arkusze plastyku i żelastwa. Obok drzwi na ziemi leżała młoda kobieta w rozerwanej sukni, z jej piersi sączyła się krew. Pochylał się nad nią starszawy mężczyzna. Widząc, że Ko przebiega

obok zawołał do niej:

– Proszę wezwać lekarza! Czy pani nic nie widzi?

– Zaraz będą tu lekarze – zapewniła go Ko i zaczęła przedzierać się przez odłamki, pręty i kamienie do wyjścia z hotelu. Podarła na strzępy i tak zniszczoną przez ogień i wybuch suknię, i nagle dopadła ją dziwna myśl: profesor może jej nie rozpoznać, kiedy pojawi się pod jego drzwiami niemal goła i bez dyrektorki.

Z daleka doszły syreny – do hotelu już zbliżały się wozy – strażacy, pogotowie... Nad dachami budynków pojawiły się czerwone strażackie flyery.

Gdzie tu jest parking? Aha, tam, po prawej są samochody i flyery. Ko pobiegła w tamtym kierunku.

Pierwszy flyer był zamknięty, drugi – też. Czyżby pech trwał?

Dziwna pałaca niecierpliwość, zmieszana z lękiem, zmusiła Ko do otwierania kolejnych drzwi... Dziesiąte czy dwunaste odjechały w bok. Ko wskoczyła do wozu, odkryła że to wóz naziemny i popędziła, nie zwracając uwagi na ograniczające szybkość znaki, w kierunku domu profesora. Znała tylko ogólny kierunek, a plan miasta na desce rozdzielczej nic jej nie mówił. Na szczęście intuicja i niewielkie gabaryty miasta przyszyły jej z pomocą. Po kilku minutach znalazła się na znajomej już ulicy, a potem przed znana bramą.

Wyhamowała przy bramie, wyskoczyła z wozu – strzęp spódnicy zahaczył o drzwi, tkanina granatowej maminej sukni okazała się nad wyraz mocna. Ko szamotała się niczym schwytna za skrzydełko osa. W końcu, oderwawszy kawałek sukni skoczyła do bramy.

– Profesorze! – zaczęła krzyczeć wpatrując się w oczko obiektywu kamery. – To ja, Weronika!

Metalowy płot, otaczający willę profesora, oświetlały cztery szybujące w powietrzu reflektory, które to wznosiły się oświetlając podjazd do drogi, to opadały i świeciły na bramę i krzewy za płotem. Krzątanina tych przypominających nadmuchiwane baloniki reflektorów nadawała willi świąteczny wygląd. Nie docierał tu hałas z ulicy, i tylko wieczorna cisza pozwalała usłyszeć z dużej odległości wycie syren i hałas wozów kierujących się ku hotelowi.

Ko pchnęła bramę, a ta wolno otworzyła się. Na szczęście profesor oczekiwał ją i widocznie znaczne, półgodzinne spóźnienie nie rozzłościło go.

– Idę... tato – zawołała Ko i pobiegła ku drzwiom. Drzwi do domu też były tylko przymknięte. Nad drzwiami świeciła lampa, światło paliło się również w przedpokoju.

Ko wbiegła do wnętrza. Nogi miała jak z waty, jeszcze minutę temu myślała, że spóźniła się tylko... spóźniła na co? Czego się obawiała?

– Profesorze – odezwała się – proszę się nie złościć, że się spóźniłam i przyjechałam w takim stanie – w hotelu był wybuch. Słowo honoru!

Ponieważ profesor nie odezwał się i nie wyszedł na korytarz, Ko poczuła pewną irytację.

Weszła do gabinetu.

W gabinecie płonęła tylko lampa na biurku a przed nią – ekran, na którym widać było otwartą bramę.

– Tato – zawołała Ko.

Ten siedział, pochylony nad swoimi znaczkami, jakby zasnął.

– Tato. – Ko dotknęła ramienia profesora.

Tego lekkiego dotknięcia wystarczyło, by ciało profesora straciło równowagę i zważyło się na bok... Ciało przygniotło rękę Ko, i ta, zaskoczona, uwolniła ją, a wtedy ciało runęło głową w dół,

profesor upadł na podłogę i pozostał nieruchomy.
Oczy miał otwarte. Profesor był martwy.

Ko spodziewała się tego... Oczywiście, że obawiała się właśnie jego śmierci, przecież w innym przypadku po co by się tak śpieszyła tu, tak się denerwowała o starego kolekcjonera?

– Wybacz, tato – powiedziała cicho.

Jakby jej spóźnienie było powodem jego śmierci.

Ko nigdy wcześniej w życiu nie widziała martwych ludzi, a teraz nagle w ciągu kilku dni zobaczyła dwóch zabitych i sama trafiła w sam środek wojny, sedno której nie do końca było dla niej zrozumiałe.

Delikatnie ułożyła głowę profesora na podłodze. Już wiedziała, że zabito go z pistoletu – czarny krążek z zakrwawionymi brzegami i opalona skóra na środku czoła wskazywały miejsce trafienia pocisku.

Głupio, ale nie wiedziała jak tu się wzywa policję czy pogotowie – a obok telefonu nie było żadnego notesu.

Ko stała obok telefonu, patrząc na czarny ekran i zastanawiała się jak może go zmusić do wykonania zadania.

I nagle usłyszała kroki.

Kroki rozbrzmiewały w korytarzu, od strony kuchni; Ko знаła tę drogę.

Odwróciła się.

Oczekiwała widoku kogokolwiek – Artura, goryli księcia, nieznanym sobie bandziorów, ale nie dwu kobiet. Jedna była tęga, wysoka, w czarnej długiej sukni i czarnym kapeluszu. W ręku ścisnęła niewielką czarną torebkę. Jedyne nie czarną plamą na niej był poważny biały kołnierzyk. Kobieta miała na nosie duże czarne okulary i dlatego, chociaż kogoś Ko przypominała, ta nie od razu ją rozpoznała. Druga kobieta miała na sobie staromodną granatową sukienkę ze stójką, wspaniałe kędzierzawe włosy otaczały twarz...

Duża kobieta zarechotała.

Rechotała niskim męskim głosem.

Następnie zerwała kapelusik i perukę z żółtych włosów, i Ko poznała pana księcia Wolfganga Du Wolfa.

Kobieta w granatowej sukni poszła w ślady księcia i, zdjawszy wspaniałą czarną perukę ujawniła, że jest Arturem Du Grossi. Nawet półmrok pokoju, oświetlonego tylko lampą stołową nie mógł ukryć wesołego błysku w oczach przebierańców.

– Co tu się dzieje? – krzyknęła Ko całkowicie oszołomiona. – Jak tu weszliście, dlaczego jesteście tak ubrani?

Książę chciał rozerwać na piersi czarną suknię, ale Artur powstrzymał go:

– Proszę nie zapominać, że musimy jeszcze stąd odejść, i będzie lepiej, jeśli nikt nas nie

rozpozna.

– Masz rację, mój chłopcze – zgodził się książę.

– Nie odpowiedzieliście mi na pytanie! – krzyknęła Ko.

– Kochana ma żoneczko – powiedział Artur. – Moje ty szczęście sprytne. Czyżbyś nie rozumiała, że ten oto skąpiradło i chytrus, ten żaloszny tchórz nie wpuściłby wieczorem mnie i księcia do swojego domu? Prędeż by się zadławił. A z tobą i panią Aaltonen był umówiony.

– Skąd to wiecie? – Ko zadała pytanie i od razu pojęła, że zabrzmiało strasznie głupio.

– Wiemy o każdym twoim słowie i każdym twoim westchnieniu – odpowiedział książę i zadarłszy suknię wyjął z kieszeni spodni długą miętową landrynkę. Rozwinąwszy ją z papierka zaczął ssać cukierka.

– Zanim wpuściliśmy cię do pokoju tej tchórzliwej kwoki – powiedział Artur – założyliśmy w pokoju pluskwy, a jednocześnie podsłuchiwaliśmy też telefon...

– Przecież to podłe!

– To problem punktu widzenia – odparł książę. – To, co jest podłe dla ciebie, jest szlachetne dla mnie. To się nazywa podstęp wojenny. Całe życie jest wojną, a my z Arturem jesteśmy na wojnie.

– Wiedzieliście o naszej umowie z profesorem?

– Tak, możesz uważać siebie za winną swojego jakby ojca, Ko.

– Co? Co pan powiedział?

– Nie staraj się być głupszą, niż jesteś naprawdę – rzucił książę. – Dyrektorka zdradziła cię w pierwszej chwili waszej rozmowy. Wiemy teraz świetnie, że nie jesteś Weroniką, a Ko. Że jesteś służącą tchórzliwego komisarza Milodara, który nie odważył się wysłać tu nawet swojego hologramu. Przecież wiemy o tym typie wszystko.

Artur roześmiał się usłużnie. Potem powiedział:

– A ja to już nawet nie wiem, czy jestem żonaty czy nie. Przecież ożeniłem się z Weroniką, a dostałem za małżonkę Ko. Może teraz wyjaśnię, jaka jest między nimi różnica?

– Niestety, spóźniłeś się – odpowiedział książę. – Ale nie przejmuj się, mój chłopcze, znajdziemy ci prawdziwą Weronikę, która, według prawa, jest twoją prawdziwą małżonką. A może to i lepiej – Ko już szykuje pazurki. Może podrapać cię ta kocica.

– A gdzie tam! – zlekceważył jego słowa Artur. – Popatrz na jej pysk. Nie wiadomo gdzie się sama tak pokaleczyła.

Ko odruchowo dotknęła koniuszkami palców twarzy. Poczowała ból, na palcach pojawiła się krew – podczas wybuchu w hotelu została podrapana odłamkami.

Tylko nie pokazuj, że się ich boisz...

– A ta maskarada? – zapytała.

– Patrz, nie straciła jeszcze daru mowy – zdziwił się książę. – Ale nie rozumie najprostszyc rzeczy: przecież umówiła się z profesorem, że ten otworzy bramę dwóm kobietom – jednej grubej w czarnej sukni, drugiej młodej w granatowej. A to oznacza, że kiedy już dysponowaliśmy pełną informacją, wystarczyło pożyczyć od naszych słodkich dziewczuszek z „Sanssouci” odpowiednie sukieneczki i przybiec tu.

– Przedtem wydawszy polecenie, by was obie zatrzymano na jakiś czas – dodał Artur.

– Obawiam się, że przesadzili – ponurym głosem skwitowała wysiłki pomocników Ko. – Wysadzili w powietrze połowę hotelu.

– No masz! – rozżłościł się książę. – Zawsze się czegoś takiego obawiam, kiedy mam do

czynienia ze swoimi pomocnikami.

– No to musimy się pośpieszyć.

– Tak, masz rację, mój chłopcze.

Cmokając – widocznie cukierek był smakowity – książe krytycznie przyjrzał się Ko.

– Bardzo brudna i zakrwawiona. Nie w moim guście. Arturowi też nie mogę cię oddać – westchnął. – Bo nie uda się nasz wspaniały plan.

– Jaki znowu plan?

Książe miał ochotę na pogawędkę.

– Plan przejęcia spadku po profesorze. Tak mi się przyda! Bo inaczej nie będę mógł zacząć sprawiedliwej i wyzwolenczej wojny przeciwko moim sąsiadom. Potrzebuję miliardów profesora Du Couvre.

– Przecież ich nie otrzymacie! – zdziwiła się Ko. – Profesor nie żyje!

– Otrzymamy je nie z jego rąk – łagodnie powiedział książe. – Od samego początku w moim genialnym planie przejęcia kolekcji profesora Du Couvre przewidywana była eksterminacja samego profesora.

– Ale po co?

– Po to, żebyś ty, jego córka, otrzymała w spadku cały zbiór i wszystkie pieniądze Du Couvre.

– Nie rozumiem! – powiedziała Ko.

– Tymczasem to jest naprawdę proste – zauważył Artur.

Książe przytaknął mu skinieniem głowy i kontynuował:

– Gdy dowiedzieliśmy się, że profesor stracił córkę, zrozumieliśmy, że jeśli oddamy mu ją, to pieniądze będą nasze. Pierwsze podejście było spalone. Clarence była dobra pod każdym względem, ale nie przeszła pomyślnie badań genetycznych i od razu potem pękła. Musieliśmy ją... – książe roześmiał się – ... postawić w muzeum! Sama sobie winna.

Ko milczała. Jak na razie nie usłyszała nic nowego.

– Wtedy zajęliśmy się poszukiwaniami córki profesora na poważnie i ciąg dalszy już znasz – ciągnął książe. – Znaleźliśmy Weronikę, okazało się, że to naprawdę córka profesora, a nawet więcej – rozpoznałem dyrektorkę, swoją była słodką dziewczuszkę. Wiesz Ko, takie dobrze wychowane harfistki najłatwiej wpadały w moje sieci.

Książe miał wspaniały humor, zaczął chrupać landrynkę. Opowieść zakończył opowieść Artur. Mówił szybko i spokojnie, jakby prowadził lekcję.

– Wiedzieliśmy, że profesor przechowuje swoje zbiory w banku. Nie udałoby się nam ich wydobyć. Czyli musieliśmy nie tylko podsunąć mu córkę i zagwarantować jego łączność z nią. Mieliśmy szczęście – Weronika zakochała się w wuefście. Artema sprzątnęliśmy, ja go zastąpiłem. Najpierw Weronika miała jakieś wątpliwości, ale potem odbył się ślub...

– Ślub to już ze mną – zauważyła Ko. – Ze mną, nie z Weroniką.

– Niestety. Nie domyśliliśmy się od razu. Ale to już nie gra roli.

– Dlaczego? – Ko poczuła, że się boi.

– Dlatego, że jesteśmy ludźmi mądrymi, a ty, jeśli jesteś mądrą dziewczynką, powinnaś sama się domyślić. Pierwszy etap naszej gry zakończył się po naszej myśli. Weronikę wydaliśmy za męża za naszego człowieka. Drugi etap też minął pomyślnie – przy pomocy Aaltonen udowodniliśmy profesorowi, że odzyskał prawdziwą córkę. Następnym krokiem było prawne uznanie dziecka. To też się udało przeprowadzić. Ale runął trzeci etap operacji.

– Mimo, że byliśmy na to przygotowani – odezwał się książę. Chodził po gabinecie, brał do ręki różne przedmioty, obracał je w palcach i albo odstawiał na miejsce, albo wkładał do obszernej, przyszytej do sukni kieszeni.

– Drobiazgi nie istnieją – rzucił przechwyciwszy wściekle spojrzenie Ko. – A ty jesteś tylko udawaną spadkobierczynią.

I kontynuował poszukiwania.

– Sądziłem – powiedział Artur – że ten twój kolekcjoner pohłasuje, powydziera się i przestanie, a na pewno nie wypędzi cię z domu. I wtedy umówimy się, za ile oddamy mu jego własną córkę. Ile będzie kosztował go nasz rozwód. Nie chcemy przecież wszystkiego, bylebyśmy zwrócili nasze koszty.

– Właśnie! – włączył się książę, a Ko nabrała pewności, że ta para oszustów znowu łże. Wcale nie zamierzali zwolnić profesora, zameżna córka miała być hakiem, przy pomocy którego chcieli wyciągnąć od kolekcjonera całe jego bogactwo. – Niestety, wygadał się, że rano wzywa prawnika, by dokonać wydziedziczenia córki i wypędzić ją z domu. Może nawet wygralibyśmy proces, ale to dużo kosztuje. I ciągnie się kilka lat.. Nie zostało więc nam nic innego...

– Jak zabić mojego ojca – podpowiedziała Ko.

– Jak się okazało – nie twojego.

– Pomogłyście nam z dyrektorką. Podpowiedziałyście jak się przebrać, by stary dureń uznał, że to wizyta rodzinki. Reszta to sprawa techniki – powiedział książę chrupiąc kolejną landrynkę.

– Zaproponowaliśmy mu, żeby przepisał cały majątek córce – powiedział Artur. – Daliśmy mu szansę ujścia zżyciem.

– Jeśli nie poświęcił zbioru dla małej córeczki, to dzisiejsza rozmowa była czczą gadaniną – powiedziała Ko.

– Czcza gadanina – zgodził się książę. – Zakończona śmiercią profesora.

– Po co tyle okrucieństwa! – Ko z trudem powstrzymywała łzy.

– Dlatego, że chcemy, by wszystko było w zgodzie z prawem – powiedział książę takim tonem, jakby przemawiał do mało pojętnego dziecka. – Dlatego, że kiedy profesor zmarł, cała fortuna przeszła na córkę. Na ciebie.

– No i wpadliście! – ucieszyła się Ko, mimo że nadal groziła jej śmiertelne niebezpieczeństwo. – Wystarczy, że ktoś sprawdzi mój kod genetyczny, by uznał, że ty, Arturze, ożeniłeś się nie z córką profesora.

– Właśnie dlatego – ze smutkiem westchnął książę – musimy dzisiejszej nocy zabić również ciebie. Zginiesz w pożarze, który za kilka minut ogarnie cały ten dom. Rozumiesz, dlaczego?

– Dlaczego? – tępo zapytała Ko.

– Dlatego, że po twojej śmierci, według prawa cała kolekcja przechodzi w ręce twojego męża, a mojego bratanka.

A Artur na te słowa księcia wykonał błazeński ukłon, muszkieterski, zamiatając podłogę wyimaginowanymi piórami kapelusza.

– Nic z tego – zawołała Ko. – Komisarz Milodar będzie tu jutro!

– Wiemy. Słyszeliśmy jak mówiła o tym jeszcze jedna zdrajczyni – czerniawa mucha śmietnikowa! A ja wierzyłem, że mnie kocha! – Książę był wściekły. – Zmiażdżyliśmy ją jak pluskwę.

– Zabiliście ją? – Ko wiedziała, że książę znowu kłamie, ale i tak się przestraszyła.

– A teraz śpieszymy się skończyć z całą waszą rodziną. Na razie wszyscy strażacy zajęci są hotelem, ale my popracujemy sobie tutaj. – Książę udał, że nie słyszał okrzyku Ko.

– Nie zdążycie...

– To nasze zmartwienie – uśmiechnął się książę.

– Z moimi znajomościami i uporem załatwię sprawę spadku przez komputer jutro, w ciągu pół godziny. Kiedy wszyscy się opamiętają i przybędzie twój komisarz Milodar, będziemy już w otwartej przestrzeni kosmicznej. Nikt i nigdy niczego mi nie udowodni.

A powiedział to książę tak, że Ko uwierzyła w każde jego słowo.

Operacja zaplanowana jeszcze w ubiegłym roku, w końcu została zakończona, tak jak chciał tego książę Wolfgang. I nikt się niczego nie domyśli...

Zarówno ksiązę jak i Artur byli podekscytowani i, chyba, pijani. Podskakiwali, wykrzywiali się i wyglądali komicznie w długich sukienkach i perukach.

– Nafta! – nagle krzyknął ksiązę. – Przynieś naftę, bratanku!

Ko obejrzała się: dokąd uciekać?

– Nawet nie próbuj! – Ksiązę wychwycił i prawidłowo zinterpretował to spojrzenie. – Niestety, nie możemy zostawić cię żywej. Przecież nawet nie jesteś Weroniką. A my musimy przejąć... my tak lubimy zbierać znaczki!

Do gabinetu wbiegł Artur. W rękę trzymał kanister. Nawet w tym szczególe bandyci byli przygotowani.

– Niestety, musimy zeszpecić twoją urodę – powiedział ksiązę. – Potrzebne są nam wasze ciała, spalone tak, by nikt nie dał rady ich ożywić. Nie możemy ryzykować. Mamy swoje rodziny i obowiązki wobec państwa.

– Ksiązę! – jęknął Artur. – Ale może zdążę jednak wykonać swoje małżeńskie obowiązki? Tak raz-dwa. Żal mi, że zejdzie z tego świata jako dziewica.

– Jest w tym jakaś czystość szczególna – nie zgodził się z nim ksiązę. – Dostaniesz jeszcze dziesięć żon, młodszych od tej. I delikatniejszych... – Roześmiał się na całe gardło, jednocześnie usiłując pokazać Arturowi, by ten kończył swą hultajską robotę.

– Łać czy strzelać? – zapytał ten nie rozumiejąc gestów księcia.

– Lej, a ja będę strzelał – odpowiedział ksiązę.

Podniósł pistolet i niezbyt pewnie wycelował go w Ko.

Artur zaczął rozlewać naftę. Wszystko było proste, ohydne i śmierdziało. Nie mogło dotyczyć Ko. Po prostu nie mogło, i już!

Coś musiało się stać, coś musiało przeszkodzić w tej zbrodni.

Jakiś cud! Przecież to niemożliwe, żebym ja zginęła...

W korytarzu dały się słyszeć głośne zdecydowane kroki.

I w chwili, kiedy ksiązę w końcu wycelował w Ko, obok niej pojawiła się dyrektorka Aaltonen.

Madame miała na sobie strzępy czarnej sukienki, włosy na prawej połowie głowy były nadpalone, a na lewej – roztrzepane; pantofel, i to bez obcasa, zachował się tylko na jednej nodze, ale w rękę mięła swoją czarną torebkę.

– Natychmiast! – krzyknęła od progu niskim zachrypniętym głosem nauczycielki. – Natychmiast proszę przerwać ten skandal. Kto wam pozwolił!

– Moja ty słodka – krzyknął do niej ksiązę. – Zejdz mi z drogi, przeszkadzasz celować. Przecież nie chcesz, by twoja pechowa wychowanica męczyła się przed śmiercią?

– Uciekaj! – rozkazała pani Aaltonen dziewczynie głosem nie cierpiącym sprzeciwu. – Ale to już,

heti!

I Ko, jak ołowiany żołnierz, jak psiak, któremu każą uciekać przed złym psiskiem, rzuciła się do ucieczki... Książę zaczął strzelać za nią.

Ko pędziła korytarzem, potem wybiegła na ganek i pomknęła do bramy.

– Stój! – wrzasnął książę. Słyszała jego głos. – Stój, bo strzelam!

Usłyszała kolejne strzały i coś potwornie boleśnie uderzyło ją w ramię, i oparzyło.

Straciła równowagę, obróciła się w biegu, zgubiła rytm i nawet zobaczyła, co się dzieje za jej plecami – tam, na ganku stał książę i zamierzał następnym strzałem ją dobić.

Ko pochyliła się i skoczyła w bok.

Obok niej przemknął błękitny piorun strzału.

I nagle coś ciemnego, brzęczącego i niezrozumiałego zważyło się na księcia z nieba, przy tym tak nieoczekiwanie, że ten stracił równowagę, zwałił z nóg wybiegającego na ganek Artura i poturlał się po schodkach w dół.

Ko wiedziała, że ma do dyspozycji sekundę, może dwie, ale raczej – ułamki sekund. Przygięta minęła bramę, zanim znowu rozległy się strzały. I nagle znieruchomiała – w oczy uderzyło bardzo mocne światło. Ko przestraszyła się jeszcze bardziej, rzuciła się pod mur, a dobiegający z nieba głos, władczy, taki, jaki może należeć tylko do policjanta, spowodował, że znieruchomiała:

– Wszyscy stać! Nikt nie stawia oporu! Rzucić broń! Jesteście otoczeni i wszelki opór jest bezsensowny!

A kiedy Ko tak naprawdę uwierzyła, że to policja, rzuciła się prosto w przeraźliwie jaśniejące oko reflektora z okrzykiem:

– Szybko! Tam pani Aaltonen! Szybciej ratujcie ją!

I zrozumiała, że nogi już jej nie trzymają, i upadła na ziemię. Mucha lekarka wylądowała przy niej, osłoniła ją swoimi dobrymi trzeszczącymi skrzydłami i kazała połknąć jakąś pigułę. I zdołała szepnąć przy tym:

– Nieźle go potrąciłam, prawda? Dawno już marzyłam o zemście!

– Ojej, to była pani?

– Tak – odpowiedział komisarz Milodar materializując się obok nich. Komisarz był otoczony błękitną jarzącą się powłoką i Ko uznała, że to jeszcze nie jest komisarz a tylko jego hologram. – Mamy tu do czynienia ze skromną reprezentantką medycyny alternatywnej o wadze ogólnej szesnaście kilo z ubraniem, której udało się zwałić z nóg i ogłuszyć dwu mężczyzn o wadze łącznej dwieście sześć kilogramów. Wysyłam te dane do księgi rekordów Guinnessa.

– Gdzie jest pani Aaltonen? – zapytała Ko. – Ona przybiegła w ostatniej chwili, bo inaczej ja bym zginęła...

– Widzisz, sama przyznajesz, że dwukrotnie powinnaś była zginąć.

– Pani Aaltonen nie jest winna. Ona tylko rozliczała się za swoje stare błędy – jęknęła Ko, słysząc w głosie komisarza wyrzut.

– No i widzisz – powiedział komisarz. – Lepiej by było nie popełniać błędów od samego początku. Odwróć się.

Ko odwróciła się. Przez dach wzbijał się w niebo żółty płomień.

Strażackie śmigłowce krążyły nad budynkiem polewając go pianą.

Sanitariusze wynosili nosze, na których leżała nieprzytomna dyrektorka.

Reanimobil już czekał na nią.

– Co się z nią stanie? – zapytała Ko.

– Na szczęście mózg dyrektorki nie został uszkodzony – powiedział komisarz. – Możemy ją ożywić.

– Dajcie jej, bardzo proszę, młode ciało – poprosiła Ko.

– Specjalnie po to, by ci sprawić przyjemność – powiedział komisarz – już wydałem taką dyspozycję. Ale nie wykluczam, że będzie wolała swoje, może nieco wyremontowane.

Milodar roześmiał się, a księżę, wyprowadzany w tym momencie, splunął na ziemię, by wyrazić swoją pogardę.

– Niestety – powiedział Milodar – ten nikczemnik korzysta z dyplomatycznego immunitetu.

– Czy nic mu nie można zrobić?

– Poczekaj do jutra, zastanowimy się...

Za księciem policjanci wyprowadzali Artura. Ten miał na ręku kajdanki.

– Weroniko! – wrzasnął Artur. – Ko. Jesteś moją żoną! Musisz za mnie poręczyć.

Ko odwróciła się. Brzydziła się tym typem.

Ciemnoskóra mucha Vanessa, cała i zdrowa na szczęście, zaaplikowała Ko środek nasenny. Dlatego Ko przespała w szpitalnej izolatce dziesięć godzin.

Kiedy obudziła się była wypoczęta i rześka.

Hologram komisarza Milodara był pierwszym jej gościem.

Milodar ostrożnie usiadł na krześle i powiedział:

– Przyniosłem ci gazetę. Przeczytasz sama czy ci streścić?

– Streścić! – uśmiechnęła się Ko. Komisarz przypominał jej satyra – te kędziory, ta ciemna twarz, oczy – jasne i z feblikiem. Nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat.

– Jak się okazało, wczoraj w państwie, które tak starannie przygotowywał do roli światowego tyrana książę Wolfgang Du Wolf, miał miejsce przewrót. Księżę został usunięty z tronu i uznany za zwyczajnego przestępcę kryminalnego. Galaktyczne Centrum uznało nowy rząd za prawomocny i, wykrywszy na terytorium Marsa pana Du Wolfa oraz szereg innych, towarzyszących mu, elementów kryminalnych, wsadziło go za kratki, skonfiskowawszy statek „Sanssouci”, a od siebie dodam – niewiarogodny zapas słodczy.

– A kolekcjoner? Co z profesorem?

– Nie udało się go uratować. Zginął.

– Szkoda. Zginął przeze mnie.

– Wiem. Ale zginął nie przez ciebie, a przez swoją własną nieostrożność. Otworzył drzwi tym dwóm niegodziwcom.

– Przebrany za mnie i dyrektorkę...

– Ko, nie sprzeczasz się ze mną – odpowiedział komisarz. – Powinien był lepiej im się przyjrzeć.

Księżę i Artur wcale nie są do was podobni.

– Widzimy to, co chcemy widzieć – zauważyła Ko, która przez tych kilka dni stała się znacznie starsza i mądrzejsza. – Przecież Artur widział we mnie Weronikę.

– No to tym bardziej należało uważać. Jak mogliście z dyrektorką nie pomyśleć, że wasz pokój jest na podsłuchu?

Ko nie odpowiedziała. Komisarz miał rację.

– Co się tyczy pani Aaltonen, to zdecydowaliśmy nie wszczynać przeciwko niej procesu, ponieważ była ofiarą szantażu. Ale ona sama, kiedy tylko oprzytomniała, podała się do dymisji ze stanowiska dyrektora Wyspy Dzieci. I dymisja została przyjęta. Możemy wybaczyć pani Aaltonen, ale raczej nie możemy jej powierzyć nadzoru nad nieprzewidywalnymi dziećmi. Mam rację, Ko? Koro?

– Tak.

– I zdecydowała, że będzie używała swego starego ciała.

– Pewnie wie co robi.

– Jakie jeszcze, Koro, masz pytania?

– Dlaczego nazywa mnie pan Korą, komisarzu? Mam na imię Ko.

– Mylisz się. A ja zawsze dotrzymuję słowa.

– Chce pan powiedzieć...

– Chcę powiedzieć, że masz na imię Kora, nazwisko – Orwat. Pochodzisz z polskiej rodziny, która jeszcze w dziewiętnastym wieku zesłana została pod Wołogdę. Urodziłaś się w małej wiosce pod miastem Wielki Guslar. Ojcem jest Maksym Orwat. W tej wiosce mieszka jeszcze twoja rodzona babcia Anastasja Tadeuszewna Orwat. Do której to babci udasz się na wypoczynek, jak tylko skończysz składanie zeznań ze swojej pierwszej sprawy a lekarze zdecydują, że można cię wypuścić ze szpitala.

– A moi rodzice? Tata i mama?

– Oboje byli geologami. Twoja mama, Alina Udałowa, pochodzi z Wielkiego Guslara, Ojciec to Maksym Orwat. Oboje zaginęli bez śladu podczas wyprawy, szczegóły są wyjaśniane. Twoja mama trochę lekkomyślnie wzięła niemowlę ze sobą.

– Co się z nimi stało? Gdzie są? Chcę ich odnaleźć.

– Nie śpiesz się tak. To ja będę ich szukał. I w końcu znajdę. Ponieważ to jest mój podstawowy obowiązek – troszczyć się o swoich agentów polowych.

– Kto to jest agent polowy? – zaniepokoiła się Ko.

– Ty, moja mała. Jesteś przyszłym agentem polowym, operacyjnym Policji Intergalaktycznej i już masz za sobą pierwszy test.

– A może ja nie chcę?

– Chcesz – nie miał wątpliwości komisarz. – Ja już wiem o tobie więcej, niż ty sama. Wiem, że w głębi duszy jesteś stworzona do tego, by zostać agentem Interpolu i prowadzić żywot pełen ryzyka i przygód. Jeśli zajrzysz do swego wnętrza, to zrozumiesz, że mam rację.

– Nie wiem...

– No to przypomnij sobie swoje ostatnie dni. Przypomnij jak ciekawe było śledztwo w sprawie Weroniki i kolekcjonera Du Couvre.

– Ciekawe, ciekawe, ciekawe! – przyznała Kora. – Czy to znaczy, że nie muszę wracać na Wyspę Dzieci?

– Polecisz do babci Nastki. Babcia już jest uprzedzona o twoim istnieniu i piecze kulebiaka na twoje powitanie. Jest wniebowzięta.

– Och, ja też! Dziękuję! – I Kora, zapomniawszy się, wyskoczyła z łóżka i objęła komisarza, ale jej ręce przeszły przez jego niematerialne ciało.

– Nie łap mnie za wątrobę – powiedział komisarz – to mnie łaskocze. Raczej szybko bierz się do sprawozdania i badań lekarskich. Wkrótce przyleci twoja przyjaciółka Weronika, musisz jej wszystko opowiedzieć, wyjaśnić i pomóc stać się najbogatszą panną Galaktyki. Ty ostatnia widziałas jej ojca...

– A potem?

– Po odpoczynku weźmiemy kurs na Moskwę. Czas iść na Uniwersytet.

– Przecież przed chwilą powiedział pan, że będę agentem.

– Żeby zostać agentem Interpolu, moja dziewczeczko, musisz się uczyć, uczyć i jeszcze raz uczyć. Rozumiesz?

Kora już miała zacząć się sprzeczać, ale komisarz nagle rozplynął się w powietrzu. Nawet uśmiech po nim nie pozostał.

– Moja mama ma na imię Alina – powiedziała na głos Kora. – A ojciec – Maksym. A ja ich odnajdę.

Podeszła do otwartego okna.

Na Marsie trwał jasny słoneczny dzień. Tuż obok, obniżając lot, przeleciała ciemnoskóra mucha i, przyłożywszy cienką łapkę do wąskich ust, posłała Korze buziaka.

Koniec części pierwszej